

TANIE

ZBIOROWE WYDANIE POWIEŚCI

ELIZY ORZESZKOWÉJ.

---

Tom XXXVI.

Zygmunt Ławicz

---

WARSZAWA.

Własność, nakład i druk S. Lewentala.

Nowy Świat Nr. 41.

1886.

ELIZA ORZESZKOWA.

---

ZYGMUNT ŁAWICZ

I JEGO KOLEDZY.

POWIEŚĆ

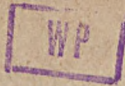
---

WARSZAWA.

Własność, nakład i druk S. Lewentala.

Nowy Świat Nr. 41.

1886.



58481  
884-3

Дозволено цензурою.  
Варшава, 1 Декабря 1886 года.

Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu  
nr inw.: K - 58481



BGZs 58481

Czasem, gdy był już bardzo zmęczony przepisywaniem urzędowych papierów, które mu z biura Izby cywilno-kryminalnej, w dowód szczególnej łaski i ufności, do domu brać pozwalał Sekretarz powyższej Izby, a jego szkolny kolega, Maryan Dębski; czasem, gdy w domu tym jego, to jest wizdebce, umieszczonej pod dachem trzypiętrowej kamienicy, powietrze stało się tak duszném, że każde odetchnięcie oblewało mu czoło kroplistym potem, albo tak zimnym, że z ust ulatywały mu gęste kłęby pary; czasem, kiedy wśród zajęcia tak nudnego, że wielu innych usnęło by nad niém, powstawał w jego głowie wielki gwar żywych, niecierpliwych, niby ptaki do lotu, rwących się do swobody myśli: gwałtownym ruchem odrzucał on pióro i ręką, drżącą od niecierpliwości, sięgał po jedną z książek, których ilość znaczna leżała koło niego, na stole, podłodze, dwu kołyszących się stołkach i kilku przybitych do ściany deskach. Wyciągał rękę do książki, ale wnet ją cofał. Walczył z sobą wido-

K-9/84/187

cznie, lecz zawsze prawie zwyciężał się i wracał do przerwanej na chwilę roboty.

W izdebce, zaopatrzonej w jedno okno, otwierające się nad blaszanym dachem kamienicy, mała lampa paliła się pośród obciążających stół papierów i książek; na niskim suficie, nakształt miesiąca w pełni, świecił i drgał krążek bladego światła; po ścianach nieruchomo czerniały wydęte, lub suche, cienie odzieży, tu i owdzie zwisającój u boków wieszadeł; przy stole, młody mężczyzna, szczupły, z piersią wklęsłą, z białą, chudą twarzą i białemi, chudemi rękoma, wprawnie i pośpiesznie przepisywał kancelaryjne akta.

Przepisywał nietylko wprawnie i pośpiesznie, ale téż nader pilnie i starannie. A jednak poczucie obowiązku, czy potrzeby, czy téż jednego i drugiego zarazem, nie przestawało w nim walczyć z uczuciami innymi. Od czasu do czasu brwi mu drgały; czoło, jak u młodej dziewczyny, białe i gładkie, chmurzyło się i oblewało rumieńcem wysilenia, czy doznawanój przykrości. Z pod brwi, z pod powiek, szybkie, ukosne spojżenia rzucał na książki, a ręka jego czyniła machinalny i wnet powstrzymywany ruch, do odrzucenia pióra zmierzający. Niewiele trzeba-by przenikliwości, aby, patrząc na niego, zgadnąć, iż z całego serca i całej duszy swojej pragnął on zrzucić ze stołu, a może i wyrzucić przez okno, czerniejące na bibule motywa prawne do zapadłego w Izbie wyroku, a na

ich miejsce pochwycić w dłonie „Lekcyę o fizyce”, albo „Teoryą rozwoju gatunków”, których tytuły czerniały na błękitnych okładkach, pod samém światłem lampy. Być bardzo może, iż, zamiast imienia Pawła Wincentowicza, zanoszącego do sądu skargę przeciw Lejbie Mendelewiczowi, już, miał on nakreślić imiona Cycerona i Marka Aureliusza, ku którym tylko-co był szybko a pożądliwie zerknął; bo nagle, zawiesił pióro nad papierem i zaśmiał się półgłosem. Być może także, iż, zamiast paragrafu kodexu, którego przytoczeniem kończył się wyrok sądowy, o mało nie przytoczył on jednego z paragrafów dzieła: *O naturze bogów*; bo, kreśląc na szarój bibule słowa: „na mocy paragrafu NN. skargę uznać za nieważną”, głosem takim, jakby z cicha dyktował sobie, wymawiał: „czy rozum ludzki nie przedarł się nawet aż do nieba?”

Kędyś, w dole, na drugiem czy pierwszym piętrze kamienicy, wielki jakiś zegar ścienny głuchym głosem wydzwaniał północną godzinę, a zarazem, niżej jeszcze, czarne, jak północ, ciemności zaułka, przerywało ostre i długie gwizdnięcie nocnego stróża.

Dzięki wam, prawa przyrody, któreście sprawiły, że wszelkie rzeczy trudne i nudne koniec swój mieć muszą! Wyrok sądowy, wraz z motywami, niezmiernie umiejętnie uszeregowanemi przez Sekretarza Izby, Maryana Dębskiego, i wieńczącym go artykułem kodexu, przepisany już został. Młody mężczyzna

odrzucał pióro, usuwał z rozpromienionego czoła opadłe na nie wśród pracy bujne, rudawe włosy, wstawał z krzesła, prostował się i z wesołym gościem wymawiał:

— Trzech rzeczy potrzebują żyjące jestestwa do utrzymania życia: pokarmu, napoju i powietrza.

Z trzech tych rzeczy, jednej, to jest powietrza, znajdowała się w izdebce ilość niezmiernie szczupłą; dwie zaś drugie istniały tam pod postacią kubka mléka i sześciogroszowej bułki, które téż młody mężczyzna, chodząc po izdebce, z widoczném uczuciem nasyconego głodu, spożywał.

Wyraz: chodzenie, nie całkiem dokładnie określa ruchy, dokonywane przez mieszkańca izdebki, w chwili téj wypoczywania i posilania się. Od łóżka do okna i od stołu do wieszadeł, było tam kroków mniej więcej ośm; przebieganie przestrzeni téj w kierunkach rozmaitych przedstawiało raczej nieznaną jakiś gdzieindziej rodzaj tańca, niż prawidłowo odbywaną przechadzkę. Jakkolwiek przecież nieprawidłowa, przechadzka ta była wesołą. Czoło mieszkańca izdebki stawało się znowu białém i gładkiém, jak u młodej dziewczyny; błękitne oczy jego śmiały się; przełykając mléko i bułkę, językiem uderzał o podniebienie na wzór smakosza, rozkoszującego się wybornemi potrawami. Stawiając zaś wypróżniony kubek na kołyszącym się stołku i przeżuając ostatni kęs bułki, znowu półgłosem cytował Cyceroną:

— Jakaż w tém dobroć przyrodzenia, że tak wiele rozmaitych i smacznych pódów na pokarm nam daje!..

Mówić do siebie półgłosem, a czasem i głośno, było snadź jego zwyczajem. Co go nim obdarzyło? Dłgie, samotne noce, bez snu spędzane? czy gwar myśli, który mu wiecznie napełniał głowę? czy zupełna niemożność rozmawiania z ludźmi, których widywał, o jedynych przedmiotach, o których mówić mógł-by z ochotą i zapałem, a nie mówił nigdy! To tylko pewna, że, gdy po dwu lub trzech godzinach pilnego czytania, pisania ołówkiem na marginesach książki, a piórem i atramentem na grubym zeszyte wyciągów i notat, zrywał się on znowu z krzesła swojego, i znowu przebiegać poczynął w kierunkach różnych ośmiokrokową przestrzeń izdebki; powierzchowność jego okrywała się cechami, które-by widza ciekawego i pojętnego do pilnego przypatrzenia się mu zachęciły. Były to cechy, towarzyszące szaleństwu, albo do szafu wznoszącemu się entuzyazmowi. Kancelista Izby cywilno-kryminalnej, podwładny Sekretarza téjże Izby, a wielce surowego służbisty, Maryana Dębskiego, szalonym być nie mógł. Był więc entuzyastą, a w dodatku entuzyastą takim, jakiego wytworzyć mogą nie zupełnie prawidłowe i harmonijne warunki bytu i rozwoju. Bystra woda najburzliwiej miota się w bliskości tamy, bieg jój wstrzymującój, płomień bucha najwyżej z ciasnych otworów. Przymém noc, cisza no-

cna, może osłabienie zbyt mało odżywianego organizmu, może trochę nieładu i wybujałości w pojęciach i myślach samouka.

Nie zawsze, nie każdój nocy tak bywało. Owszem, chwile podobne zjawiały się nawet dość rzadko. Zdarzało się jednak, że, uszczęśliwiony zdobytą, a trudną do zdobycia, wiadomością, lub zachwycony głębokością wyczytaną myśli, lub porwany cudowną harmonią słowa, nie mógł dłużej wysiedzieć, potrzebował ruszać się, giestykulować, wywnętrzać się. I wywnętrzał się. Z płomiennym wzrokiem, tak wyprostowany, że wydawał się znacznie wyższym, niż zazwyczaj, z białymi swemi, chudemi rękoma, jak do modlitwy splecionemi, mówił półgłosem, czasem nawet zupełnie głośno. Czasem zdawać się mogło, że z kimś rozmawiał, pytał, odpowiedzi słuchał, wątpił, podziwiał.

Istotnie, młody mieszkaniec ubogiej izdebki w sposób taki rozmawiał z Cyceronami, Epiktetami, Lukrecyuszami i nowożytnymi ich na tronie ludzkiej myśli następcami, a rozmawiał z taką poufałością, jak gdyby to byli przyjaciele jego, z którymi wspólnie zjadł był, co najmniej, parę beczek soli. Towarzystwo, którym otaczał się od czasu do czasu, tak go uszczęśliwiała, że nie zazdrościł, o! nie zazdrościł wcale szkolnemu koledze swemu, Maryanowi Dębskiemu, ani dość wysokiej jego urzędniczej posady, ani połączonej z nią dość wysokiej pensyi, ani zaszczytu

bywania na wieczorach prezesa Izby, Mikołaja Hilarionowicza, ani przyjemności tańcowania z córkami prezesa: Wiarą i Nadzieją. Nie zazdrościł on też drugiemu z widywanych czasem kolegów swoich, Władysławowi Zegrzdzie, ładnemu i zgrabnemu junkrowi pułku piechotnego, z podbójczym wdziękiem pokręcającego czarnego wąsika i z przeraźliwym brzękiem ciągnącemu pałasz po chodnikach miasta; ani trzeciemu z nich, Michałowi Kaplickiemu, temu zdrowemu, rumianemu i pocziwemu chłopcu, który osiadł na ojczystych zagonach, powietrza, przestrzeni i chleba, a nawet mięsa miał do syta, i już o żeniacze zamysłał. Co więcej, szczęście Zenona Derszlaka, jeszcze jednego ze szkolnych jego towarzyszy, szczęście przebywania w stolicy, więc w ognisku umysłowych bogactw i rozkoszy, nie nęciło go i nie budziło w nim zazdrości; przebywał on w ognisku bogactw i rozkoszy umysłowych, ale cóż z tego? skoro tak gorzko, tak ciemno na świat spoglądał i wszystko, co istniało, potępiał, nic uwielbiać nie mogąc. Nie. Nietylko nie zazdrościł on tym towarzyszom dzieciństwa zaszczytów ich i dostatków, ani tego wszystkiego, co wkoło nich, na nich, lub dla nich brzęczało, czy błyszczało; ale, gdyby mu kto powiedział, że byli oni szczęśliwsi od niego, zaniósł-by się serdecznym, naiwnym śmiechem,—ponieważ jednak nikt nigdy nie uczynił przed nim porównania tego, nigdy też mu ono na myśl nie przyszło. Nie pomyślał też, że wśród uniesień tych,



które go uszczęśliwiały, mógł wyglądać śmiesznie. Oświeciła go raz wprawdzie o tém Pawłowa, żona mieszkającego na jednym z nim dziedzińcu, stróża Izby cywilno-kryminalnej, a pełniąca przy nim funkcją czyszcicielki izdebki jego, i dostarczycielki żywności. Raz, niewiele przed północą, weszła ona na poddasze w celu zapytania młodego kancelisty, czy mąż jej, Paweł Rębko, w czasie przedpołudniowego przebywania swego w przedpokoju Izby, pijanym był czy trzeźwym, albowiem o tak późnej porze w domu go jeszcze nie było. Otworzyła drzwi poddasza i stanęła, jak wryta, a zamiast sformułować pytanie, z którym przebywała, krzyknęła:

— Zwaryował! jak Boga kocham, zwaryował!

Młody mieszkaniec poddasza, w chwili téj właśnie rozmawiał z Markiem Aureliuszem, i wyrażał zdanie swe o moralnym systemacie stoików.

Krępa, barczysta baba, w krótkiej spodnicy, luźnym kaftanie i brudnym czepku na rozczochranych włosach, zawołała:

— Jezu Panie! panie Zyguncie! panie Ławicz? co panu jest? czy pan zwaryował? do kogo pan mówisz? toć tu i żywego ducha niema! cha, cha, cha! jak pan śmiesznie wygląda! Tak zupełnie, jak gdyby w kościele, przed Najświętszą Panną cudowną modlił się! Na sufit patrzy, ręce złożył i sam do siebie gadał cha! cha! cha!

— A! pani Pawłowa! czego pani sobie życzy?

Pytanie to wymówił z tym nieokreślonym, głupowatym uśmiechem, który osiada na ustach ludzi, wyrwanych nagle z głębokiego snu, lub zamyślenia, i którzy, nie całkiem jeszcze wytrzeźwieni, niedokładnie rozumieją, co się wkoło nich dzieje.

— Cha, cha, cha! a teraz to patrzysz pan na mnie, jak baran na wodę! Nol pfe! wstydz się pan takie dziwolągi po nocach wyprawiać! a to wszystko z tego wiecznego siedzenia w domu i nad książkami. Poszedł-byś pan kiedy do ludzi, na wieczorek, pośmiać się, pogawędzić, potańczyć, do panienek poumizgać się... A to, żeby w złą minutę nie wymówić, sfixujesz jeszcze.

— Czego pani Pawłowa sobie życzy?

— Czy *mój* w *pałacie* (w Izbie sądowej) trzeźwy dziś był, czy podpiły?

— Zdaje się, że trzeźwy... nie wiem zresztą... zdaje się, że nie widziałem...

Kobieta rozgniewała się.

— Pfu! Jezu Panie! zdaje się widział, zdaje się nie widział... W dzień chodzi jak senny, a nocami *fixuje*... Spójrz się pan w lustro... włosy rozczochrane, oczy czerwone, *twarze* pozapadałe, jak u suchotnika... Żeby teraz panna jaka pana zobaczyła, toby i trzech groszy za takiego kawalera nie dała.

Stukając drzwiami, wyszła.

W lustro spojrzeć on nie mógł, bo i cienia lustra w izdebce jego nie było. Wzmianka o pannach nie

obeszła go wcale, dla téj choćby przyczyny, że żadnej panny na całym świecie nie znał. O powierzchowność zaś swoją dbał tak mało, że, po wyjściu Pawłowój, siadając nad książką, srożej jeszcze obu dłońmi włosy sobie rozczochrał, a po dwu godzinach dalszego czytania i pilnego notowania, doprowadził powieki swe do silnego istotnie odcienia czerwoności. Teraz znowu wyglądał tak, jakby był splakany. Ale gdzie tam! nietylko usposobienia żadnego do smucenia się i płaczu nie uczuwał, lecz owszem, z niezłomną pewnością uważał siebie za najszczęśliwszego z ludzi. Jakże! Téj właśnie nocy rozjaśniły się mu i zharmonizowały dwa jakiś fakta z dziejów myśli ludzkiej, których dotąd zrozumieć i pogodzić nie mógł.

Szczęście to przecież jego wykwitowało z ciernistego krzaku. Nie wszystko rozjaśniało się i zharmonizowało przed nim, nie każda dziedzina wiedzy otwierała mu gościnne podwoje, nie każdy mistrz łaskawie i pobłażliwie przychyłał mu do ust rozek z upragnionym napojem. Bywały długie, nocne godziny, w których, silnie zarumieniony od wysilenia umysłowego, z palcami kurczowo obejmującymi pochylone czoło, przesiadywał nad książką, po prostu niezrozumiałą dla niego, a potem wstawał blady, zmęczony, nie zniechęcony bynajmniej, tylko bardzo niespokojny i zmartwiony. Kiedyindziej spostrzegał, że długa i pilna praca nie doprowadziła go do wyników żadnych, gdyż przed jój podjęciem trzeba było spełnić

inną, a on o tém nie wiedział i teraz daleko, daleko, znowu wstecz cofać się musiał. Innym jeszcze razem, całkiem już gubił drogę. Paliła go namiętna ciekawość dowiedzenia się: co dalej? a nie miał pojęcia, kędy i jak iść na przód. Mnóstwo było na świecie książek, zbyt dla niego drogich, albo takich, których istnienia, ani imienia, pewnym nie był.. Na wszelkie zaś pytania jego odpowiedzić mu nie mogły ani ściany izdebki jego, ani ściany sal kancelaryjnych, ani mury kamienic miejskich, ani posługacz Izby, Paweł Rębko, ani pani Pawłowa, ani szkolni koledzy jego: ładny Władys Zegrzda i poczciwy Michał Kaplicki. Jeden tylko Sekretarz Izby, Maryan Dębski, mógł-by mu może udzielić, jeśli nie wszystkich, których pragnął, to przynajmniej wielu pożytecznych informacji. Ale był to człowiek dumny i zwierchnik surowy. Zapytywać go o rzeczy nietyczące się służby, było-by to narazić się może na utratę posady kancelaryjnej. A po utracie posady téj—cóż? Nietylko obiadu z gar-kuchni za kopiejek dziesięć dziennie, mleka i bułek, ale Cyceronów, Marków Aureliuszów i rozmaitych ich następców nie będział

Nikogo więc o nic nie zapytywał i tylko, ze zmacconym do głębi spokojem ducha, z ponurą iskrą w oczach, zamyslał się nad samym sobą, a raczej nad przeznaczeniem swoim. Były to jedyne w życiu jego wypadki i jedyne strony jego życia, które go do myślenia o samym sobie usposobiły. Ponieważ zaś

posiadał taki ustrój umysłu i takie zresztą przywyknienia umysłowe, że, myśląc o fakcie jakimś, lub zjawisku, wnet skierowywał myśl swą ku możliwym ich przyczynom; w godzinach więc tych zastanawiania się nad sobą i przeznaczeniem swém, zapytywał zwykle: dlaczego wydziedziczonym został z tego właśnie, co najodpowiedniejszem było naturze jego? dlaczego cywilizacya odepchnęła go od szerokiej swój piersi i odmówiła mu wszystkich, posiadanych przez się, pomocy i ułatwień w drodze ku światłu? dlaczego był on za młodu już strudzonym, chudym, przygarbionym, o każdą iskrę i każdy promyk w nędzy i pocie czoła bojującym samoukiem!

I.

Z krótkiej jeszcze przeszłości swój Zygmunt Ławicz zapamiętał parę szczególniejszych faktów, o których nie bez słuszności mniemał, że pełniły względem niego funkcją starożytnego Fatum.

Przed kilkunastu laty, sam on miał wtedy około lat dwunastu, matka jego czuwała raz długo za północ i, czuwając, ciągle prawie płakała. Nie działo się to już w tém niezbyt bogatém, ale obszerném i wygodném mieszkaniu, które zajinował w X. ojciec jego, Bolesław Ławicz, dość wysoki, a bardzo szanowany urzędnik. Ojca jego od kilkunastu miesięcy w domu nie było, od kilkunastu też miesięcy matka jego, wysmukła, delikatna, o ładnych, choć znużonych już rysach, kobieta, mieszkała wraz z nim w dwu małych pokojach, z oknami wychodzącemi na ciasny i brzydki dziedziniec. Przez cały czas ten, zajmując się pilnie sprzedawaniem kosztowniejszych sprzętów i przedmiotów, a niezmiernie oszczędne prowadząc

życie, płakała ona często, nigdy jednak tak rzewnie i tak długo, jak téj nocy; przytém, spoglądała na srebrny, brzydki zegarek, który kupiła po sprzedaniu dwu złotych i ładnych, a około godziny trzeciej czy czwartej, wstała, z pośpiechem narzuciła na siebie ciepły płaszczyk, głowę okryła kapturkiem i zbliżyła się do leżącego w pościeli syna.

— Nie śpisz? Nic dziwnego. I dziecku nawet spać dziś niepodobna. O, dlaczegoż wieczna noc śmierci nie uprzędza nocy takiej, jak dzisiejsza! Muszę wyjść. Wrócę za godzin parę. Bądź grzeczny i posłuszny; kiedy wyjdę, zamknij za mną drzwi na klucz, połóż się i śpij. Wracając, zastukam mocno. Obudzisz się i drzwi mi otworzysz...

Pocałowała go w czoło i wyszła. Jednocześnie chłopak zerwał się z pościeli, i nadzwyczaj śpiesznie począł przywdziewać ubranie, którego polyskujące naszytka wskazywały, że był on już uczniem miejscowego gimnazjum. W dwie minuty był już ubrany, zgasił świecę, wybiegł z mieszkania, zamknął drzwi z zewnątrz i biegł za matką. Widział dobrze, w którą stronę uda się ona, i dlatego właśnie, że wiedział o tém, był jęj nieposłusznym. I on także chciał raz jeszcze widzieć... przytém myślał, że matka zemdleć może na ulicy tak, jak przed kilkunastu miesiącami zemdleła raz była w domu, a wtedy on będzie tam bardzo potrzebny.

Działo się to w jesieni. Ulice miasta były tak cie-

mne, że wysmukła kobieta i o kilkanaście kroków idące za nią dziecko przesuwały się pod ścianami domów, jak nieśmiałe i zaledwie widzialne widma. Przebyli w sposób ten ulic kilka, aż nakoniec kobieta stanęła przed wysoką, szeroką, murowaną budową, a o kilka kroków za nią, milczące i z rękoma od chłodu wsuniętymi w rękawy mundurka, stanęło dziecko. W ciemności zaledwie rozpoznać można było, że stali przed wgłębionymi w gruby mur ciężkimi drzwiami i że przed drzwiami temi przechadzała się miarowym, powolnym krokiem, sztywna, silna i, jak mur, niema postać. Był to szyldwach. Ile razy zbliżał się do okratowanego okna, za którym paliła się lampa, nad głową jego, ukrytą w spiczastym kapturze, błyskała stal bagnetu. Oprócz stalowych błyskawic tych, miarowych kroków i oświetlonego okna, wielka, ciężka, murowana budowa, nie objawiała żadnych znaków życia. Drobnny deszcz padać zaczął, powiększając ciemności i napełniając je monotonnym szmerem. Nakoniec, ze szmerem tym połączył się ostry zgrzyt, obracającego się w zamku ciężkiego klucza. Szyldwach stanął u oświetlonego okna, jak nieruchomy posąg, ze znieruchomiałym błyskiem stali nad głową. Drzwi otworzyły się na oścież. Wtedy, pomiędzy ciemną ulicą i ciemniejszym jeszcze dziedzińcem gmachu, ukazała się długa, sklepiona brama, skąpo oświetlona przez kilka latarni.

W mętném świetle tém, pod wysokim łukiem bra-

my, z głośnym, miarowym tententem stóp, postępowało w stronę ulicy ludzi kilkunasta, z których kilku miało na głowach śpiczaste kaptury, kilku zaś od no- enego chłodu i deszczu okrywało się długimi, szerokiemi płaszczami. Ku jednemu z tych ostatnich, rzuciła się Ławiczowa i na pierś mu upadła. On roz- tworzył płaszcz swój i całkiem prawie ukrył ją pod nim. Jeden z żołnierzy wyciągnął ramię, krzyknął, lecz dowódzca orszaku, którego pałasz i ostrogi dono- śnie brzęczały po kamieniach bruku, zawołał:

— Na przód!

Wyszli wszyscy na ulicę. Jednocześnie, z trza- skiem żelaztwa zamknęły się ciężkie drzwi, a za nie- mi zniknęła długa, sklepiona i mętnie oświetlona brama.

Od bramy téj, do dworca kolei żelaznej, przeszedł- szy parę ulic, wchodziło się na szeroką i bitą zamiejską drogę. Ciemność nie była tu tak gruba, jak w mie- ście, bo u dwu brzegów drogi paliły się z rzadka la- tarnie na wysokich słupach. Światło ich, z jednéj strony padając na puste ogrody i pola, czyniło je po- dobnemi do czarnych i granic niemających otchłani, z drugiéj strony, przebijając mokre powietrze zawie- szało nad drogą chwiejącą się, złotawą mgłę. Drogą tą, w tém oświetleniu, postępował zbrojny orszak, ma- jący w swym środku wysmukłą, płaczącą kobietę, ukrytą pod płaszczem wysokiego i barczystego męż- czyzny, a za orszakiem tym, w kilkunasto-krokowej

odległości, szedł z razu, potem biegł, mały chłopak, w szkolnym mundurku. W grobowej ciszy pustych i czarnych pól i ogrodów, głucho rozlegał się miaro- wy, przez wilgotną powierzchnią ziemi tłumiony, ten- tent kroków; czasem, pod światłem latarni, suche li- nie bagnetów rzuciły kilka stalowych błyskawic; albo wiatr z czarnego pola, szemrząc, wleciał na drogę i za- szamotał smugami nikłego światła; albo woda kałuży plusnęła głośno pod dotykającą ją stopą. Nagle, wiel- ką tę ciszę przerwał gwizd przeraźliwy i w głębiach ciemności toczący się grzmotowy turkot. Jednocze- śnie, z tyłu orszaku i w dość znaczném od niego od- daleniu, ukazała się i powietrzem niby lecieć zaczęła kula, jak krew czerwona, i ognista, jak płomień. Le- ciała ona w czarnéj przestrzeni, nad ziemią, razem z turkotem, od którego drżała ziemia, i gwizdaniem, które coraz ostrzej i przeciągléj przerzynało powie- trze. Czerwony płomień, turkot i gwizdanie, zdawa- ły się gonić orszak i biegnące za orszakiem dziecię, aż dogoniły je i wyprzedziły. Potem wszystko zni- knęło i umilkło. Pociąg kolei zatrzymał się przed dworcem. U stóp mokrych wschodów, prowadzących ku drzwiom dworca, chłopak w szkolnym mundurku stał dość długo w oczekującej i zasmuconej postawie. Wszyscy tam weszli, jemu wejść nie pozwolono, i nie śmiał już probować po raz drugi. Z wnętrza ciężkiej i na zewnątrz milczącej budowy dochodził, tłumiony przez grube ściany, więc głuchy, gwar ludzkich gło-

sów. Być może, iż dziecię, stojące u stóp wschodów i gęstą mgłą deszczową oblane, dlatego ku ścianom gmachu tak pilnie przychyliło ucha, że pragnęło w gwarze tym odróżnić i posłyszć znane sobie głosy. Lecz, gdy z przeciwległej strony dworca zadźwięczały donośne trzy uderzenia dzwonka, zwiastujące odejście pociągu, dziecię porwało się z miejsca, w kilku skokach okrążyło budowę, i ze zręcznością wiewiórki wspięło się na ogrodzenie, rozdzielające ogród dworca z drogą, którą przebiegały pociągi. W tej samej chwili szereg wielkich, zamkniętych wozów, zaopatrzonych w malutkie okienka, poruszać się zaczął. Chłopak, zawieszony na szczycie ogrodzenia, zerwał z głowy czapeczkę, a pod światło latarni wychylając dziecianną twarz swą, donośnie i po razy kilka zawołał:

— Adieu, tatku! adieu! adieu!...

Czerwony płomień leciał znowu nad ziemią w grubych ciemnościach, od grzmotowego turkotu kół ziemia drżać się zdawała, przeraźliwe gwizdania przerywały powietrze. Pociąg oddalał się z razu powoli, potem szybciej, potem bardzo szybko; lecz i wtedy jeszcze, gdy już był dość daleko, nad wysokim ogrodzeniem, w świetle latarni ukazywała się twarz dziecianna, drobna, blada, złotawymi włosami otoczona, i dzieciunny głos coraz słabiej, bo coraz łzawiej, wołał:

— Adieu, tatku! adieu! adieu!...

W kilka godzin później, kiedy z ciężkim torniostrem swym na plecach, wszedł na gimnazjalny dziedziniec, spotkali go i wielkimi objawami czułości otoczyli trzej najlepsi koledzy i przyjaciele jego.

Michał Kaplieki, zdrowe, rumiane, na wsi wyhodowane dziecko, z błękitnymi oczyma, z których patrzyło więcej dobroci, niż sprytu, wyczuwał go siarczyście i zmusił prawie do przyjęcia zaprosin na przyjęcie mu wczoraj przez ojca pieczonego indyka Władysław Zegrzda, chłopak z twarzą roztropną, wesołą i śmiałą, oświadczył mu, że każdego, ktokolwiekby odtąd wlał mu w drogę, lub jakkolwiek wyrządził przykrość, na gorzkie jabłko słucze. Zaś Zenon Derszlak, syn cieśli, który, spadłszy z rusztowania, życie utracił, wychowywany przez dużo starszą od siebie siostrę, szepnął mu do ucha:

— A co, kiedy ci mówię, że świat do góry nogami stoi i że go trzeba nazad głową do góry obrócić, mówisz, że nie prawda! Dziś sam aż spuchłeś od płaczu, a wyglądasz, jak śledź, w trzech wodach wymoczony. Biedny ty!

Chłopak ten, z okiem czarnym, ognistym, jak żużel, z dziwnie połamanymi rysami, których jednak nieprawidłowość zniknęła pod szczególnością okrywającego je wyrazu, objawiał często uczucia i zdania, właściwe tylko ludziom dorosłym. Z zapalczywością, w której mieszały się i gniew, i litość, uściśnął kolegę, potem zaś, błyskając oczyma i niby grzywą

trzęsąc gęstemi, czarnemi, jak węgiel, włosy, zawołał:

— Oho! niech tylko my wyjdziem na ludzi, to jest ty, Ławiczu, Zegrzda i ja, zaraz wszystko na świecie inaczej pójdzie. Kaplickiego nie liczę... On na gotowym chlebie wyrósł i całe życie jeść go będzie, nie myśląc o tych, którzy go nie mają!

— Owszem — dobrodusznie odparł Kaplicki — tak dalece o nich myślę, że i ciebie dziś na mego pieczonego indyka zapraszam.

Derszlak zarumienił się. Nie lubił, gdy koledzy dowiadawali się o tém, że jemu i siostrze jego, haftarce, często niedostawało chleba. Nie rozpoczął jednak kłótni z Kaplickim, bo pamiętał, że, kiedy niedawno, zrozpaczony chorobą namiętnie ukochanej siostry, powierzył strapienie swe kolegom, Kaplicki, na potrzeby choréj, wypróżnił do dna kieszeń swą, dość, jak na ucznia drugiej klasy, zasobną. Wszyscy więc trzej razem zajęli się znowu Ławiczem. Lubili go bardzo, dlatego może, iż był łagodnym i uprzejmym, albo, że pomagał im w pisaniu wypracowań, do których miał większą od nich wszystkich zdolność. Lubił go téż, pomimo różnicy wieku, Maryan Dębski, o kilka klas wyżéj od Ławicza posunięty, ale związany z nim blizką, po-za szkołą zawartą: znajomością. Tego przecieź ranka, ku wielkiemu zdziwieniu małych przyjaciół, Dębski, wszedłszy na dziedziniec gimnazyalny, obojętnie i nawet chmurnie przeszedł obok małego kole-

gi swego i na uprzejmy jego ukłon odpowiedział obojętném zaledwie skinieniem głowy. Przez cały dzień potém, w przestankach pomiędzy godzinami lekcyi, na dziedzińcu i kurytarzach gimnazjum, unikał go starannie. Był to bardzo młody jeszcze chłopak, ale można go już było nazwać młodym człowiekiem: słusznego wzrostu, kształtnie i silnie zbudowany, twarz miał piękną, lecz chłodną, wyraz oczu rozważny i badawczy, a zarys ust taki, z jakim malarze przedstawiają zwykle oblicza, którym nadać pragną charakter dumy i ambicyi. Były to usta piękne, ale dumne i surowe. W szkole wiedziano o nim tyle tylko, że, będąc synem zamożnej niegdyś, lecz do szczętu zubożałej rodziny, utrzymywał się sam i dwu małych braci wychowywał z zarobku, który mu dawała praca korepetytorska; że był jednym z najlepszych uczniów szkoły, a najlepszym korepetytorem w X. Na dziedziniec gimnazjum wchodził zazwyczaj z powagą i sztywnie, ale z twarzy jego poblaskłéj i zmęczonych powiek z łatwością poznać było można, że późne popołnocne godziny znajdowały go wpatzonego w książkę, lub zatopionego w myślach, kto wie? niepokojnie może w przyszłość spoglądających; bo wzrok jego, rozważny i chłodny z pozorów, często téż niespokojnym bywał. Na ulicach miasta nie spotykano go nigdy inaczej, jak śpieszącego z lekcyi na lekcya, a tak śpieszącego, że niekiedy ocierał sobie chustką pot z czoła, choć dość mizerny i znoszony

paltot studencki zbyt silnie ogrzewać go nie mógł. Raz, spytany przez kolegów, dlaczego wiecznie tak się śpieszy, z chłodnym wejrzeniem i zagadkowym uśmiechem, odpowiedział:

— No, człowiek przecie musi do czegoś dojść!

Kiedy ojciec małego Ławicza był jeszcze w domu i zajmował urzędową posadę, Dębski był korepetytorem syna jego, w zamian hojnej zapłaty. Potem odmówił stanowczo brania od matki Ławicza jakiegokolwiek wynagrodzenia, a gdy ta nalegała, chłodno, lecz stanowczo, odpowiedział: nie! i dopomagał synowi jęj w naukach zupełnie darmo. Od owęj jednak nocy, czy od owego ranka, dopomagać przestał i wszelkiego zbliżenia z kolegą swym i zarazem uczniem starannie unikał.

— Praktyczny! — z gorzkim nieco uśmiechem mawiała o nim Ławiczowa.

Wymawiając wyraz ten, nie obwinała go zapewne o chciwość, boć przez kilkanaście miesięcy pracował dla nięj i jęj syna zupełnie darmo. Praktyczność jego nie była chciwością, lecz czémś inném, czémś, co Zenon Derszlak, stawszy się czternastoletnim wyrostkiem, określił, nazywając go: *wymijaczem raf*.

— Popłynie on! o! popłynie! — mówił o nim ognisty i zawsze wewnętrzném wrzeniem jakimś wyexaltowany chłopak — dyrektor zjeść-by go mógł z kościami, a on-by ani pisnął. Przed samym bedelem

czapkę uprzejmie zdejmuje i tylko wacha, w którą stronę wiatr wieje, aby w tę samę dmuchać!

*Wymijacz raf*, po trzech blisko latach ostrożnego omijania młodego Ławicza, raz najniespodzianiej zaszedł mu drogę na ulicy.

— Słuchaj, Ławiczu — rzekł — jutro wyjeżdżam do Petersburga na uniwersytet, na wydział prawny. Braci przenieśliem do gimnazjum realnego... to praktyczniej. Jeżeli chcesz, możesz po wakacjach wziąć po mnie korepetycyę moje, bo wiem, że potrzebujesz zarobku; ja cię zarekomendowałem. Jeżeli wszystkich nie potrzebujesz, podziel się z Derszlakiem, który podobno surową marchew często gryzie. I o nim także mówiłem znajomym moim, którzy mi ufają i czekać na was będą.

Rzekłszy to, chłodno dotknął ręki tego, komu, nieproszony, wyświadczał przysługę, z dobrodziejstwem graniczącą, i szybko odszedł.

Młody Ławicz niedługo korzystał z udzielonego sobie przez Dębskiego ułatwienia bytu, bo w końcu zaszedł drugi z tych wypadków jego życia, które najwyraźniej stawały mu w pamięci w chwilach, gdy, rozmyślając o losach swych, zapytywał: dlaczego?

Nie był już wtedy dzieckiem, lecz prawie młodzieńcem i obiecywał sobie wraz z rówieśnikami za parę miesięcy zasiąść na ławie klasy szóstęj. Nadzieja ta, będąca prawie pewnością, w sposób szczególny ożywiała i rozweselała gromadkę młodych przy-



jaciół. Każdy z nich miał marzenia swe i ambicje, a wszyscy spoglądali ku celowi temu, do którego przed dwoma już laty szczęśliwie dopłynął był Dębski. Zegrzda, który wyrosł na najładniejszego chłopca w gimnazyum, a może i w X., najdumniejszym też był z dotychczasowych szkolnych powodzeń, dlatego może, iż, najbardziej awanturniczym i hulaszczym duchem obdarzony, najmniej się ich spodziewał. Gdy myślał o przyszłości, marzyło mu się zawsze o pełnych niebezpieczeństwach, lecz i różnych osobliwości, podróżach do oddalonych stron świata; o zwiedzaniu dzikich ludów i miejsc jeszcze nieznanych. Dbały niezmiernie o śliczną wistocie powierzchowność, czyszcząc starannie szkolny mundur, rozprawiał o źródłach Nilu, które on dopiero odkryć miał najpewniej; skory do zabawy i wesołości, wracając z wieczorku przetańczonego z pannami, pozostawiając połowę nocy trawił na czytaniu opisów stref podbiegunowych, na których niedosięglym dotąd krańcu kiedyś niezwalczoną stopę swą postawić zamierzał.

Skromniejszymi były marzenia Derszlaka. Błady, chudy, słabowity, z ciałem wyniszczonym trochę przez ubóstwo, a trochę przez wrażliwość, jak siarka zapalny, temperament, wpadł on na myśl o wielkości i dobrodziejstwach sztuki medycznej.

— Gdy będę lekarzem — mówił — przywrócę zdrowie mojej Anulce. Straciła je ona, pracując dla mnie i na mnie. Teraz, kiedy słyszę, jak kaszle no-

cam, albo na ciemne okulary jej patrzę, aż mi się serce kraje...

Ta jego Anulka była tą siostrą haftarką, która, po śmierci biednego ojca - cieśli, hodowała i wychowywała dużo młodszego brata. Derszlak o kaszlu jej i ciemnych okularach mówił drżącymi od żalu ustami.

— Potem — ciągnął dalej — osiadziemy razem z Anulką w ładnej jakiej wiosce... będę tam leczył i oświecał chłopów. Biedni pójdą pomiędzy biednych, bo najlepiej znają biedę.

Przy tych wyrazach, czarne, zapadłe oczy jego, płonęły gorączkowym niemal zapalem.

Ławicz nie tworzył jeszcze sobie dalszych określonych planów przyszłości. Jednego tylko pragnął: uczyć się, uczyć się, uczyć się, choć-by najdłuższe jeszcze lata, stać u samego źródła wiedzy i pić ją chciwie, pełnemi ustami i pełną piersią. Teraz już, dzięki Dębskiemu, zarabiał on na byt wcale znośny dla siebie i matki. Pewnym był, że zawsze to uczynić potrafi.

— Jakże wielką jest nauka — mawiał niekiedy do przyjaciół — nietylko szczęście ducha, ale jeszcze i kawałek chleba nam daje!

Kaplicki, który o kawałku chleba myśleć nie potrzebował i któremu umarłe języki z największą trudnością do głowy wchodziły, ucuwał pewną dumę, że

idzie razem z przyjaciółmi, których wyższość umysłową chętnie uznawał.

— Wyście tam sobie zdolni bardzo i mądrzy, ale nie sami tylko święci garnki lepią. I ja potrafię pokazać światu, że nie każdy przecie syn obywatelski osłem być musi.

A porywając Homera i dykcyonarz łaciński, z zapalem, a czasem z westchnieniem, deklamował wiersz Krasickiego:

Uczyć się trzeba! przeminął wiek złoty!

Szczęście ich jednak posiadało jedną stronę, nie tylko ciemną, ale nawet groźną. Do gimnazjum w X. przybył przed rokiem nauczyciel, Hellenista, niezmiernie uczony, ale obdarzony przez naturę temperamentem bardzo porywczym, głosem szorstkim i sercem, w którego głębi osiadła żarliwa niechęć ku tej mianowicie grupie ludzkości, do której należeli Ławicz i przyjaciele jego. Znał on tę grupę daleko mniej i niedokładniej, niż tę, z której ród swój wiedli Xenofont i Homer, niemniej nie lubił jej i — koniec. Tak zwane pochodzenie przedstawiało się oczom Hellenisty w postaci pierwotnej cnoty, albo pierwotnego grzechu. On sam posiadał pierwotną cnotę, Ławicz i przyjaciele jego przyszli na świat z pierwotnym grzechem. Wszystko to razem, w połączeniu z przyrodzoną gwałtownością temperamentu

i szorstkością głosu, czyniło go dla gromadki młodych przyjaciół wyjątkowo surowym i podejrzliwym, im zaś uczenie się Homera i Xenofonta, niepospolicie utrudniało. Trudność ta wynikała z tego, co znaném już było i starożytnym Grekom, a określaném przez nich nazwą: „zakłóceń duszy”. Dusze ich, w czasie wykładów greckich, zakłócały się czasem tak dalece, że przez całą resztę dnia Ławicz był błądliwy i, jak grób, milczący, Zegrzda targał włosy i zgrzytał zębami, Kaplicki mówił o porzuceniu szkoły i wyjeździe na wieś, Derszlakowi zaś oczy zapadały głęboko i płonęły gorączką.

Raz... o, jakże dzień ten nieśmiertelnie żył w pamięci Ławicza!... przyszli do szkoły, rozgorączkowani nieco niespaniem i całonocną pracą. Było to na parę tygodni przed examinami. Zebrani w mieszkaniu Kaplickiego, które ze wszystkich zajmowanych przez nich mieszkań przedstawiało najwyższe szanse uniknięcia śmierci przez zaduszenie się lub oczadzdzenie,—siostra bowiem Derszlaka, nie mogąc z powodu choroby oczu haftować, zajmowała się praniem i prasowaniem cienkiej bielizny, a matka Ławicza trudniła się żywieniem kilku uczniów, więc w małym mieszkaniu jej gotowało się i smażyło od rana do nocy,—zebrani tedy w obszernym i dostatnio urządzonej pokoju Kaplickiego, przesiadli noc całą nad dochodzeniem, jakie zagadnienia rozstrzygać im przyjdzie w czasie examinów, i nad uczeniem się jak

najlepszego ich rozstrzygania. Przeszkadzając i dopomagając sobie wzajem, w niebogłose wykrzykując strofy Odyssei, lub peryody Cycerona, pijąc, dla odpędzenia snu, mocną herbatę, którą fundował gospodarz mieszkania, w przestankach pomiędzy Odysseą a Cyceronem naradzając się nad majówką, którą wnet po examinach, z wielką pompą i wytwornością, urządzić nieli, doczekali oni chwili, w której promień słoneczny, przedzierając się przez płócienną roletę, przyćmił słaby blask dogasającej ich lampy. Powstawali wtedy ze stołków swych i rozeszli się, aby po kilku godzinach zejść się znowu na dziedzińcu szkolnym. Derszlak tylko nie przyszedł. Słabowity chłopak, od niespania i niezmiernie pilnych studyów nad Odysseją, dostał migreny, lub może i oczadział od rozpalonych żelazek, któremi jego Anulka, przez dobrą połowę nocy, prasowała muślinowe kaftany i batystowe chustki. Ławicz, Zegrzda i Kaplicki usiedli, jak zwykle, obok siebie, a Zegrzda, rzuciwszy okiem po ścianach sali, szepnął kolegom, że niedługo już pomiędzy ścianami temi goście będą... pójdą wkrótce wyżej! Ławicz uśmiechnął się na to i sentencyonalnie, ale zupełnie szczerze, odpowiedział:

— Trzeba zawsze, zawsze i pod każdym względem, starać się iść wyżej!...

Kaplicki zaś, błyskając błękitnymi oczyma, szepnął:

— Ojciec chyba mnie zjō z radości, że tak sobie

sześcieliwie idę... a wierzchowca to mi już pewno kupi w tym roku!... zobaczycie, że ja kiedyś pomiędzy obywatelstwem naszym wysoko stanę!

Wyżej!... wysoko!... O, jakże ambicya przyrodzoną jest naturze ludzkiej! Chłopaki te, będące już prawie młodzieńcami, śmiały marzyć o wysokościach w tej nawet uroczystej chwili, gdy pomiędzy ścianami sali, górnio, płynnie, brzmiać rozlegać się zaczęły strofy Odyssei. Rozlegały się już one od chwil kilku, a oni zamieniali się jeszcze z sobą cichemi słowami:

— Milczéć! — zabrzmiał w stronę ich skierowany głos uczonego Hellenisty, nie po helleńsku jednak wyraz ten wymawiający.

Gdyby nie owe, tak zwane przez Greków, zakłócenia duszy, których młodzi ludzie od dość dawna już doświadczali w czasie wykładów Homera i Xenofonta, umilkli-by prawie natychmiast. Ale grunt wszelki tę już posiada właściwość, że, długo podminowywany, przy każdym dotknięciu i prędkiej, czy później, zerwanym być musi przez zgromadzoną w głębiach jego materiją palną!

— Mógł-by grzeczniej trochę przemawiać do nas — półgłosem wymówił Zegrzda.

— Chciał-bym, żeby ojciec wszystko to słyssał — sarknął Kaplicki.

Ławicz ruchem zniecierpliwienia podniósł ku głowie obie ręce.

— Niech dyabli wezmą! — jęknął — w głowie mi zaszumiło, nic już nie wiem i nie pamiętam!

Gniewało go to przedewszystkiē, że „zakłócenie duszy” korzystać, jak należy, z lekcyi nie pozwalało.

We wspaniały, brzmiały, płynny rytm *Odyseji*, wmieszał się znowu głos nauczyciela.

— Milczē! — zawołał, i ciszej nieco dodał inny jeszcze, w dykcyonarzach salonów i parlamentów niezajdujący się wyraz.

Najniespodzianiē w świecie i najsprzecznē z charakterem własnym, Ławicz podniósł twarz i, mglącemi się oczyma patrząc na nauczyciela, wymówił:

— Panie profesorze! mędrcy greccy utrzymywali, że „spokój jest pięknoscią”. Mnie się zdaje, że zdanie to bardzo słuszne.

Słowa te, wymówione srebrnym, w pół dziecinnym głosem, rozległy się po sali donośnie i dobitnie. Na dalszych ławkach wybuchnęły parskania śmiechem i zaledwie przytłumione chichoty.

Hellenista zaś, niepodzielający snadź zdań mędrców greckich, albo platonicznie je tylko admirujący, podniósł ramię i trzymaną w ręku *Odyseję* cisnął w stronę Ławicza. Starożytne dzieło zatrzepotało w powietrzu skrzydłami z bibuły i, uderzywszy się wprzód o głowę syna nowożytnej epoki świata, ze stukiem na ziemię upadło. Lecz w témże samém mgnieniu oka, niby odpowiedź na zapytanie, albo kula,

krzyżująca się ze strzałą, od strony ławki w stronę nauczyciela, leciał powietrzem wielki szklany kałamarz, roniąc po drodze strumień czarnego płynu. Leciał, lecz do celu swego nie trafił, i padając u samych stóp Hellenisty, z brzękiem rozbił się w drobne pyły.

Tym razem klasa oniemiała, a pośród nieruchomo na ławkach siedzącej ludności jēj podnieśli się i stanęli trzej młodzi ludzie. Ławicz stał bładym, jak chusta i z zaciśniętymi zębami; Zegrzda w zamian czerwony był jak piwonia, a z oczu jego błyskawice strzelały; Kaplicki załamał ręce, łyzy miał w oczach.

— Kto rzucił kałamarz? — rozległo się grzmiące pytanie.

— Ja — głośnie odpowiedział Zegrzda.

— A ty? czego wstałeś? — zapytał nauczyciel Kaplickiego.

— Ja... nie jeszcze!... ale niech pan profesor będzie łaskaw przebaczy Ławiczowi i Zegrzdzie... bo... jeżeli im... cokolwiek... to ja w gimnazjum być nie chcę.

W odpowiedzi na groźbę tę, Hellenista kazał poprosić Inspektora i zawołać bedela, a w kwadrans po tém dwóch młodych ludzi wyprowadzono z gimnazjalnego gmachu, trzeci zaś wychodził z nimi dobrowolnie. Kaplicki opuścił gmach gimnazjalny dobrowolnie, ale wrócić za nic już nie chciał. Na wieść o tém, ojciec jego, siwiejący szlachcic z poczciwą,

zdrową, jowialną twarzą, przybył do miasta, zmartwiony i przestraszony z razu. Grozić i gniewać się nie umiał, lub nie chciał, a na wszystkie namowy, prośby i przedstawienia jego, Michał odpowiedział:

— Niel

Zniechęcił się, zraził do szkoły tak, że aż nakoniec do kolan ojca przypadł.

— Wszak, ojcze, kawałka chleba mi nie zabraknie... Zresztą, jeżeli Ławicza wydała, ja bez niego z łaciną i greczyzną rady sobie nie dam...

Szlachcic, targając węża, namyślał się.

— To bo może i prawda! po kiego licha mu łacina ta i greczyzna. Czy on będzie z parobkami po łacinie, a z wołami po grecku rozmawiał?

I z energicznym giestem dokończył:

— At! filozofem i tak nie będzie, a gospodarzem zawsze być potrafi! Jeżeli nie nauczysz się tam niektórych dobrych rzeczy, to też i nie nauczysz się niektórych złych! Wal do domu!

Po kilku dniach, w ciągu których jedna z komnat zabudowań szkolnych była teatrem głębokich narad i rozważ nad teorią ustosunkowywania przestępstwa i kar, ze szczególnym uwzględnieniem przestępstw niepełnoletnich, ogłoszono wyrok, oznajmujący wydalenie ze szkoły Ławicza i Zegrzdy, a kończący się trzema prostymi i krótkimi wyrazami: „Nie przyjmować nigdzie”.

Zegrzda, usłyszawszy wyrok ten, zbladł z razu, ale potem wykręcił się na pięcie, gwizdnał i zawołał:

— Fiul fiul! Otóż mi biędę zrobili! pojedę do babuni i będę sobie na wsi jadł, pił i popuszczał pasal Babunia pogdérze trochę, a potem i sama będzie ze mnie rada, konia do jeżdżenia znajdę i książki z podróżkami z sobą zabiorę.

Ale Ławicz, chociaż stał obok przyjaciela, słów jego nie słyszał. Gdy w uszach jego zabrzmiały trzy końcowe wyrazy wyroku, tak proste i krótkie, uczuł, że serce bić mu przestaje, a świat znika z oczu. Przez chwilę ciemno było dokoła niego i naprzemian czerwono, zachwiał się, w obu rękach kurczowo ścisnął poręcz najbliższego sprzętu i stał tak chwilę bez głosu, oddechu i kropli krwi, w strasznie zbladłej twarzy. Potem odszedł z wolna, ze schyloną głową przeszedł ulic kilka i, wszedłszy do mieszkania matki, z głośnym, dziecinnie zanoszącym się płaczem, u kolan jój runął.

głowę podniósł, wyprostował się, spieczone i zaciśnięte usta jego zarysowały słaby uśmiech i słaby też wydały okrzyk:

— Zegrzda! Władek!

Tuż przed nim, na dźwięk okrzyku tego, zatrzymał się młody mężczyzna, którego powierzchowność przedstawiała z jego powierzchownością kontrast jaskrawy. Wysmukły i zgrabny, zgrabniejszym jeszcze wydawał się w obcisłym wojskowym mundurze, którego ozdoby i oszycia srebrne iskrzyły się pod blaskiem zimowego słońca. Z pod zgrabnego i połyskującego kepi ukazywała się twarz młodzieńcza, bardzo piękna i świeża, o ściągłych rysach, ciemnych błyszczących oczach i ponsowych ustach, ocienionych czarnym, gęstym wąsikiem. U boku młodego junkra, przy srebrnej opasce, stalowo błyskała pochwa krótkiej szpady.

— Ławicz! Zygmunciel!

Skostniała od zimna, chuda ręka Ławicza, znalazła się w okrytej białą rękawiczką dłoni Zegrzdy.

— Sto lat nie widzieliśmy się z sobą! I tak spotkać się na ulicy... co za wypadek! Ale nic to dziwnego, miasto małe... zawczoraj dopiero tu przyjechałem. Ale jakże ty wyglądasz! Czy chory jesteś... a!...

Ostatni, przeciągły wykrzyk Zegrzdy, nastąpił po spojrzaniu, którym orzucił on ubiór dawnego kolegi...

## II.

Od dnia owego minęło więcej nieco, niż dwa lata. W słoneczny dzień zimowy, na chodniku najludniejszej ulicy X., przesuwiał się pomiędzy tłumem przechodniów człowiek bardzo młody i bardzo dziwnie wyglądający. Miał on nie więcej, jak lat dziewiętnaście. Drobną i rzadką jeszcze zarost twarzy nie osłaniał woskowej bledkości wklęsłych jego policzków, a pomimo, że mróz ścinał śnieg, okrywający ulicę, w twarde i brylantowo iskrzące się bryły, ubranie jego składało się z lekkiego, znoszonego surduta, stariej, zszarzaną czapki i niezupełnie całego obuwia. Chód jego powolny był i chwiejący się; zapadłe, błękitne oczy bez blasku i nieruchomo spoglądały w przestrzeń, jakby nigdzie na świecie nie mogły, lub już nie chciały, spotkać się z upatrzonym, czy upragnionym, celem. Przygarbiony nieco, z rękoma ukrytymi w kieszeniach surduta, szedł tak dość długo, aż nagle w martwych oczach jego błysnęła iskra życia,

— Co to? dlaczego? jakim sposobem? — pytał ci-  
szęj znacznie i z wyrazem zmieszania.

Potém z najwyższém zdumieniem wymówił:

— Jakto! ty, Platonie... ty?... tak?

Nie dokończył. Ławicza najbliżsi koledzy prze-  
zywali w szkole Platonem, dla uczoności, a może téż  
dla powagi i skromności jego. Teraz przecież miał  
on bardziej pozór ucznia téj z filozoficznych szkół  
starożytności, która zalecała chodzenie nago, lub  
w półnago, spanie na słomie i żywienie się... prawie  
słomą.

— Ty... ty Salomonie, wzorze i wodzu nas wszy-  
stkich... tak... tak...

Świeże usta jego drgnęły, a wesołe oczy stały się  
mniej wesołemi i z wyrazem zdumienia tkwiły w twa-  
rzy przyjaciela lat chłopięcych.

Ławicz uśmiechnął się serdecznie i prawie weso-  
ło, a zamiast odpowiedzieć na zdziwienia pełne pyta-  
nia młodego junkra, zawołał:

— Ależ ty, Władku, świetny i wesoły, a rażny...  
jak dawniej!

— Ano, tak! dałem sobie rady i idzie to ja-  
koś, nawet wcale niezle!... Zimno dziś... Chodź do  
mnie...

Zatrzymał się chwilę, raz jeszcze spojrzął bacznie  
na twarz i ubranie przyjaciela i dodał:

— Albo lepiej wejdźmy do restauracyi. Zjemy  
razem obiad i pogadamy... dobrze?

Po krótkim wahaniu, Ławicz potwierdzająco ski-  
nął głową. Ktoś uważny spostrzegł-by że na propo-  
zycyą Zegrzdy zarumienił się on z razu i zmie-  
szał nieco, a potém coś, jakby radość, błysnęła mu  
w oczach.

Wchodząc do restauracyi, Zegrzda, kazał kelne-  
rowi otworzyć drzwi oddzielnego pokoju. Ławicz do  
podanego jedzenia rzucił się tak chciwie, że Zegrzdę  
chęć do jedzenia opuściła. Rzucając nóż i widelec,  
pochylił się ku towarzyszowi i prędko, przyciszonym  
głosem mówić zaczął:

— No cóż? powiedz otwarcie: w nędzy jesteś? ka-  
wałka chleba i butów całych nie masz? cóż ty robisz?  
czy masz jakie miejsce?

— A jakież ja miejsce mieć mógł-bym?

— Cóż robisz?

— Daję korepetycye uczniom gimnazyalnym  
i przepisuję papiery jednemu adwokatowi; ale teraz...  
od jesieni... korepetycyi jakoś niéma, a adwokat wy-  
jechał.

— A gdzie mieszkasz?

— Mam tam kącik w księgarni za szafą. Księgarz,  
stary kolega nasz, Żyrski... pamiętasz go? pozwala mi  
tam mieszkać...

— To jest... gdzie?

— No, za szafą... pomiędzy jedną z szaf, a ścia-  
ną, uważasz? jest akurat tyle miejsca, ile potrzeba na  
postawienie łóżka...

Zegrzda parsknął głośnym śmiechem.

— A to komedya! słowo honoru! sprytniej-byś zrobił, gdybyś ulokował się za szafą jakiego szewca. Mógł-byś przynajmniej wyciągnąć z niej sobie w nocy jaką parę butów!

Ławicz śmiał się także.

— Widzisz, Władku — szepnął — każda sytuacja ma swoją jasną stronę...

— A niech-że dyabli wezmą sytuacją taką!... Cóż ty w niej jasnego dopatrzeć mogłeś...

— Sypiając za szafą księgarza, budząc się o świcie, wyciągam z niej sobie książki... czy wiesz? nauczyłem się wybornie czytać książki bez rozcinań kart.

Zegrzda wpatrzył się w towarzysza osłupiałym wzrokiem.

— A niech-że cię dya... — zaczął, ale powstrzymał się i ciszej zapytał:

— No, sypiasz więc za szafą księgarza. A gdzież jadasz?

— Prawdę powiedziawszy, stale... nie jadam. Żyrski zaprasza mnie czasem na obiad, ale ja sam często chodzić do niego nie chcę... Zresztą, chleb na świecie jest prawie zawsze, czasem bywają bułki, a czasem nawet bywa i mléko...

— A mięsa na przykład, zupy, herbaty, niema na świecie? — zapytał junkier.

— Dawno już były — z uśmiechem odparł Ławicz.

W wesołym oku Zegrzdy zakreśliła się łaża, i w tej samej chwili pięścią o stół uderzył.

— A niech-że go licho porwie! — krzyknął.

— Kogóż to przeklinasz?

— A cały ten świat, na którym tacy, jak ty...

Ławicz rozgrzana już nieco rękę swą na ramieniu towarzysza położył.

— Słuchaj, Władek! — rzekł — świata przeklinać nie trzeba nigdy. Pięknym on jest, skoro wydał z siebie wielkich ludzi i wielkie idee, tylko...

— Tylko co?

— Tylko czasem niektórym jednostkom żyć na nim bardzo ciężko.

— Pal-że dyabli jego piękność, jeżeli na nim żyć ciężko! Ale ty zawsze taki, jak byłeś...

— A ty? — zapytał Ławicz.

— Ja? — z zastanowieniem odpowiedział Zegrzda — i taki, i nie taki. Mnie żyć nie ciężko...

Kelner zdjął ze stołu nakrycie i resztki zjedzonego obiadu, a nad stołem zapalił lampę, bo wczesna w zimie szara godzina zaglądała już do pokoju.

Zegrzda opowiedział towarzyszowi, że po katastrofie, która ich obu spotkała, pojechał do babki, jedynej od dzieciństwa opiekunki swój, a mieszkającej w małej wioszczynie, będącej jej własnością.

— Tom się dopiero złapał! kął pomiędzy lasami



i mokremi łąkami, jak grób. Antypody, mówię ci, koniec świata. Babka, święta kobieta, ale od rana do wieczora różańce odmawia, albo na sługi gderze; koło niej dwie odwieczne baby, które jej usługują, kury hodują i séry robią, święte takie, ale straszne, jak czarownice. Stary ekonom, trzech parobków, dwie dziewczki folwarczne... ot wiesz? jedna z nich śliczna była, jak malowanie i, żeby jej babka nie wydała, kto wie, czy wyjechał-bym z Hrynek. No, ale wydała, bo te baby czarownice plotek na nas narobiły. Nieprzyjemności z tego powodu miałem mnóstwo i, co prawda, nie bardzo może tego spisałem się z tą Pawlinką. Ale kiedyż bo nuda była... Żeby to był majątek większy, wziął-bym się może do gospodarstwa, ale folwarczyna taka, że, jak pies na niej położy się, to ogon mu już na cudzych gruntach leży. I w dodatku stary ekonom, który do niczego wtrącać się nie dawał. Jedzenia było w bród i wygody wszystkie; ale człowiek nie świnia, żeby tylko jadł ciągle i wylegiwał się... inną też przyjemności jakiejś potrzebuje i jakiegoś celu do życia. Nabrałem był z sobą książek i z początku dużo czytałem... potem jakoś i to zbrzydko. Zacząłem jeździć do miasteczka, tam poznałem się z kilku oficerami. Grywaliśmy z sobą trochę w bilard, trochę w karty, aż jeden z nich zaczął mnie namawiać, abym do wojska wstąpił. Z początku jakoś mi się to nie zdawało. Nie mogłem przywyknąć do myśli, że z moich projektów uczenia się

nauk przyrodniczych, a potem zostania podróżnikiem, nic nie będzie. Jednakowoż jasno było, że nic z nich nie będzie. Więc, raz, dwa, trzy! i zostałem tém, czém mię widzisz. I dobrze zrobiłem. Wesołe sobie, swobodne, koleżeńskie życie, a i karierę przecież jakąś przed sobą widzę, i u babki na karku, jak ostatni niedołęga, siedziéć nie potrzebuję...

Ze wszystkiego widać było, że czuł się z położenia swego zadowolonym; popatrzył na Ławicza, uderzył się dłonią w czoło i zawołał:

— Słuchaj, Zygmunciel pomysł genialny! a żebyś i ty do wojska wstąpił!

Ławicz aż drgnął i wraz z krzesłem swém cofnął się od zdziwienia.

— Ja! — zawołał — ja?

— A no, cóż? Lepiej to przecież sto razy, niż spać za szafą u księgarza, w dziurawych butach chodzić, czasem tylko obiad jadać. Bylibyśmy znowu kolegami i miałbyś przecie coś przed sobą...

Ławicz ochłonął ze zdziwienia i zamyslił się.

— Spać za szafą i w podartych butach... — mówił w zamysleniu — to nic, mniejsza o to! Ale widzisz! mam wielki smutek i wielkie nieszczęście. Matka moja straciła zdrowie i pracować już nie może. Wyjechała do krewnych na wieś, gdzie żyje z cudzej łaski i niebardzo jej tam wesoło... A ja... no, ja... nic nie mogę!

Tym razem zarumienił się gorąco, i twarz jego

przebiegło bolesne drgnięcie. Zegrzda przez cały kwadrans przedstawiał mu dobre strony podanej przez siebie propozycji. W mowie jego mieszały się poważne rozważania, serdeczne słowa współczucia i wesołe opowiadania o życiu wojskowym.

— Odkarnięć cię — dokończył — ustroję, zaprotęguję... examini zdasz i... kepi włożysz!...

Przy ostatnich wyrazach wziął ze stołka czapkę swą, i srebrnym jej oszyciem pod światłem lampy błyskała. Bawiła go ona i cieszyła widocznie.

Ławicz długo nie odpowiadał, aż, podnosząc powieki, z uśmiechem, któremu bladość warg i wklęsłość policzków nadawały wyraz słodczy i cierpienia, nieśmiało trochę szepnął:

— Widzisz bo, Władku, dziś właśnie z rana czytałem mowę, którą Musonius Rufus miał do wojsk rzymskich, o zgubności wojen i zepsuciu, panującym najczęściej w zawodzie żołnierskim.

Zegrzda znowu parsknął śmiechem.

— A niech-że cię nie znam! — zawołał — któż to był taki ten Musonius Rufus?

— Jaktó, nie wiész? filozof z czasów Wespazjana...

— Puść go, mój kochany, na paszę i z nim razem samą panią filozofią...—wstając i kładąc na głowę swe ładne kepi, zaśmiał się Zegrzda.—Ot, chodź do mnie na nasz koleżeński wieczorek. Będę dziś miał u siebie kilku junkrów i dwóch oficerów. Nie wiem dlacze-

go, ale wszyscy lubią mię w pułku i oficerowie nawet bywają u mnie... Cóż? pójdziesz? Będzie też Kapli-cki. Pamiętasz go? zesłiśmy się z nim wczoraj w restauracyi...

— Michaś! — zawołał Ławicz. — Jakże on wygląda? co porabia? jak mu się powodzi?

— Chodź do mnie, to go zobaczysz.

Poszli.

Niewielu zapewne mieszkańców i miłośników miasta wie o tém, że jedną z najbardziej ciekawych rzeczy, które w miastach widzieć można, są w wieczory i noce zimowe oświetlone okna różnych mieszkań. Znajdują się one na wysokościach różnych, błyszczą różnymi światłami i, Boże! co za różnaitość zajęć, losów i uczuć ludzkich po-za niemi istnieje!

W głębi dużego dziedzińca, otoczonego niskimi domami, w niskiej drewnianej oficynie, trzy okna mieszkania Zegrzdy jaśniały dość rzęsiwym światłem. O zasłanianiu ich okienicami nikt nie myślał, to też, przez cały długi zimowy wieczór, można było widzieć z dziedzińca, rysujące się na oświetlonych szybach, liczne cienie ludzkich postaci, i słyszeć, napełniający mieszkanie, a coraz głośniejszy i weselszy, gwar ludzkich głosów. W gwarze tym toczyły się opowiadania, wybuchały śmiechy, dzwoniła stal ostróg, brzęczały talerze i kieliszki. Raz, z kilku głosów gniewnie podniesionych, wnieść można było, że wszczynają się tam spór czy kłótnia, lecz wkrótce głosy te niży-

ły się i umilkły, a natomiast wyróżnić się poczęły z gwaru pojedyncze, z brzemieniem zapału wymawiane wyrazy: *écarté! stukalka!* <sup>1)</sup> bank, parol, mazo i t. p.

W zupełnej już prawie ciszy, zalegającej miasto, rozległo się na kościelnej wieży jedno basowe, przeciągłe uderzenie zegara. Wkrótce potem, w głębi wielkiego dziedzińca, którego ciemność blado oświecały śniegi, leżące na dachach, i dwie u bramy palące się latarnie, za trzema oknami oficyny, stuknęły wyskakujące z butelek korki szampana, i tym niby pistoletowym wystrzałem zawtórował donośny, dźwięczny, choć nieco fałszywy, głos kobiecy, śpiewający na zabój zwrotkę bardzo wesołej pieśni.

W tej samej chwili, prędko i ze stukiem otworzyły się drzwi oficyny, a przez nie wybiegli na dziedzińiec dwaj mężczyźni, z których jeden bardzo lekko ubranym być musiał, bo wnet drżać zaczął od zimna, drugi miał na sobie zgrabny i dostatni paltot futrzany. Ten drugi, dobiegłszy do połowy dziedzińca, zawołał:

— Dziękuj! Już mię Władek nie złapie nigdy na swoje wieczorkil paskudztwo i nic więcej!

— Jak oni żyć tak mogą? — zadziwił się pierwszy.

— Zachciałeś? jakbym ja im ze trzech Lejzorków

---

<sup>1)</sup> Nazwa jednej z gier kartowych.

na karku posadził, zaraz-by im trochę statku do głowy weszło! Chociaż i Władek przyznał się dziś przede mną, że ma trochę długów...

— Więc pocóż...

Pytanie, które Ławicz formułować zaczął, przerwaniem zostało wołającym za nimi głosem:

— Czekaścież, czekaścież! pożegnajcież się ze mną przynajmniej!

Zegrzda, z odkrytą głową i zapalonem cygarem w rękę, dogoniwszy oddalających się swych gości, zwrócił się do Ławicza:

— No cóż, Zygmus, przyjdiesz jutro do mnie, czy nie? będziemy kolegami, czy nie?

— Nie — łagodnie, lecz stanowczo, odpowiedział zagadnięty.

— Dlaczegoż to?

Ławicz mileżał chwilę, potem głosem, w którym czuć było uśmiech, odpowiedział:

— Mój drogi! Musonius Rufus miał rację...

Przy jaskrawym, przelotnym błysku cygara, ukazała się na mgnienie oka piękna twarz Zegrzdy, rozgrzana od trunku i panującego w mieszkaniu gorąca, z niezdrowo pałającymi oczyma.

— Idź że sobie do licha, z swoim Musoniuszem razem! — zawołał. — Werbownikiem przecież nie jestem i proponowałem ci to tylko przez przyjaźń. Jeżeli ci głód tak miły, zostań-że z nim sobie...

Ławicz pochwycił go za rękę.

— Nie gniewaj się — śpiesznie mówić zaczął. — Wdzięczny ci jestem i obrażać cię nie chcę. Ale widzisz, zawód ten i życie takie — dla mnie niepodobne. Głód nie jest miły, ale miłszy czasem, niż...

— Niż co?

— Niż takie marnowanie się — dokończył Kaplicki, śmielszy widocznie od Ławicza w mówieniu ludziom tego, co ich obrazić lub zranić mogło.

— A ty... ze swymi Lejzorami, parobkami i grabobiciami, nie marnujesz się? — zapytał Zegrzda.

— No, co robić? ale człowiek przynajmniej po bożemu żyje i... po swojemu mówi, a z nazwiska jego nikt sobie żartów nie stroi, tak, jak dziś, z twego...

— To też i ja pokornie tego nie znoszę — zmieszonym nieco głosem odparł Zegrzda. — Stałem śmiało i umilkli.

— Jak uważasz, ale Ławiczowi zimno... dobranoc!

Odchodzili już, lecz Zegrzda parę kroków za nimi postąpił.

— Poczekajcie trochę — zaczął cichszym znacznie głosem, i w zamysleniu, jakby strzepując pył z cygara. Widzicie - bo, wszak ludzie różnie żyją na świecie.

— To prawda — potwierdził Kaplicki.

— Każdy żyje tak, jak musi... jak mu tam już wypadło, prawda?

— Władku! — podchwycił Ławicz — pocóż tłómaczysz się... myśmy przecież nie chcieli zmartwić cię, ani obrazić...

— Nie, ale wyobrażacie sobie, że ja... marnuję się!...

— Prawdę a Bogiem, mnie się tak zdaje — rzucił Kaplicki.

Zegrzda stał chwilę milczący, z pochyloną głową, i wciąż, wciąż gięstem gwałtownym strzepywał pył ze swego cygara. Nagle wyprostował się, podniósł głowę i cicho wymówił:

— Może!

Potem pochwycił ręce obu dawnych towarzyszy swych, ścisnął je, wstrząsnął nimi mocno, długo, i skierował się szybko ku drzwiom oficyny.

Idąc obok Ławicza chodnikiem ulicy, Kaplicki mówić zaczął:

— Tak przecież, jak jest, pozostać z tobą nie może. Cóż ztąd, że ja z największą w świecie przyjemnością służyć ci teraz będę, czém mogę? Wszystko to tymczasowość; trzeba coś stałego wymyślić...

— Mam nadzieję, że, jeżeli Żyrskiemu księgarnia pójdzie dobrze, będzie on pomocnika potrzebował i mnie tym pomocnikiem...

— Ale! ale! nadzieja!... jeżeli!... a tu pilno! Wiész co? może-bys ty do jakiego biura...

— Myślałem już o tém, ale wstęp do biur trudny, stosunków i protekcyi nie mam...

— A! dobrze, że mi o tém wspomniałeś! może-by cię Dębski zaprotegował. Przyjechałem tu za interesami... żeby ich dyabli wzięli!..

— Kogo?

— A interesa tel! Dwa procesa mam z włóścianami o wypasy, i z żydem o spalenie karczmy... Byłem wczoraj w Izbie i, wystaw sobie.. patrzę! Maryan Dębski... on sam... w mundurze... pytam się znajomego urzędnika: kto to taki? a ten powiada: kandydat do posad sądowych, pół roku temu, z uniwersytetu przyjechał...

— Cóż, witaliście się?

— Nie; ja go tam i w gimnazjum niewiele znałem. Przeszedł koło mnie i nie poznał, czy udał, że nie poznał; ja też nie narzucałem się... Ale teraz pójdę... pójdziemy do niego obaj, dobrze?

— Dobrze.

Stanęli przed jednym z najpiękniejszych hotelów w X.

— Ja tu mieszkam — rzekł Kaplicki — chodź, przenocuj u mnie. Raz przynajmniej prześpisz się wygodnie, niż tam... za tą szafą!..

Ławicz stanowczo nie przyjął po wiele razy powtórzonych zaprosin, a rozstawszy się z towarzyszem, wszedł w bramę jednej z kamienic, i otworzywszy w dziedzińcu drzwi, od których klucz miał w kieszeni, znalazł się w malutkiej izdebce, mieszczącej się u tylnego wejścia księgarni. Z małą lampą, którą

zapalił, przeszedł on izdebkę, tak zapełnioną książkami, że nikt i nie już prócz nich pomieścić się w niej nie mogło, i znalazł się w znacznie większym pokoju, będącym właściwą księgarnią. Tu, prędko i z niecierpliwością z jednej z szaf wyjął książkę i, postawiwszy lampę na kantorze, usiadł przy świetle jej i pograżył się w czytaniu. Książka miała być nazajutrz oddaną jednemu z klientów księgarni, drugiego jej egzemplarza nie było, Ławicz więc tej nocy przeczytał ją musiał. Musiał. Przy obiedzie w restauracyi i na wieczorze u Zegrzdy myślał o niej, dla niej to odrzucił zaprosiny Kaplickiego, a teraz, gdy miał już ją w rękę i przed oczyma, wyraz twarzy jego był taki, jakim okrywa się czasem twarz kochanka, gdy wolno mu nakoniec porozmawiać chwilę z dawno niewidzianą oblubienicą. Ale w lampie nafty było niewiele, a Ławicz zapasu jej nie posiadał. Więc, gdy przygasać zaczęła, zbliżył się on do okna i, poruszywszy sprężynę, zamykającą okienicę, otworzył nieco tę ostatnią, a przez uczynioną szczelinę spójrzył, czy dzień już nie świta.

Świtało; szaro jeszcze było wprawdzie, ale tak, że można już było bez sztucznego światła literę od litery odróżniać. Na widok ten, młody człowiek uczynił giest radości, poskoczył w głąb księgarni, zniknął na chwilę w dużej szczelinie, istniejącej pomiędzy jedną z szaf, a załamaniem muru, wyniósł ze szczeliny tę sporą kromkę czarnego chleba, i w jednej ręce trzy-

mając ją, a w drugiej rozwartą książkę, usiadł przy oknie. Dotknął znowu sprężyny, okienica szerzej nieco uchyliła się z zewnątrz, i przez część odsłoniętego okna wpłynęła smuga światła, złożona z szarego światła dnia i mglistej bieli śniegu. Wkrótce światło to stawać się zaczęło coraz bielszém, a pod ścianami pokoju wylaniały się z cienia szeregi książek, których oprawy tu i owdzie czerwieniły się, błękitniały i złotemi ozdobami mętnie błyskały. Pomiedzy zasłaną śniegiem i całkiem bezludną ulicą, nad którą w górze ciągnęły mglisto-różane obłoki, a pokojem, którego głębią zalegały cienie, upstrzone widmami różnobarwnych książek, w strudze białego światła, na stolku siedząc i jedną ręką przewracając karty, drugą kromkę chleba przy ustach trzymając, Zawicz kończył czytanie swój książki. Skończył je zaś w chwili, gdy na ulicy zabrzęczały dzwonki sań dorozkarskich, kędyś w pobliżu dźwięknęła piła tracza, a na chodniku śnieg zaskrzytał się pod pierwszym promieniem słońca, i zaskrzypiał pod krokami nucącego pieśń nabożną, kościelnego dziada. Wtedy wstał i znużonym krokiem wsunął się pomiędzy szafę, a załamanie muru, w szczelinę, będącą jego sypialnią. Do porry, w której otwierały się na ulicę drzwi i okna księgarni, pozostawało jeszcze godzin parę.

### III.

W południowej porze, sale Izby cywilno-kryminalnej roiły się ludźmi. W przedpokoju, przed długimi jak świat wieszadłami, pełnemi futer i płaszczy stał lub przechadzał się barczysty, wąsaty, z ciemną twarzą i mocno zaczerwienionym nosem, stróż Izby, Paweł Rębko. Z kroju i błyszczących guzików jego ubrania poznać można było, że był on dymisyonowanym żołnierzem, a powaga jego kroków i wyniosłość spojrzeń znamionowały pewną dumę, jak téż i głębokie z zajmowanego stanowiska zadowolenie. Oczy miał dość pojętne i bystre, a wchodzącym do przedpokoju Izby przypatrywał się bacznie i ciekawie, ku jednym poskakując śpiesznie w celu zdjęcia z nich płaszczy a nawet i kaloszy, na innych spoglądając z daleka, z powagą i sztywnie. Ci inni, byli to włościanie w żółtych kozuchach, żydzi w długich chałatach, zagrodowi szlachcice w szarych kapotach, grubością rąk i nieśmiałością ruchów okazujący małe oswojenie

się z miastem i jego wielkościami. Ku tym wszystkim ludziom Rębko nie myślał wcale poskakiwać, ani nawet jakkolwiek zbliżyć się; ale oni sami często zbliżali się do niego, zapytując o różne szczegóły miejsca i czasu, prosząc o różne objaśnienia. Na pytania te Rębko nie tylko odpowiadał, lecz i sam także z kolei rozpytywać się zaczynał: zkąd? dlaczego? po co? za jakimi interesami? Gdy zaś otrzymał stosowne odpowiedzi, udzielał rad, przestroóg i rekomendacji. Najczęściej rekomendował samego siebie, jako wielkiego znawcę prawa i bliską znajomością z różnymi dygnitarzami związanego, o czém słysząc, ludzie w kozuchach, siermięgach albo kapotach, z radością widoczną wygłaszać przed nim zaczynali sprawy i troski, z któremi do miasta i sądowego miejsca przybyli. Wtedy, z miną monarchy, mającego niesłychaną łaskę poddanym swym wyświadczyć, Rębko przyrzekał im pomoc swoją i swoich znajomych, mówił im, gdzie mieszka, i wskazywał godziny dnia, w których w domu bywa. Widocznie był to w swoim rodzaju mąż prawa, werbujący tu klientów dla siebie przedewszystkiém, a następnie dla tych z pomiędzy adwokatów miasta X, którzy wciśniętą mu w rękę monetą zapisywali się w jego pamięci.

Kiedy Kaplicki i Ławicz weszli do przedpokoju Izby, Rębko nader uprzejmie posunął się ku młodemu człowiekowi, w którym po świeżej cerze twarzy i dostatniém ubraniu odgadł zamożnego mieszkańca wsi.

Na Ławicza spojrział ciekawie z razu, potem lekceważąco.

— Pomóż panu zdjąć paltot — wskazując na towarzysza, rozkazał mu Kaplicki.

Ławicz miał już dnia tego paltot, dość ciepły, choć nie wytworny. Po zdjęciu jego, ukazał się też cały i czysty surdut. Metamorfoza ta w ubraniu zasła w skutek stanowczej woli Kaplickiego, który utrzymywał, że jak cię widzą, tak cię piszą, i że bez porządnego mniej więcej ubrania, nic z ich wyprawy dzisiejszej być nie może.

Weszli obaj do sali audyencyonalnej, na której długie, wysokie i nagie ściany, dzień zimowy zarzucał przez dwa ogromne okna monotonną płachtę białego światła. Pod oknami stały dwa stoliki, przy których, na brudnym zielonym suknie, dwie szczupłe, przygarbione figury, w wytartych surdutach, pilnie i szybko zapisywały sine arkusze papieru; pod ścianami siedziało na ławach osób mnóstwo, mężczyzn w surdutach, siermięgach i chałatach, kobiet w kapeluszach lub chustkach na głowach. Większość osób tych trzymała w rękach swoje papierów; ilość pewna obecnych przechadzała się po sali, pełnej tłoku wchodzących, wychodzących, rozmijających się, gwaru toczonych półgłosem rozmów, wzbijających się nad gwarem piskliwych głosików niewieścich, tłumionych szlochań, powściągliwych wykrzyków gniewu lub rubasznego śmiechu. Zgromadzenie to odznaczało się

tą jeszcze osobliwością, że przy każdym poruszeniu drzwi, znajdujących się w głębi, wszystko, co istniało w sali, zwracało ku drzwiom tym twarze, a wszystko, co siedziało, zrywało się na równe nogi. Przy drzwiach tych, wysokich, białych i szczelnie zamkniętych, stał także stróż, mniej jednak dumny i poważny od Pawła Rębki, dla tego może, iż, zamiast ex-wojskowego, miał na sobie cywilny, zielonym tylko kołnierzem ozdobiony, mundur. Strzegł on tu wejścia do komnaty, w której zasiadał sąd, a z której co chwila wypadali i do której wpadali, śpiesznie przebiegający salę, naczelnicy wydziałów, sekretarze i woźni. Wszyscy ci ludzie, w mundurach, mniej więcej błyszczących od złotych guzików, szli albo i biegli w schylonych od pośpiechu postawach, z zakłopotanemi twarzami, niecierpliwie torując sobie drogę przez tłum, który za zjawieniem się każdego z nich w znacznej części doznawał emocyi wielkiej. Raz jednak powolniej i ciszej, niż zazwyczaj, otworzyły się drzwi, zwracające na siebie uwagę powszechną, i ukazał się w nich młody mężczyzna, ani zgarbiony, ani zakłopotany, ani śpieszący. On także miał na sobie urzędowy strój, połyskujący złotemi ozdobami, a wysoki był, kształtnie i dość silnie zbudowany, z piękną bladawą twarzą, otoczoną krótkim, ciemnym zarostem. Na widok jego, w tłumie zaszepiano:

— Sędzia! Sędzia! Nie, kandydat na sędziego! Może przyjmie... może wysłucha...

I znaczna ilość osób, wyciągając ręce z papierami i wymawiając za ledwie zrozumiałe od zmieszania wyrazy, posunęła się ku niemu. On chłodnym wzrokiem powiódł dokoła i ze spokojnym lecz stanowczym gięstem, urzędowym językiem wymówił: Nie pora i nie miejsce.

Głos to był dźwięczny, młody, ale tak suchy i nakazujący, że tłum w mgnieniu oka rozproszył się, kobiety nawet ze spuszczonei głowami pod ściany odeszły, a przed urzędnikiem zostali tylko dwaj młodzi ludzie, którzy też, jakby na powitanie, wyciągnęli ku niemu ręce.

— Michał Kaplicki—wymówił jeden z nich.

— Ławicz—szepnął drugi.

Urzędnik uczynił ruch nieprzyjemnego zdziwienia i zdawało się, że powtórzy słowa, przed chwilą do tłumy wymówione: Nie pora i nie miejsce!

Lecz Kaplicki trzymał już jego rękę w swojej silnej, ogorzałej trochę, dłoni, a drugą wskazywał na Ławicza.

— Czy poznajesz nas pan, panie Dębski? koledzy szkolni... choć młodszy, ale zawsze koledzy, a Ławicz uczniem także był pańskim...

Dębski, bardzo chłodno dotknął ręki obu młodych ludzi, i w urzędowym języku odpowiedział:— Witam! witam!—chciał odejść; ale Kaplicki trzymał go za rękaw mundura.



— Prosimy o chwilę rozmowy...

Urzędnik grzecznie, ale bardzo sztywnie, odpowiedział:

— Chętnie służyć będę, ale w inném miejscu i innéj porze.

Znowu odchodzić chciał. Kaplicki zarumienił się od gniewu.

— Paniel!—rzekł, zachodząc mu drogę—my dali-bóg czekać nie możemy, aż nas pan w mieszkaniu swém przyjąć raczysz. Tuśmy pana zobaczyli, tu prosić będziemy...

— Służę więc, służę...—Z niecierpliwém drgnięciem brwi odrzekł Dębski i skierował się ku oknu, w najdalsze od tłumu miejsce sali. Kaplicki pociągnął tam Ławicza, i półgłosem, ale żarliwie, opowiadać zaczął Dębskiemu sprawę, z którą do niego przybyli.

Piękny mężczyzna, w ubraniu ze złotemi haftami, stał i słuchał, w zupełnej nieruchomości postawy i twarzy. Była to ta sama twarz, co przed kilku laty, myśląca, chłodna, dumna, tylko okrywająca ją cera więcej nieco pobladła, siwe źrenice nabrały zimnój, kryształowój głębi, a zarys ponsowych ust surowszym jeszcze stał się i skrytszym. Ktokolwiek w téj chwili patrzył-by na niego, wnieść-by mógł na pewno, że gorącej mowy stojącego przed nim młodego człowieka wysłuchiwał on nietylko obojętnie, ale nawet z uczuciem przymusu i niecierpliwości, które dlatego tylko nie wybuchało na zewnątrz, że wybu-

chanie wszelkie było mu całkiem niepodobne. Raz tylko, w ciągu mowy Kaplickiego, wzrok jego opuścił niewiadomy jakiś punkt przestrzeni, w którym tkwił ciągle, spoczął przez chwilę na twarzy Ławicza, zmącił się i ukrył pod spuszczałającemi się powiekami.

— Widzisz pan —kończył Kaplicki—Ławicz nieśmiały jest i, prawdę mówiąc, niepraktyczny. Na szczęście spotkałem go wczora i poradziłem, aby się udał do pana. My wieśniacy oswojeni teraz jesteśmy z sądowemi miejscami, i języka w gębie, dla byle czego, nie zapominamy. Ot i mnie tu teraz ojciec przysłał, abym za interesami chodził. Dwa procesa, proszę pana: jeden z chłopami o pastwiska, drugi z żydem o...

Tu przerwał Dębski:

— Nie wiem, czy będę mógł cokolwiek dla pana Ławicza uczynić. Jeżeli będę mógł, zobaczę...

Lekkiém skinieniem głowy i chłodnym uśmiechem pożegnał ich i odszedł. Odchodząc, rzucił z pod brwi baczne i bystre dokoła spojrzenie, jakby chciał przekonać się, czy widziano go rozmawiającego z dwoma młodymi ludźmi, z których w jednym każdy poznał-by wiejskiego obywatela, w drugim wykolejonego, bez żadnej określonej pozycji, człowieka.

Na dziedzińcu Izby znalazłszy się, Kaplicki zaklął:

— A to panie z tego Dębskiego bożek olimpijskił Wątpię, aby cokolwiek dla ciebie zrobił..

— I ja wątpię — potwierdził Ławicz. Jednak — dodał zaraz — oddał mi już parę razy ważne usługi...

— El to było dawniej! przez kilka lat zrobił się większym jeszcze egoistą i pyszałkiem. Nic z tego nie będzie. Ręczę, że w tej chwili już tak zapomniał o naszej prośbie, jakby nas na świecie nie było...

Jednak, o szarą godzinie, do hotelowego pokoju, w którym Kaplicki i Ławicz przy samowarze i przyrzędach do herbaty siedzieli, wszedł barczysty, wąsaty człowiek w ex-wojskowym ubraniu i gospodarzowi mieszkania wręczył wizytową kartkę, na której urzędowym alfabetem wylitografowane było imię i nazwisko Maryana Dębskiego, na odwrotnej stronie urzędowym też językiem nakreślone znajdowały się wyrazy:

„Zygmunt Bolesławowicz Ławicz przyjsć może jutro w południe do Izby, gdzie otrzyma stałe zajęcie z pensją 25-ciu rubli miesięcznie.”

Kaplicki ogniście przyjaciela w oba policzki wycalował.

— Winszuję! winszuję! — a ku posłańcowi zwrócił się. — Proszę kłaniać się od nas panu Dębskiemu i pięknie podziękować...

Zamiast odejść, posłaniec na środek pokoju postąpił, wyprostował się, jak struna, i ręce jak struny wzdłuż boków wyciągając, zaczął:

— Mam honor rekomendować się: Jestem Paweł Rębko, także urzędnik przy pałacie. Może Wiel-

możny Pan interesa jakie ma? mógłbym adwokata za-rekomendować, albo może mniejsze *działa* <sup>1)</sup> i sam załatwić.

Zwracając się zaś do Ławicza, ze znacznie swobodniejszą postawą mówił:

— Pan teraz potrzebować może będziesz mieszkania w pobliskości *pałaty*. Mogę rekomendować salkę na strychu, na tym samym dziedzińcu, gdzie ja mieszkam. Trzy ruble na miesiąc; czysta, widna; żona moja gospodarskie potrzeby *uskutecznić* będzie, a ja pana czasem nauczę, jak i co w *pałacie* robić. Bo ja *pałatę* znam, jak swoje kieszenie, i prezydenta *pałaty* znam. Mikołaj Hilaryonowicz! dobry człowiek, tylko czasem bardzo *zapalczywy* i trzeba z nim ostrożnie, bo jak zagniewa się, to tak, za byle co, weźmie i wypędzi, cha! cha! cha! cha!

---

<sup>1)</sup> Sprawy

IV.

Otrzymał więc stałe zajęcie przy jednym właśnie z dwu tych stolików, które stały u dwu ogromnych okien sali audyencyonalnej. Wchodził do sali codziennie o godzinie 9-jej zrana, siadał przy stoliku i nie wstawał do 3-ciej lub 4 tej, chyba zawołany przez którego ze zwierchników, co się jednak zdarzało rzadko. Dokoła niego wrzał najczęściej ruch i gwar, całkiem mu obojętny. Pogrążony w robocie swój, na nikogo nie patrzył i nic nie słyszał. Czasem tylko, gdy sala bywała wyjątkowo pustą i cichą, podnosił głowę z nad papierów i przez chwilę wsłuchiwał się w ciszę, tém rozkoszniejszą tutaj, im radszą, a którą przerywało tylko poważne stąpanie przechadzającego się po przedpokoju Rębki i dochodzące z sali posiedzeń, głośnie, monotonne czytanie. W chwilach tych, kędyś w dal rwące się oczy jego zatrzymywały się na wielkich szybach okna, po których w jesieni ciekły grube strugi deszczu, albo na wiosnę

wiły się ukośne promienie słońca. Czasem téż, przez krótką chwilę, ale z połączeniem zdziwienia i uśmiechu, przypatrywał się najbliższemu towarzyszowi swemu, pracującemu przy drugiem oknie sali. Był to człeczyna niestary jeszcze, bo zapewne 40-tu lat pełna niemający, ale chudy, przygarbiony, z głową całkiem prawie włosów pozbawioną. Z powodu tej połyskującej nagości czaszki, wystających kości policzkowych, długiego nosa, spiczastej brody i okrywającej to wszystko suchej, żółtawej skóry, wyglądał on na figurkę, wyrzeźbioną z kości, a w wytarty i niezgrabny surdut przybraną. Twarz ta, z ptasim profilem, była tak kościaną i martwą, do ust jej szerokiach, wklęsłych, tak zdawał się przyrośniętym uśmiech przymilający się i pokorny, małe siwe oczy tak trwożliwie biegały, gdy wchodził do sali, a z taką osłupiałością wpatrywały się w siną bibułę, gdy raz pisać już zaczął; że Ławicz przypatrywał się mu z razu ze zdziwieniem, potem z uśmiechem, potem z obawą. Być może, iż przez głowę przemknęło mu pytanie:

— Może i ja... kiedyś...

Lecz wnet potem prawie głośnie zaśmiał się i błyszczące oczy jego wzniosły się ku najwyższej szybie okna, w której słońce rozpałało ognisko isker i promieni.—O, nie! O, nie! Świat pięknym jest, skoro powstają na nim wielcy ludzie i wielkie idee, a dusza ludzka, która je zna, skonać nie może!

Myślał nieraz, że w najbliższym jego towarzyszu

biurowym dusza skonała. Pracowali obok siebie od dość już dawna i prawie nie znali się. Czy kościana figurka, ubrana w wytarty, obwisły surdut, umiała mówić? po kilku miesiącach codziennego widywania jęj, Ławicz nie mógłby jeszcze powiedzieć na pewno. Widział w zamian, że na głos wołającego ją zwierchnika, umiała ona nerwowo zadrżnąć, zrywać się i biedz tak śpiesznie a trwożliwie, jak biegnie pies myśliwski na świśnięcie pana swego. Ale była to jedyna u nięj oznaka życia, poczem znowu na czole, połyskującym a nagością czaszki powiększonym, osiadała grobowa cisza, szerokie, wklęsłe usta uśmiechały się pokornie i martwo, a długa, sucha, żółta ręka posuwała się po papierze ruchem powolnym, ale tak monotonnym i nieprzerwanym, jak gdyby była kończyną maszyny jakiejś, z niezmierną regularnością nakręcanęj i funkcyonującej. Raz jednak,—a był to słotny dzień jesienny,—Ławicz spostrzegł, że kościana figurka, o której wiedział, że nazywała się Piotrem Kwirą, dawać zaczyna pewne znaki życia. Naprzód, wchodząc do sali, Piotr Kwira nie rzucał już dokoła trwożliwych spojrzeń, ale patrzył wprost przed siebie, z wyrazem trochę do zamyślenia podobnym; następnie, gdy usiadł przed stołem swoim, nie zaraz wziął się do pisania, lecz, wpatrzony w siną bibułę, minut parę trząsał nad nią głową tak, jakby niemym giestem tym powierzał tęj codziennęj swęj towarzyszcze troskę, czy zgryzotę jakąś. Nakoniec, po godzinie pisania, po-

dniósł twarz z nad bibuły, spojrział na szyby, zalane deszczem, i końcem długiego, kościstego palca powiódł po brzegu zaczerwienionęj powieki. Czyżby łzę otarł z oka? Co pewna, to, że zgarbił się potęm daleko więcej, niż zwykle, i zaczynając znowu pisać, głośno westchchnął.

Ławicz był dnia tego w szczególnie wesołęm usposobieniu. Otrzymał od matki swęj list z podziękowaniem za dość znaczną sumkę pieniężną, którą jęj był posłał i—w czasie nocnych studyów nad pewnym grubym traktatem o fizyce, wpadł na pomysł jakiś, który, jak mu się zdawało, był całkiem nowym i mógł naukę do ważnych wyników doprowadzić. Czuł się więc szczęśliwym, a takie miał usposobienie, że szczęście rozszerzało mu serce i zaostrzało wzrok na cierpienia innych.

— Co panu dziś jest, panie Kwira?—odezwał się z nad stolika swego.

— Bięda! — odpowiedział z nad drugiego stolika głos przyciszony i bezdźwięczny.

— Czy wielka bięda, panie Kwira?

— Dość wielka... bez grzechu narzekania, panie dobrodzieju...

— Może-bym ja mógł cokolwiek...

— A może, panie dobrodzieju... może... bo Zenonek mówił mi, że pana zna i że chciałby widzić...

— Jakiż to Zenonek?

— Derszlak, panie dobrodzieju, pański kolega szkolny...

W ciągu rozmowy tój, Kwira, zwrócony twarzą do Ławicza, przy każdej odpowiedzi oddawał mu szybkie ukłony, którym towarzyszył przymilający się uśmiech. Mówił o biedzie i uśmiechał się. Był to uśmiech, przyrosły już do ust jego. Ławicz wstał śpiesznie i zbliżył się ku niemu.

— Czy nieszczęście jakie spotkało Zenona Derszlaka?

— Bez grzechu narzekania, panie dobrodzieju, powiedzić można, że nieszczęście...

— Cóż to takiego?

Kwira spuścił głowę.

— A tak... — bąknął — nic niby... pracy tyle a korzyści żadnej... niby nic... czysta zguba!

O jasne słowa, a tём bardziej o dobrze związany szereg słów, Kwirze było bardzo trudno. Ławicz, przypatrując się mu, dziwił się znowu i uśmiechał.

— Czy pan jesteś krewnym Zenona?

Na pytanie to, o, dziwy! Kościaną twarz Kwiry oblał rumieniec tak żywy, że aż do połowy nagięj czaszki jego sięgnął; spuścił on głowę, rękoma w powietrzu zatrzepotał i całą postawą swą przypomniał skromną, zawstydzoną panienkę.

— Nie... wyjąkał... nie krewny... tylko, panie dobrodzieju... jakże to powiedzić? narzeczony panny Anny, siostry Zenona... chi, chi, chi!

Czy myśl o tём, że był on narzeczonym czyimś, jemu samemu wydawała się śmieszna, albo tём rozkosz mu sprawiała, bo z cicha i ze spuszczeniem oczyma śmiał się przez chwilę, a potём, podnosząc na twarz Ławicza w sposób u niego wyjątkowy ożywione oczy, dokończył:

— Narzeczony, panie dobrodzieju... bez grzechu narzekania, czekamy na siebie już lat dwanaście...

— Cóż Zenon?

— Niby nic... panie dobrodzieju... zgubiony chłopiec!

— Panie Kwira! — zabrzmiał we drzwiach głos pomocnika naczelnika wydziału. Kopia *ukazu* senatu N. 392, gotowa?

Ludzie, do kościanych figurek podobni, miewają czasem nerwy. Na głos zwierzchnika, Piotr Kwira drgnął nerwowo i, z oczyma trwożliwie biegającymi, z pokornie przymilonym uśmiechem i sinym arkušem w ręku, drobnym krokiem, z przygiętym grzbietem, pobiegł ku sali sąsiedniej.

Gdy minęła godzina, w której kończyły się za zwyczaj prace biurowe, Ławicz i Kwira zstępowali razem po ciemnych, wązkich wschodach, do suterenu jednej z kamienic miasta.

W izbie, nad którą ciężył czteropiętrowy gmach, a do której światło dzienne wchodziło przez wysuwające się z pod ziemi okno, duszno było i dymno. Na kominie palił się wielki ogień; przed ogniem, nad

deską do prasowania, stała kobieta wysoka, chuda, z ramieniem do łokcia obnażoném. Wodziła ona po cienkiej bieliznie żelazkiem, z którego głębi buchały czerwone błyski żaru i kłęby gorącej pary. Czerwone błyski żaru padały na śniadą twarz kobiety, przeglądały się w czarnych, zapadłych oczach, złościły krucze, roztargane, na ciemną, nagą szyję spadające, jej włosy. Była to twarz stérana, zwiędła, chmurna, ale energiczna i ognista. Zobaczywszy wchodzącego Ławicza, wyciągnęła na powitanie rękę zczerniałą i twardą, okrytą czerwonymi od oparzeń bliznami. Znali się z sobą oddawna.

— Panie Kwira — zawołała tonem rozkazującym — podajże krzesło panu Zygmuntowi. — Ot — zwróciła się do gościa — spójrz-że pan na Zenka... do czego podobny? Gryzł się, gryzł się, aż zachorował!

Wtedy, w najgłębszym kącie izby, bo najdalej od płonącego na kominie ognia, w cieniu franki, utworzonej z dwóch prześcieradeł i kobiecych spódnic, Ławicz zaledwie rozpoznać mógł, leżącego na ubogo zasłaném łóżku, Zenona Derszlaka. Młody chłopak podobny był wielce do siostry, tylko rysy miał bardziej nieprawidłowe i połamane, a tak samo czarne, jak u niej, oczy jego żarzyły się w cieniu przykrym, gorączkowym blaskiem. Spotkawszy się ze spojrzeniem Ławicza, wybuchnął głośnym śmiechem.

— Widzisz, stary kolego! gdzie i jak na tój ziemi żyją i mieszkają wierni czciciele Minerwy, którzy

przez lat ośm w pocie czoła uczyli się deklamować Iliadę i Bukoliki, czytać Platona i recytować na pamięć, ile małpy zębów mają! Wiedza ogromna, mój drogi, wiedza taka, o jakiej ty, wygnańcze z krainy mądrości, wyobrażenia nie masz, a którą ja dźwignąłem na moich słabych barkach. Dźwignąłem calutką, dobiłem do kresu, to jest ostatniego dnia ósmego roku, i pa! dano mi pstryczka w nos, upadłem jak długi! Bagaż wiedzy mojej był bardzo wielki, lecz brakło mu jednej ósmiej części wymaganego stopnia, — nie dostałem świadectwa dojrzałości...

W ręku Anny żelazko brzęknęło mocno.

Kłęczący przed ogniem i wodę do garnka lejący, Kwira, trząsał głową.

— No, no! nie lamentujcie! — zaśmiał się znowu Derszlak — cóż tam ważnego? Żaczek, deklamujący Homera i obdarzony prawem paszenia świń. Bięda tylko, że żaczek ma lat dwadzieścia i że mu w mózgu świdruje ta uwaga, że gdyby był przez ośm lat świnię pasł, toby właściciel ich niezawodnie go na pastucha owiec lub wołów promował. A tu, od świni zaczynaj... Czysta strata czasu!

— A strata! — brzęcząc żelazkiem, krzyknęła prawie Anna, — głupia ja! Jużem suszyła sobie głowę nad tém, jakby tu go dalej wyprawić!

— Widzisz pan — nie przestając prasować, mówiła dalej — cztery miesiące już śmieje się on tak i żartuje, a ja wołała bym, żeby płakał i jęczał. Zaśmiał się

téz i zazartował, a może i przeziął, bo, prócz gimnazjalnego mundura, żadnego odzienia nie ma i—chory! Wczoraj zaczęła go trząść gorączka, dziś z łóżka nie wstał!

— Wyzdrowieję, Anulku, wyzdrowieję, nie lękaj się! — zaśmiał się znowu Derszlak — pochorować dni parę, nie bięda, ale ot co bięda... słuchaj Ławiczu, co bięda...

Urwał na chwilę, a potem, w rozpalonych dłoniach swych trzymając rękę dawnego towarzysza, znacznie ciszej, niż wprzód, mówił:

— Bięda to, że kiedy matka z suchot umarła, a ojciec kości połamał, ona miała lat ośmnaście, wzięła mię na ręce i mną sobie cały świat zastłoniła. Bięda, że przez trzy lata haftowała dniami i nocami, tak, że omało nie oślepla. Bięda, że od lat siedmiu stoi tak, jak ją teraz widzisz, od rana do wieczora, nad tą deską i prasuje stroje elegantek. Bięda, że dla mnie za mąż nie wyszła i że ja teraz... cóż? znowu ciężarem...

— Zenon!—zwykłym snadź sobie, rozkazującym tonem, krzyknęła Anna—Zenon! nie mówić mi o tém! Co tobie do tego? Jak chciałam, tak robiłam. Dla siebie robiłam, nie dla ciebie! Podobny jesteś do ojca, który, choć prosty człowiek, dobry był, dobry, niech mu światłość wiekuista...

— Na wieki wieków—dokończył szeptem, klęczący wcięż przed kominem i w garnku mieszający, Kwira.

W rozpalonych, zapadłych oczach Zenona świeciły łzy.

Ławicz obie ręce podniósł do głowy.

— Ale jakże bo ty, ze zdolnościami swemi, z pracowitością swoją, mogłeś téj nieszczęśliwej jednéj ósméj...

— Chcesz wiedziéć jak? no, to ci i opowiem, tylko pod sekretem, pamiętaj, bo to delikatna materya...

Pochylił się nieco ku towarzyszowi i szepnął:

— Nędzal! ty podobno wiész, co to znaczy, no, ale nie każdego pokrzywa jednostajnie parzy. Zależy to od delikatności skóry. Czy ja wiem, dlaczego natura zrobiła mię takim delikatnym? Kiedy duszno i dymno w mieszkaniu, głowa mi kamienieje; kiedym głodny, z sił opadam. Opadałem często z sił, przychorowywałem, opuszczałem lekcyę, raz to i cały kwartał straciłem, zanim z korepetycyi zebrało się na wpisowe... to i tym sposobem przepadła mi ta jedna ósma... Ale dość już o tém wszystkiém! cóż ty porabiasz, Zygmuncie? Służysz w biurze? Winszuję. Kolegi ze mnie pewno mieć nie będziesz! Jakim-że sposobem wzbiliś się na ten szczebel społeczny? Przepowiadam ci, że za lat dziesięć będziesz taki łysy, kościany i wiecznie przełękniiony, jak najpocziwszy nasz Kwira!...

— Chi, chi, chi! — zachichotał ten, o którym wspomniano—żartuj sobie ze mnie, Zenonku, byle-był był weselszy troszkę... Bez grzechu narzekania.

dziesięć lat temu miałem włosy takie gęste, jak teraz twoje.

Anna, okrywając stół grubą serwetą, zaśmiała się.

— Prawdę mówi, panie Ławiczu! Dwanaście lat temu, kiedy poznaliśmy się, pan Kwira był bardzo przystojnym chłopcem.

Ławicz uśmiechnął się, tak mu się to dziwnem jakoś zdawało. Anna skrzyżowała na piersi ramiona i, chmurnie wpatrując się w niego, mówiła:

— Po co się pan uśmiecha? krótko pan żyjesz, krótko. Pożyj pan dwanaście lat, tak, jak on żyje, a zobaczysz, że można wychudnąć, wyłysieć i strachu do serca nabrać. Żeby on żył tylko dla siebie, ale to taki przyjaciel... Alboż ja dała-bym sobie radę z wychowaniem Zenka, żeby nie on? We wszelkiéj biedzie mojej dziękuję Panu Bogu, że mi takiego przyjaciela dał...

Kwira, z oczyma wpatrzonemi w mówiącą kobietę, jak w święty obraz, splótł długie, kościste ręce swe, modlitewnym giestem. Na twarzy jego rozlewał się wyraz szczęścia i czci. Wydawał się całkiem innym, niż bywał w biurze. Była to metamorfoza, trwająca krótko, ale zupełna.

— Wiész pan — mówiła dalej Anna — kiedy nie wystarczało już mego zarobku i jego pensyi, zaczął hodować i sprzedawać kanarki...

— Bez grzechu narzekania! — zawołał Kwira — kanareczki moje kilkadziesiąt rubelków co rok mi

przynoszą... niby nic... dla Zenka mundurek i książki... Ja panu zaraz te ptaszyny moje pokażę! .

— Tymczasem proszę na obiad — rzekła Anna, stawiając na stole misę krupniku z mléką i kartoflami.

— Przepraszam, że gościa naszego lepiej przyjąć nie mogę. Mięso strasznie drogie, dla Zenka tylko kawałek kupiłam, bo chory!... Teraz-bo i chléb, i opał, strasznie zdrożały... opał szczególniej, a mnie do prasowania przepaść drzew wychodzi. Jedyne szczęście, że za wodę płacić nie trzeba, bo mi jój zawsze pan Piotr z rana i wieczorem dzbankami nanosi.

Nosił więc bohdance swój wodę dzbankami, z rana i wieczorem, co „bez grzechu narzekania”, przy dość uciążliwéj pracy biurowéj, trochę utrudzającém być musiało. Spelniał téż snadź zazwyczaj i inne gospodarskie, domowe czynności: przed obiadem przyniósł był parę razy drewek na podsycenie ognia, mieszał w garnku i krzątał się około wyszczerbionych stołowych naczyń; potem zasiadał do wspólnego stołu z gospodynią domu i jój gościem, a potem jeszcze, z nieśmiertelnym swym przymilonym uśmiechem, prosił Ławicza, aby zobaczyć chciał jego kanarki. Mieszkał w tym samym domu, ale nie w suterrenach, tylko wysoko, pod samym dachem, dlatego, jak mówił, że w suterrenach za mało światła było dla ptasząt. W izbie, znajdującej się pod samym blaszanym da-



chem domu, tak wiele było ptasząt, że szczebiot ich i śpiewanie słyszeć się już dawały na drugim piętrze; gdy zaś otworzyły się drzwi jęj, z drewnianych prętów, umieszczonych pomiędzy ścianami, z nielicznych sprzętów, z pootwieranych klatek, porwały się roje żółtych, skrzydlatych istot i, z wrzaskiem ogłuszającym, opadły wchodzącego gospodarza mieszkania.

On roztworzył ramiona, nastawił dłonie i z ptakami, siedzącymi mu na łysinie, ramionach, plecach, dłoniach, śmiać się zaczął głośno, serdecznie, a przytęm z wyrazem wesołości, tak obcym kiedyindziej małym jego oczom, na gościa patrzył.

— A co?—mówił, śmiejąc się — a co? niby nic... jest tu ich, panie dobrodzieju, z pół kopy... pięć par gotowiułenkich na sprzedaż... za tydzień na rynek pójdu... niby nic... kawałek grosza... biedne wyl ptaszęta zaprzędane!

W sposobie, w jaki cieszył się z wychowańców swych, była tkliwość i zarazem radość z zysków, których mu szczególny przemysł ten dostarczał. Zresztą izba, dość obszerna i w słoneczne dnie zapewne jasna, była bardzo nagą i brudną; ziarn rozrzuconych wszędzie i nieczystości różnych było w niej pełno; powietrze jęj, w pierwszej po wejściu chwili, zdawało się niepodobnym do oddychania. Nad samem posłaniem, złożonem z siennika, poduszki, i czegoś, co kiedyś kołdrą być musiało, wisiała duża klatka. Kwira wskazał ją gościowi.

— To jest, panie dobrodzieju, mój... jakże się nazywa... excytarz. Jak tylko słońce wschodzi, tak krzyzczyć zaczynają, że gdyby człowiek kamieniem spał, zerwie się na równe nogi... niby nic... ażeby nie one, zasnął-był może kiedy, i z panną Anną śniadania razem nie zjadł... ona raniutko wstaje... raniutko!... U nas, panie dobrodzieju, taki już zwyczaj... razem kupujem, razem jadamy, razem cieszym się i smucim, wszystko razem!

Ptaki, zajęte rzuconem im ziarnem, uspokoiły się nieco i uciszyły. Kwira, na środku izby stojąc i gościa swego za rękę trzymając, mówił:

— Chi, chi, chi! jak ona dziś powiedziała, że ja kiedyś przystojnym chłopcem byłem!... może być. Może być... dwanaście lat człowiek pracuje, jak wół, a o jutrzejszy los swój zawsze niepewny i na szczęście swoje czeka... niby nic... zeszpeticieć można... Ona nie zeszpeticiała! prawda? jaka piękna! Kiedy poznałem ją, panie dobrodzieju, dwadzieścia lat miała. Za trzecim widzeniem się upadłem przed nią na kolana... „Pobierzmy się, panno Anno!“ A ona: „Nie, dopóki Zenka nie wychowam, za mąż nie pójde!“ niby nic... nie chciała swoich dzieci mieć, żeby czasem brata małego w czem nie ukrzywdzić... Żeby ja bogaty był, może-by poszła... ale bieda z biedą!... lękała się brata ukrzywdzić... pyta się tedy mnie: „będziesz na mnie czekał, panie Pietrze, póki Zenek nauk nie skończy i nie wybije się na człowieka?“ Z początku,

niby nic... nie mogłem przystać na to, ale potem powiedziałem jój: „bądź wola twoja!“ i panie dobrodziej... bez grzechu narzekania... dwanaście lat czekam. Zenek skończył szkoły, ale zabrakło mu tój jednéj ósméj... i jakże on teraz na człowieka wybije się? Co to teraz będzie?

Przy ostatnich wyrazach, w małych oczach jego malowało zdziwienie, z osłupieniem graniczące.

Co teraz będzie? Było to pytanie, z którym późniéj Derszlak często do izdebki Ławicza wchodził. Wyzdrowiał on prędko, to jest wstał z łózka, lecz tak powierzchowność jego, jak sposób obejścia się i rozmawiania, nie objawiały fizycznego ani moralnego zdrowia. Wchodził on często do izdebki dawnego przyjaciela i przebywał w niéj długo, czasem nawet nocowywał z Ławiczem, tocząc z nim długie i żarliwe rozmowy i sprzeczki. Sprzeczali się z sobą często. Pomimo podobieństw pewnych, były to całkiem różne od siebie natury. Ławicz w książkach, na traf chwypanych i zbieranych, topił się, jak nurek, ciekawy pereł, na dnie leżących, ciągnięty śpiewem Syren, mieszających w pałacach z kryształu. O twarde, zimne ściany kryształowego pałacu bił się pracowicie, cierpliwie i nie opuszczał rąk wtedy nawet, gdy spostrzegł, że zmylił drogę i sto godzin życia oddał temu, co wymagało jednéj. Uśmiechał się wtedy z nieświadomości swéj i, z wielkim, lecz spokojnym, ogniem w mózgu i piersi, zachodził pałac z innéj strony, ude-

rzał w inną ścianę, słał się mu do stóp z jednąk zawsze pokorą i czcią. Derszlak śmiał się z niego, tym szczególnym śmiechem, w którego dźwięk młodzieńczy wplatały się coraz częściej gorzkie, szyderskie nuty.

— Co ty z tém wszystkiém zrobisz?—pytał.— Jaką rolę użyźni pot, który, z czoła twego spływając, wsiąknie w podłogę twojéj izby i w niéj zniknie bez śladu? Czyją dolę oświecą światła te, których nabierasz do głowy i które w niéj do końca świata pozostaną? Co komu przyjdzie z tego wiecznego grzebania się twego w książkach?

Ławicz, na zapytanie to, mieszał się z razu, a potem odpowiadał:

— To mię uszczęśliwia.

— Egoisto! — wołał Derszlak—ty więc wyobrażasz sobie, że nauka przyjsć na świat raczyła dla twego osobistego szczęścia i pożytku? Winszuję ci pojęć takich o życiu i jego celach! Ja jeżeli pracowałem i o większych jeszcze pracach marzyłem, to tylko dla tego, aby mózż cokolwiek uczynić dla ludzkości, dla cierpiących, poniżonych, walczących. Sam jestem dzieckiem cierpienia, poniżenia i ciężkiéj walki. Znam je. Lituję się bez granic nad ich ofiarami. Pragnął-bym biedz im z pomocą. Wiem, twierdżę, że świat we wszystkich częściach swych kalekim jest i pragnął-bym przyczynić się do przerobienia go. Oto dla czego uczyłbym się, gdyby... gdyby nie ta moja

jedna ósma; ale tak, jak ty, w celu uszczęśliwienia siebie... O! marny prochu! czémże ty jesteś, abyś uszczęśliwił siebie, wtedy, gdy naokoło pełno jest nieszczęśliwych?

Ławicza zawstydzały niekiedy te entuzjastyczne wybuchy przyjaciela. Ze zwykłą sobie łagodnością, tłómaczył się i uniewinniał.

— Cóżem ja winien temu, mój drogi, że czuć się nieszczęśliwym nie mogę.

— Zapewne,—wzruszając ramionami odpowiadał Derszlak—nikt nie winien temu, że go natura tak a nie inaczej stworzyła. Tyś stworzony na jednego z tych molów, które od początku świata siedzą w swoich gabinetach i, przy szczelnie pozamykanych drzwiach i oknach, lubują się włoskiem, wynalezionym na skórze małpiej, albo pyłkiem, dostrzeżonym na skrzydle komara...

Tym razem Ławicz rumienił się z obrazy i oburzenia. On także był entuzjastą, w inny tylko zwracającym się kierunek. Bronił nauki i jej kapłanów, grecki myt o Syrenach tłómaczył żądzą nie rozkoszy, lecz wiedzy, deklamował z Odysei: „ku nam, ku nam, o bogów ozdobo, słynny Ulissee, statek nakieruj, głosem przysłuchaj się naszym...”

— Stój! stój!—śmiał się Zenon—cóż tobie syreny wyśpiewać mogą? Jakież nowe słońce, albo jaką nieznaną jeszcze drogę słońce, odkryjesz przez to okno, które, chociaż wysoko jest umieszczone, wątpię, aby

starczyło za obserwatorium i teleskopy? Czy uczynisz rozbiór chemiczny tej pajęczyny, której tyle masz tu po kątach. Gdzież twoje retorty? Pajęczyny zresztą, zarówno jak pył, spadający z podszew podartych butów, dawno już, o ile wiem, zbadane zostały, innych zaś materji do studyowania nie widzę dookoła ciebie...

Z twarzy Ławicza poznać można było, że pragnął powiedzieć towarzyszowi coś, coby dowodzeniom jego stanowczo zaprzeczyć mogło, lecz wstydził się i nie śmiał.

— Widzisz, Zenku—zaczął nieśmiało—ty to z taką pewnością mówisz i wysmiewasz mię, a jednak... jednak... mnie...

— Cóż?

— Mnie się zdaje, że jestem na drodze do ważnego odkrycia w dziedzinie fizyki.

Zenon uśmiechnął się niedowierzająco.

— Al—rzekł potem—być może, i pragnę tego, ale opowiedz że mi: co i jak? powinienem przecież być wszechstronnie uczeńszym od ciebie...

Ławicz podzielił się z nim wtedy pomysłem swoim. Było to coś o skupieniu promieni słonecznych i uwięzieniu, dla celów praktycznych, ciepła ich i światła. Opowiadając, wpadł w wielki zapał. Wyciągnął z bezładnego ich nagromadzenia książki różne, wydobyl z szuflady arkusze, zakreślone cyframi i rozmaitemi figurkami, czytał głośno, tłómaczył,

giestykulował. Białą twarz jego powlokły gorące rumieńce, łagodne oczy zaiskrzyły się. Derszlak słuchał w milczeniu i z uwagą, lecz patrzył na towarzysza z żartobliwą litością. Gdy Ławicz umilkł i stanął przed nim w tryumfującej postawie, zwolna i chłodno rzekł:

— Wszystko to rzeczywiście bardzo mądrze jest pomyślane i znajdujesz się istotnie bardzo blisko wynalazku, dokonanego już przed kilku laty...

— Co i jak? przez kogo?—zawołał Ławicz.

Derszlak powiedział mu, że przed rokiem miał od jednego z profesorów książkę, w której wyczytał wszystko to, o czém teraz mówił mu Ławicz, i wiele jeszcze rzeczy dalszych.

Cytował twórcę wynalazku i tytuł książki, o której mówił, lecz, ku wielkiemu zapewne zdziwieniu swemu, spostrzegł w Ławiczu, zamiast smutku lub przerażenia, wyraźne oznaki bardzo żywej radości...

— Doprawdy!—wołał on—więc to tak! o jakże się cieszę! lękałem się, aby to nie było tylko marzeniem mojem! Myślałem nieraz, że nie jestem dość rozumny i uczony, aby naprawdę trafić na takie drogi. Pokazuje się jednak, że się nie mylił, że jestem do czegoś zdolny... Brawo, brawo! trzeba mi teraz dalej iść i—będę teraz iść śmiało, z większą do samego siebie ufnością!

Derszlak wstał i wzruszył ramionami.

— No—rzekł—potężny z ciebie dziwak! Żebyś

był jeszcze wpadł na jakąś nową teorią społeczną, nie dziwił-bym się twojej radości. Ale z tego, odgadniętego w części przez cie, wynalazku — cóż? nowy może gatunek maszyn fabrycznych, służących kapitałowi do uciskania pracy, a może nowe środki użycia dla sybarytów...

— Może też—wtrącił Ławicz—jeden krok, dokonany w powolnym pochodzie...

— O! dajże mi pokój z krokami swemi i powolnemi pochodami. Dobre to dla tych, którym dobrze; ale ja, od czasu szczególniej mojej jednej ósmiej, stałem się człowiekiem bardzo żywego i niecierpliwego temperamentu...

Żywym i niecierpliwym był zawsze, lecz teraz właściwości te natury jego zwiększały się i przybierały pozór trawiącej go gorączki. Część wieczorów i nocy czytywał i rozprawiał z Ławiczem, resztę czasu przepędzał na próżnowaniu, napełnioném rozmyślaniami. Tym ostatnim oddawał się często w mrocznej, pełnej swędu od rozpalonych żelazek, suterenie, leżąc na łóżku z twarzą zwróconą ku sufitowi i ścigając okiem ślizgające się po suficie odbłaski płomienia. Czasem przechadzał się po ulicach miasta, przyglądając się spotykanym przechodniom, którzy wzajem przyglądali się jemu. Młodzieniec ten, bardzo szczupły i nieco przygarbiony, ze śniadą chorobliwą cerą twarzy, z zapadłym, czarnym, ognistym okiem i lasem krucznych włosów, wysuwających się z pod zszarzanąj

czapki na kołnierz wytartego studenckiego mundura, zwracać musiał na siebie ogólną uwagę. Wyraz twarzy jego, ruchy i ubranie znamionowały coś wypadzonego i wykolejonego, kogoś, kto, u samego wstępu w świat, błędził pomiędzy drogami świata, nie wiedząc, czy na którąkolwiek z nich wejść ma prawo. Zwolna i stopniowo odpadała mu chęć do jakiegokolwiek pracy. Znalazł był na mieście parę lekcji, nędznie opłacanych, i z razu spełniał zajęcie to z musu, jak ciężką pańszczyznę. Nie zajmowało go ono, bo nie przedstawiało przyszłości żadnej.

— Do czego to prowadzi?—zapytał czasem Ławicza.—Anulka jak biedowała, tak bieduje, a ja tylko butów więcej dre...

Potem porzucił lekcye, albo też je stracił. Książki brał u Ławicza, przeczytywał je do połowy, porzucał i znowu zapytywał:

— Bo i do czegoż to prowadzi?

Raz przyszedł, więcej jeszcze niż zwykle chmurny i rozjątrzony.

— Anulka chora!—rzekł, siadając na niskim stołku pod ścianą.

Oparł brodę na dłoni i długo siedział nieruchomy, milczący; aż nakoniec Ławicz spostrzegł, że płakał cicho, lecz rzownemi łzami.

— Zenku!—zawołał — ty koniecznie zrób z sobą cokolwiek... bo zginiesz!

Podniósł wzrok błyszczący od łez i gniewu i zapytał:

— Cóż, naprzykład?

— Jedź do stolicy... zdasz może examin, przyjmą cię może gdziekolwiek...

— Dobrze—odpowiedział z chłodem—ale zapłać mi bilet na kolei i daj z czego przeżyć przez pierwsze kilka dni przynajmniej...

Ławicz jęknął.

— Bój się Boga! zkądże u mnie na taką daleką podróż... gdyby to bliżej było... może...

— Aha!—potwierdził Derszlak — gdyby to było bliżej... ale zkądże znowu chcesz, aby Anulka z prasowania, a Kwira z kanarków, taką sumę zebrali... bo to, mój kochany, suma! Co prawda, była już ona zebrana, ale jakem po tej jednej ósmiej zaraz nie wyjechał, to i rozeszła się... Jeden ścieg krzywy, mój kochany, jeden tylko krzywy, a wszystkie krzywo idą...

Innym razem rzekł do Ławicza:

— Poszedł-bym już nakoniec i piechotą, ale nie mogę; naprzód sił nie mam, a potem, ot...—Przy ostatnich wyrazach uczynił nogą ruch energiczny, a w tej samej chwili but jego ze stukiem upadł na drugim końcu izdebki. Była to tylko część buta, ta mianowicie, która okrywa stopę. Ławicz nie mógł wstrzymać się od uśmiechu.

— A gdzież cholewa?—zapytał.

— Dawno niema—z chłodem odpowiedział Zenon.

Trwało tak przez długie kilkanaście miesięcy. Raz, pogrążony jak zwykle w robocie swój, usłyszał w gwarze, napełniającej salę, głos dobrze sobie znajomy. Zerwał się i, w ruszającym się pośród sali mrowisku ludzi, spostrzegł Kaplickiego. Przez chwilę przypatrywał się mu, myśląc nad t<sup>o</sup>m, czy się nie myli. Przez czas upłyniony od ostatniego widzenia się, Kaplicki zmienił się trochę. W futrzanym palto- cie swym wydawał się k<sup>r</sup>ępy m nieco i ciężkim, a buj- ny, płowy w<sup>o</sup>s, opadał mu na policzki rumiane i p<sup>o</sup>- łyskujące. W r<sup>u</sup>ku trzymał zw<sup>o</sup>j papier<sup>o</sup>w i p<sup>o</sup>łg<sup>o</sup>- sem, lecz z żarliwością wielką, opowiadał o cz<sup>o</sup>mś je- dnemu ze znajdujących się w sali adwokatów, kt<sup>o</sup>re- go t<sup>e</sup>ż od czasu do czasu przytrzymywał za klapę surduta. Ławicza poznał natychmiast i powitał ser- decznie dwoma g<sup>o</sup>śnemi całusami.

— C<sup>o</sup>ż—m<sup>o</sup>wił—jakże ci idzie? jakże czas prze- pędzasz? ja tu od wczoraj dopi<sup>e</sup>ro... przyjechałem za interesami... wyobraź sobie, dwa procesa: jeden z ch<sup>o</sup>łopami o wycięcie lasu, drugi z żydem o sfał- szowanie wekslu... przyt<sup>e</sup>m, chcę sobie nowe meble kupić...

— Czy ty, Michasiu, pamiętasz Derszlaka — za- gadnął Ławicz.

Kaplicki pamiętał go wybornie. Rumieniąc się i widoczny gwałt sobie zadając, Ławicz poprosił go o pomoc dla dawnego kolegi. Wyraz doznanej przy-

krości zmącił na chwilę błękitne oczy m<sup>o</sup>łodego szla- chcica. Na chwilę tylko jednak.

— Widzisz—zacz<sup>o</sup>ł—ty nie wyobrażasz sobie, ile my, obywatele, mamy kłopotów i potrzeb różnego ro- dzaju! Ot i ja teraz... dwa procesa i te meble... po- wozu kawalerskiego potrzebuję bardzo... ale niech to tam sobie na p<sup>o</sup>źniej... Biedny Zenon! powiadasz, że demoralizuje się i przepada. Owszem, owszem, służę, cz<sup>e</sup>m mogę!

Ławicz aż mu się na szyję rzucił, on zaś tę pu- bliczną manifestacją czułości nietylko przyjaźnie przyjął, ale z lichwą ją odplacił. Wylanym był, ser- decznym i hojnym, jak zawsze, tylko wyglądał wciąż zakłopotanym. Rumianość i pulchność twarzy jego nie nadawały j<sup>e</sup>j wyrazu pogody. Po kr<sup>o</sup>tkiej roz- mowie o wspólnym koledze i wzajemnych uściskach zaczął wnet opowiadać Ławiczowi o chybionych w tym roku zbożach, o drogości robotnika, o upadku inwentarza, a szczególnie j<sup>e</sup> dwóch procesach: z ch<sup>o</sup>- pami i żydem.

— A tamte, z kt<sup>o</sup>reymi tu przed dwoma laty przy- jeżdżałeś?

— Tamte co innego, a te co innego. U nas tak zawsze. Nie uwierzysz, ile kłopotów! A tu teraz wy- prawiamy z ojcem zaraz po moim powrocie wielkie polowanie. Osób będzie ze sześćdziesiąt, koni i psów drugie tyle. Wszystko trzeba przygotować, o wszyst- kiem pomyśleć, a koszt! strach!

Tu spostrzegł zmiierzającego ku niemu adwokata.

— A co? kochany panie, a co? czy nasza teraz sprawa na kolei? Zlituj się pan, to żyzdisko...

I wraz z adwokatem pobiegł prawie w głąb' sali. Ławicz stał przez chwilę, zaniepokojony widocznie i trochę zdziwiony. Procesa, meble, powozy, kłopoty, polowanie, mieszały się i kołowały w głowie jego. Po chwili, ścigając okiem zwijającego się po sali Kaplickiego, wymówił do siebie:

— Jaktó? i nic więcj... nie?...

V.

Maryana Dębskiego Ławicz widywał codziennie prawie, lecz zawsze z daleka. Od wielce podrzędnego kancelisty, pracującego przy jednóm z okien sali audyencyonalnej, do urzędnika z wykształceniem uniwersyteckim, zasiadającego obok sędziów i dziś czy jutro miejsce jednego z nich zająć mogącego, tak było daleko, jak niebo wysoko. Dębski też nie objawiał niczém chęci zbliżenia się ku niemu, albo raczej zbliżenia go ku sobie. Po prostu nie zwracał na niego uwagi najlżejszej; że zaś nie był bezpośrednim zwierzchnikiem jego i nie miewał z nim urzędowych zetknięć, zdawał się nie znać go i nie spostrzegać wcale. Bywał on zresztą bardzo czynnym i bardzo pilnie biurowymi sprawami zajęтым; w biurze też szeptano, że nikt nigdy nie widział kandydata do posad sądowych, który-by tak gorliwie zapracowywał sobie na wyższą i lepiój określoną w hierarchii urzędniczej pozycją. Patrząc na niego, jak w godzinach

zając biurowych, z punktualnością zegarkową i niezłomną surowością, spełniał liczne, powierzone sobie, czynności, jak potem śpiesznie, z teką wypchaną papierami, dążył do domu, i jak nazajutrz tękę tę z przygotowanymi już pracami do biura przynosił, można było powiedzieć, że w nadziejach swych i dążeniach nie liczył na nic i na nikogo, prócz na samego siebie, ale że też w siebie samego, w zdolności swe, energią i pracę ufał niezłomnie. Jednak, pomimo zalet tych, nie cieszył się on widocznie przyjaźnią i względami starszych kolegów swych, którzy znajdowali się względem niego nie lekceważąco wprawdzie, ale całkiem obojętnie. Chłodny zazwyczaj, dumny i w sobie zamknięty, Dębski, przemieniał się dziwnie na widok tych, od których w znacznej części przyszły los jego zależał. Ruchy jego stawały się wtedy pełnymi uprzejmości, twarz przybierała wyraz rozjaśnienia, połączonego z badawczą przenikliwością. Zdarzało się jednak często, że pełne uszanowania i przyjaźliwości ukłony i pozdrowienia jego spotykały się z zaledwie dostrzegalnym skinieniem głów i zaledwie dosłyszalnymi, od niechcienia rzuconymi, odpowiedziami. Wtedy na mgnienie oka młody urzędnik bladł i zacinał wargi, poczem jednak wnet ze zdwojoną gorliwością oddawał się swym obowiązkowym czynnościom, a ruchy jego, wejrzenie i dźwięk głosu, okazywały niezłomną pewność siebie, niezachwianą wiarę w żelazną moc żelaznej pracy. Jeden tylko prezes

Izby, człowiek niemłody już, o twarzy grubiej i czasem aż do jowialności dobrodusznój, a czasem tak stroskanój, że aż ponurój, bywał dla Dębskiego tak serdecznym i przyjacielskim, że, spotykając go u wejścia lub wyjścia z Izby, wobec wszystkich ścisnął go za obie ręce i po imieniu nazywał. W dniach jednak, w których wesoła i dobroduszna twarz zwierzchnika mnóstwem nagromadzonych na niej zmarszczek i kwaśnym wykrzywieniem ust, świadczyła o doznawanych przez niego troskach, czy zgryzotach, nad całym biurem unosiła się atmosfera burzy, ogarniająca sobą i Dębskiego. W dniach tych, u wejścia lub wyjścia z Izby, i także wobec wszystkich, spadały na niego głośne i szorstkie wyrzuty za niedokładne i niedość prędkie spełnienie powierzonych mu czynności. Wtedy Rębko nawet z mniejszym niż zwykle pośpiechem podawał kandydatowi do posad sądowych, przywoicie, lecz niezbyt dostatnie wyglądający, paltot jego lub futro, a potem, spotkawszy się z Ławiczem na wspólnie zamieszkiwanym dziedzińcu i poufale pod ramię go biorąc, mówił:

— Protektor pański cości kiepsko u nas stoi! niewiadomo, czy będzie kiedy co z niego, czy nie będzie. Ot już dwa lata z górą siedzi u nas, a Mikołaj Hilarjonowicz ani myśli puszczać go wyżej. On bo i u członków żadnego *uwazenia* niema... oho! ja wszystko wiem!

— A dlaczegoż to tak? — zapytywał Ławicz.



Rębko z ręką przy wasie, dumny ze społecznej pozycyi, która mu w tak ważne rzeczy wtajemniczonym być pozwalała, odpowiadał:

— *Pierwsze*: pleców nie ma, a czy pan wie, co to jest, kiedy człowiek pleców nie ma? To tak, jak żelby głowy nie miał? Gdzie! lepiej nawet głowy nie mieć niż pleców... Druga rzecz jest ta, że żyć nie umie. Z ludźmi trzeba umieć żyć, a on nie umie. Siedzi zawsze, jak wilk, w swoim mieszkaniu nad *dzielami* <sup>1)</sup> albo jeżeli *dział* niema, nad *zwodem*, <sup>2)</sup> i ani prosi ko go do siebie, ani sam bywa... do klubu raz tylko poszedł i to powrócił zły, jak dyabeł, bo zgrał się podobno, i potem już nie chodził nigdy... To mnie, panie, człowiek jego opowiadał. Trzecia rzecz jest ta, że futro ma także jak *stołonaczelnik* jaki. Gdzie! u nas *stołonaczelniki* lepsze mają. Trudno mieć *uważenie* ludzkie z takim futrem. *El musi być* z niego nic nie będzie!

Pomimo groźnych tych przepowiedni Rębki, w biurze dowiedziano się dnia pewnego, że Maryan Dębski otrzymał posadę sekretarza cywilnego wydziału Izby. Była to posada niewysoka, ale materyalnie dość dobrze opłacana i przedstawiająca pole do wykazania gorliwości i uzdolnień tego, kto ją zajmował. Otrzymał ją Dębski po trzech blisko latach pracowitej wielce kandydatury, a ludzie, pochyleni nad stoła-

1) Akta sądowe. 2) Zbiór praw.

mi, w różnych a licznych salach gmachu, uczyli coś naksztalt opadłej na przygarbione ich plecy żelaznej dłoni. Uczyli też oni, czuwające nad każdą nakreśloną przez nich literą, nad każdą w biurze spędzoną minutą, bystre i surowe oko. Było to sine, myślące, z chłodną kryształową głębią, oko młodego sekretarza. Czuwało ono nad wszystkiem, zdawało się widzieć wszystko, i po żadnym zaniedbaniu lub przekroczeniu nie prześliznęło się lekceważąco lub pobłażliwie. Pierwszy przybywając do biura i ostatni je opuszczając, karciał on tych, którzy w czasie, albo akuratnym pełnieniu zajęć swych, folgować sobie chcieli, krótkim, sarkastycznym słowem, albo pogróżką, której forma chłodna i ściśle grzeczna, zawierała w sobie treść nieubłaganie stanowczą. Mówiono też o nim, że, pracując sam, jak wół, podwładnymi, swymi jak wołami, orać chce grunt swojej karyery.

W tej-to porze, przyszedłszy do bezpośredniego zetknięcia się z niższymi urzędnikami, po raz pierwszy spotkał się on z blizka i z Ławiczem. Wyznaczał i wskazywał, a potem przeglądał jego zajęcia. Z razu patrzył on na dawnego kolegę swego i przemawiał do niego tak, jak gdyby go nigdy był nie znał, jak gdyby widział w nim tylko jedno z kółek maszyny, której on sam większym znacznie był kołem. Raz jednak, gdy, stojąc u okna, uważnie przeczytywał długą jakąś kopią, wzrok jego z za sinego arkusza spłynął na twarz stojącego przed nim kancelisty. Ławicz stał

przed zwierzchnikiem w postawie nie pokorniej wprawdzie, jednak nieśmiałej, z ręką opartą o brudne sukno stołu, ze spuszczonej powiekami. Szcupłość postaci jego, chudość ręki i wielka skromność ubrania znamionowały nie nędzę wprawdzie, lecz ubóstwo, z niedostatkiem graniczące. Na gładkie i pogodne jak u młodej dziewczyny, czoło jego, spadały złotawe włosy, a wśród mizerniej białej twarzy, delikatne usta układały się w wyraz zamyślenia i cierpliwości. Było w nim coś z pogody dziecka i smutku człowieka wykołajonego, ze skromności ubóstwa i ze spokoju uczciwości. Siwe, mądre oko Dębskiego przesunęło się po twarzy kancelisty, a potem tkwiło w jednym z wyrazów, znajdujących się na sinym arkuszu, daleko dłużej, niżby dla przeczytania stronicy całej trzeba było. W kilka dni później, Ławicz, stojąc przed sekretarzem, robotę jego przeglądającym, podniósł powieki i najniespodziewaniej spotkał się wzrokiem z jego spojrzeniem. Siniego arkusza, który mu twarz przysłaniał, nie spuszcżając, Dębski półgłosem i krótko zapytał:

— Cóż? jakże ci się powodzi?

— Bardzo dobrze — z uśmiechem odparł Ławicz.

— Doprawdy?

W pytaniu tém brzmiało zdziwienie i trochę szyderstwa. Po chwili zapytał znowu:

— Może ci się nie podoba robota, którą tu speł-

niasz? Chcesz, abym cię przeniósł do innego wydziału?

— Dziękuję panu. Wszystko mi jedno.

— Zapewne.

Usta jego zarysowały uśmiech na-pół sarkastyczny, na-pół litośny. Zapewne! pomiędzy pozycjami, które Ławicz w biurze zajmować mógł, nie było bogactwa wyboru i wszystkie one znaczyły mniej więcej zero.

Po rozmowie tej, przez długie kilka tygodni Dębski spoglądał znowu na Ławicza, jak na niezbędną w rachunku jakimś, kształt zera mający, znaczek. Potem znowu, przeglądając robotę jego, zapytał:

— Czy masz z czego żyć?

— O tak! — z akcentem silnego przekonania odparł Ławicz.

— Może i wżbytki nawet opływasz?

Coś, jakby uczucie obrazy, odmalowało się na zarumienionej twarzy kancelisty.

— Nie — odpowiedział. — Nie wiem, co to zbytek i wcale go nie pragnę.

Tym razem Dębski patrzył na niego dość długo, z razu z szyderstwem, migoczącym mu w kryształowych głębiach oka, potem z przenikliwą i pełną ciekawości uwagą.

Tego samego dnia zaszedł w biurze wypadek, o którym długo potem urzędnicy wyżsi i niżsi gwarzyli i rozprawiali, mianując go skandalem. Najwyż-

szy zwierzchnik biura przybył tam dnia tego kwaśny i zgrzyziony. Na twarzy jego nie było śladu oznaczającej ją najczęściej jowialnej dobroduszości, w ruchach malowała się niecierpliwość i skłonność do gniewu. Sala, w której przy oknach pracowali Ławicz i Kwira, próżną była dnia tego. W zamian gwar złożony z głośnego czytania, przyciszonych rozmów i szelestu licznych papierów i stąpań ludzkich, dochodził tu z pootwieranych na oścież drzwi sal innych. Nagle za na-pół-otwartemi drzwiami sali posiedzeń sądowych, rozległ się gwałtowny, basowym głosem wydany krzyk. Na krzyk ten, z boczných sal powypadali urzędnicy różnych stopni i ubrań, z przedpokoju wypadł Rębko, z siedzeń swych porwali się Ławicz i Kwira, i wszyscy, z wyrazem zdziwienia i przestachu na twarzach, w ostrożnie kryjących się, postawach, zaglądali do sali posiedzeń, przypatrując się i przysłuchując odegrywającej się tam scenie. Była to przecież scena nie dramatyczna wcale, ani malownicza. Poprostu prezes izby srodze gniewał się na sekretarza i głosem bardzo podniesionym, z gestami bardzo energicznymi, i w słowach także pełnych energii, czynił mu wyrzuty, jak z krzyków jego wyrozumieć można było, za to, że w służbowej sprawie jakiegóś objawił on zdanie, ze zdaniem zwierzchnika sprzeczne. Zazwyczaj był on dla śmiałości podobnej wyrozumienia i pobbłazania pełnym, a nawet lubić ją i szanować się zdawał. Inaczéj jednak rzeczy wszel-

kie wydają się przy blasku słońca, inaczéj przy widnokręgu, zaciągniętym chmurami. Dnia tego widnokrąg biura, wraz z czołem przewodnika swego, zaciągnął się chmurami. Śmiałość Dębskiego wywołała z nich piorun. Pioruny padały z ust rozgniewanego zwierzchnika na głowę młodego człowieka, który, przy swoim stole do pisania stojąc, błądy jak ściana, z przyciętą do krwi wargą i spuszczonei powiekami, był nieruchomy jak posąg i milczał. Zagadkowe i niewyraźne uśmiecby igrały po ustach sędziów, krzesła swe z wysokimi poręczami zasiadających, złośliwie albo bezmyślnie uśmiecchali się podpatrujący i podsłuchujący, w trwożną a ciekawą gromadkę zbieci, urzędnicy. Rubasznie, choć z cicha, a tak serdecznie, że aż mu się szerokie ramiona trzęsły, ciemną, brudną ręką usta sobie zakrywając, śmiał się, wychylający się z drzwi przedpokoju, Rębko. Kwira, dłonią przyciskając łysinę, zdawał się konać ze strachu; Ławicza ręka o stół oparta drżała i białą twarz jego oblał krwisty rumieniec. Nie z trwogi jednak drżał on i rumienił się. Wpatrzony w postawę Dębskiego, kamiennie nieruchomą, a na białém tle ściany odbijającą się w silnych i kształtnych zarysach, i na twarz jego, nadzwyczaj bladą, po której przebiegały spazmatyczne drgania, myślał on, a potém półgłosem i po razy kilka wymówił:

— Czy podobna?

Czy podobna, aby *wymijacz raf*, zuchwale lub nie-

ogłędnie o jedną z nich uderzył? czy podobna, aby uderzenie to, tak strasznie druzgocące dumę jego, zniósł aż do końca w tój nieruchomości kamiennój, i w tём udręczeń pełném milczeniu?

Zniósł jednak. W sali posiedzeń zapanowały niebawem cisza i porządek zwykły, a w ciszy tój, wobec rzędu krzeseł, na których nieruchomi i poważni siedzieli sędziowie, rozlegał się i w dalszych salach słyszeć się dawał, dźwięczny, czysty, chłodny głos sekretarza, czytającego sporządzony przez się długi, a jasny jak słońce, referat.

Rębko wracał dnia tego do domu w niezmiernie dobrym humorze. Miał o czём mówić, rozpowiadać, zdania i sądy wydawać. Spostrzegłszy na dziedzińcu Kawicza, uczeplił się go z poufałością, z jaką postępował zwykle względem ubogiego współlokatora swego, a jak mniemał, biurowego kolegi. Z uczuciem rozkoszy, śmiejąc się i cmokając językiem, wołał:

— A to ci *skandal* dziś wyprawili! No, dziesięć lat służę w *palacie*, a to dopiero trzeci raz!— Hi! hi!— protektor pański mruk taki, a dziś języka w gębie utrzymać nie mógł. Służbista! Jak szło o służbowy interes, to i złego humoru Mikołaja Hilaryonowicza nie lękał się, i swoje trzy grosze wsadzić musiał. Ot masz tobie i *służbistość*! Hi! hi! żebym ja był na jego miejscu, zaraz-bym do *odstawki* poszedł, jak Boga kocham! A co mnie służba! Niech mnie dziś z *palaty wygnają*, *dziela* prowadzić będę i fundusz

zrobię. Ale on nie pójdzie do *odstawki*, oho! ja wiem, że nie pójdzie. *Pierwsze* dlatego, że mu chce się ministrem być, a drugi raz dlatego, że go Mikołaj Hilaryonowicz przeprosi... Czegoż pan na mnie tak oczy wytrzeszczyłeś? Nie wierzysz pan, że przeprosi? No, zobaczymy. Oho, ja wszystko wiem. Mikołaj Hilaryonowicz dobry człowiek, tylko zgryzoty ma. Tak sobie z dala patrząc, zdaje się, że taka osoba nie powinna mieć zgryzot. Jednakowoż jabym z nim nie pomieniał się, dalibóg nie. Oho, ja wszystko wiem! Znam dobrze *człowieka* Mikołaja Hilaryonowicza, a dziewczka od nich często do mojej baby przychodzi. *Pierwsze* to, co się tycze pleców. *Mieć*, to on je ma, ale małe, a z małemi plecami, choć lepiej niż bez pleców, ale zawsze niewygoda duża. *Drugi raz*, widzisz pan, baby... trzy baby w domu. No? i takie jeszcze, którym chce się i pojazdów, i materyalnych sukien, i do klubu, i do gubernatora, i na maskarady, i wszędzie! *Córki*, panie, dwie, wielkie porosły i tęgic, jak piece, a szpetne takie, że jabym na żadną z nich mojej baby nie zamienił. Za mąż ani rusz... posagu ani kopiejki. A Mikołaj Hilaryonowicz za córkami przepada, żonki zaś lęka się, bo bardzo *zapalczywa* i podobno ze znacznej familii pochodzi, a on kupiecki syn... to, jak mu, panie, głowę naberkocą, napłaczą, nakrzyczą, w taką zgryzotę wpada, że cały świat zjeść chciał-by... ale potem żałuje,

bo to dobry jest człowiek i tyle tylko, że ma plecy małe i trzy baby...

W parę dni potem, o późnej nocnej godzinie, Ławicz, z zapalem wielkim piszący w grubym i do połowy zapisanym już zeszytacie, a przytém co chwila do różnych ksiązek zagląający, usłyszał na wschodach swych powolne i, pomimo ciemności, które tam panowały, równe i silne stąpania. Zdziwiony, podniósł głowę i wnet z wykrzykiem zdumienia, porwał się z krzesła. W otwierających się drzwiach izdebki zobaczył Maryana Dębskiego.

W balowym ubraniu, które dziwnie odbiło się na tle ubogiej, na-pół ciemnej izdebki, piękny i wyniosły człowiek ten zatrzymał się przez chwilę w progu, w trochę zmieszanej postawie. Futro jego opadło mu z ramion na najbliższy stół, rękę okrytą białą rękawiczką wyciągnął do gospodarza mieszkania.

— Mój drogi — rzekł — jak upiór zjawiam się u ciebie w pośród nocy. Jest to z mojej strony dziwactwo i nieprzyzwoitość, za które cię bardzo przepraszam.

Ławicz z pośpicchem posunął ku niemu jedyne, w posiadaniu jego będące, krzesło z poręczą. Nie wydawał się on ani zdziwionym, ani zmieszanym; znać było, że przyzwoitości światowe nie obchodziły go wcale, a ubóstwo mieszkania nie zawstydzalo. Na twarzy jego i w ruchach malowało się szczere uradowanie. Siadając naprzeciw gościa, na stołku, który,

z powodu okaleczonych nóg, zakolysał się pod nim gwałtownie, zaczął:

— Nie spodziewałem się, abyś pan kiedykolwiek był łaskaw...

— Abym kiedykolwiek odwiedził cię — dokończył gość. — Rzeczywiście, ja sam nie myślałem o tém nigdy. Mam tyle zajęć, obowiązków i z położenia mego wypływających stosunków!... Dziś jednak... ale to cała historia, którą opowiedzieć ci muszę, dlatego choćby, abyś mię za waryata nie wziął...

W niedbałej i znużonej nieco postawie, ramię o poręczę krzesła wspierając, przesunął po czole cienką, śnieżnej białości chustkę, od której zaleciał delikatny zapach perfum.

— Wracam, jak z ubrania mego domyślić się możesz, z tańczącego wieczoru... czy lubisz tańczyć?

— Nie wiem — uśmiechnął się Ławicz.

— Jakto, nie wiesz?

— Bo ostatni raz w życiu tańczyłem, mając lat czternaście.

— A! nie tańczysz więc teraz nigdy! Winszuję ci tego serdecznie. Co do mnie, tańczenie na wieczorach Mikołaja Hilaryonowicza należy do służbowych obowiązków moich. Cóż chcesz? młody jestem, a młodzieży bywa tam niewiele...

— Jakto!... — mimowoli jakby zawołał Ławicz i wnet urwał.



— Co? — podnosząc twarz, zapytał Dębski — co powiedzieć chciałeś?

— Nie... tak jakoś... zdawało mi się... że pan jesteś poróżniony z prezesem...

Dębski zaśmiał się. Był to śmiech niezupełnie wesoły.

— No! — zaczął — cóż? ta scena, którą mi onegdaj w izbie wyprawił? E, mój drogi! odpokutował on za nią tak ciężko, że chować względem niego urazę było-by brakiem wspaniałomyślności. Trzeba ci wiedzieć, że mam szczęście posiadać szczególne względy żony i córek prezesa; młody zaś i wesoły pomocnik prokuratora, wiedząc o tém, a chcąc prezesowi wypłatać figla, opowiedział paniom całą tę scenę. No! miał się biedak z pyszna! Wsiadły na niego baby i dopóty tarły mu czuprynę, aż przyszedł do mnie i powiedział: „Maryanie Feliksowiczu, niech będzie zgoda pomiędzy nami. Uniosłem się, przepraszam i proszę na tańczący wieczorek!” Cóż? dąsać się dłużej było-by rzeczą całkiem... nieużyteczną... prezes zresztą jest człowiekiem bardzo dobrym i czasem tylko, kiedy mu jego baby porządnie nadokuczają, przestaje być sobą...

Ławicz, słuchając opowiadania tego, mimowolnie uśmiechnął się. Dziwił się może wszechwiedzy Pawła Rębki, a może i czemuś innemu jeszcze... Dębski, w którego oczach przebiegały od chwil do chwili ironiczne błyski, mówił dalej.

— Ale nie powiedziałem ci jeszcze, jakim sposobem i dlaczego jestem tutaj. Wracalem więc z tańczącego wieczoru, z którego zresztą wymknąłem się wcześniej, niż może wypadalo... Jakoś nie tańczyło mi się dziś i nie weseliło, jak należy; w domu zresztą mam dużo roboty, a przetańczywszy połowę nocy, przez drugą jej połowę ślezyć nad aktami nie bardzo przyjemnie. Przyznaję się ze wstydem, że uczułem coś nakształt złości, czy może... smutku. Uczucie to tém nieprzyjemniejsze, że jest głupiem i do niczego nieprowadzącóm. Jednak byłem pod jego wpływem i, rozgniewany na ziemię, chciałem może spojrzeć na gwiazdy... sam nie wiem, to pewna, że, podniósłszy oczy, zobaczyłem twoje okno, świecące nad dachem tej kamienicy... Tak wysoko!... Rębko mówił mi, że ty tu mieszkasz. Światelko twego okna, mój drogi, pośród ciemnej zupełnie przestrzeni wygląda, jak gwiazda ciszy i rezygnacyi... Cóż mię ku niemu... silnie...

Bledszy nieco, niż zwykle, czoło na dłoni wspierając, ciekawem i uważnem spojrzeniem rozejrzał się po izdebce.

— Czy dawno tu mieszkasz?

— Od trzech lat i kilku miesięcy, to jest od czasu, kiedym, dzięki panu, otrzymał stałe zajęcie.

— Czy nie możesz mieć wygodniejszego trochę mieszkania?

Ławicz z widocznem zdziwieniem odpowiedział:

— Ależ mnie tu bardzo wygodnie!

— Wyborny jesteś, mój drogi! — głośno i szczerze zaśmiał się Dębski, lecz wnet spoważniał znowu i dodał: — już mię i w biurze uderzyła ta dziwna twoja rezygnacya...

Ławicz zarumienił się, ale i zdziwił się znowu.

— Ależ ja wcale rezygnować nie potrzebuję! — zawołał — posyłam matce część pensyi mojej, która ję tam na wsi zupełnie wystarcza, i zawsze mi jeszcze parę rubli na książki zostaje... życie kosztuje mnie bardzo niewiele.

— Spodziewam się. Ale prawda! Książek tu u ciebie daleko więcej niż powietrza! Zkądże ty ich mieć możesz tyle?

— Co miesiąc parę rubli na nie odkładam, to i zebrało się; przytém Żyrski, księgarz, jest szkolnym kolegą moim i wypożycza mi je bardzo tanio, czasem darmo, bo wie, że mu je zawsze w całości zwrócę. Nauczyłem się wybornie czytać książki, nie rozcinając wcale kart, albo rozcinając je tylko wzdłuż... Ot tak!

Tu, zapalając się, pokazywać zaczął Dębskiemu, w jaki sposób czytuje książki, z nierozciętymi kartami.

— I nie męczycię takie utrudnione czytanie? ochoty nie odbiera?

— O, nie! z niemieckimi tylko trochę trudno, bo język ten najslabięj...

— Prawda! wszakże tu pełno francuzkich i niemieckich... zkądże umiesz?..

— Początki miałem z domu i szkoły, ale słabe. Douczyłem się sam...

— Brałeś lekcye?

— O, nie! Zkądże-by mi...

— Więc jakże?

— Tak, sam... z gramatyki i z dykcyonarzami...

— Po łacinie, jak widzę, czytujesz... nie myślę, abyś ze szkół wyniósł taką biegłość...

— Nie, ale miałem początki. Douczyłem się sam.

— Ho, ho! co za tytuły, jakie imiona autorów! i sumiennie, widzę, studujesz... notat i wyciągów więcej niż u niejednego sławnego autora...

Umilkł i wpatrzył się w młodego kancelistę, długo, głęboko.

— Jakże więc... czy pozwolił mi zapalić cygaro? bo widzę, że będę tu siedział dłużej, niż myślałem?... jakże więc, zajmując się rzeczami takimi, jesteś zdolny przez trzy czwarte czasu swego bezmyślnie kopiować nasze kancelaryjne akta?

— Muszę — odparł Ławicz — mam matkę i sam żyć potrzebuję. Ale tamto co innego, a to co innego...

— Cóż to, a co tamto?

— Tamto — potrzeba i obowiązek, to — szczęście!

— Boże miłosierny! Że też w tym zmroku ludzkim rysują się jeszcze takie świetliste linie...

Z wykrzykiem tym wstał i przeszedł się parę razy po izdebce. Potém stanął przed Ławiczem i, wzięwszy go za rękę, ścisnął ją krótko ale silnie.

— No, — rzekł, siadając znowu — wytrąciłeś mię z mego zwykłego humoru. I nie dziw. Lecz, usuwając na stronę czułości, powiedz mi, na co ci to? co ze wszystkiego tego przyjąć ci może?

— Nie myślałem nigdy o tém...

— Otóż to... Niepraktyczność. Zużywasz czas i siły, nie wiedząc poco, bez żadnego celu; bo ostatecznie, jakkolwiek wielu na świecie było bardzo znakomitych samouków, mieli oni gieniusz. Czy mnie masz, że jesteś człowiekiem genialnym?

Ławicz zaśmiał się wesoło.

— Nie myślisz więc tak i masz słusność, bo od wielkich nawet zdolności umysłowych do gieniuszu bardzo daleko. I zresztą, gdybyś nawet i genialnym był, wątpię bardzo, abyś kiedy cokolwiek porządne go na drodze naukowej mógł uczynić. Dawniej łatwiej było, ale teraz, mój kochany, teraz, są na świecie metody, systemata, olbrzymie nagromadzenie materiałów, olbrzymia liczba pracowników, dobrze przygotowanych a uprawiających i wyszukujących wszystkie pola... Teraz i gieniuszowi nawet trudno, albo i całkiem niepodobna omackiem szukać i znajdować... nie prawdaż?

— Prawda — odpowiedział Ławicz.

— Widzisz. Na co ci więc to wszystko?

W błękitnych oczach Ławicza, wpatrzonych w gościa, odmalował się smutek. Dębski uśmiechnął się i rzekł:

— Widzę, że zmartwiłem cię. Odwołuję słowa moje. Życie nie okazało się istotnie zbyt dla ciebie łaskawém. Jeżeli więc to grzebanie się w książkach bawi cię — baw się!!...

— Ależ ja wcale za zabawę tego nie uważam — zawołał Ławicz.

— A ja nie widzę, czém-by to inném być mogło, — z niezwykłym sobie ożywieniem odparł Dębski.

Widać było, że w człowieku tym, który z nieublaganą metodą i wytrwałością do celów swoich dążył, wszystko, co wydawało mu się nielogiczném lub niepraktyczném, budziło niecierpliwą pogardę...

— Co do mnie — zaczął — nie rozumiem życia inaczej, jak z celem jasno określonym i z wiodącemi do niego praktycznemi drogami. Wiem dobrze, że dawniej jeszcze, kiedyśmy wszyscy mniej więcej dziećmi byli, uważaliście mię za człowieka, pełnego ambicyi, wyrachowanego i zinnego. Dziś także wszyscy, nie wyłączając wołów, osłów i uczonych pie-sków, których świat ten jest pełnym, zadają mi w oczy, albo za oczy, zarzut ambicyi i rachuby. I wyobrażają sobie naprawdę, że to jest zarzut. A ja się tego wcale nie zapieram. Ja się tém szczycę. To prawda, jestem ambitnym, ale ambicya moja szaleństwem żadném nie jest. Nie marzę wcale o niepo-



dobieństwach. Nie mam siebie za cud świata i nie pragnę zostać bohaterem jego, albo władcą. Rzecz cała w tém, że od najpięrszej młodości uczułem, że nie jestem idyotą ani niedołągą, i postanowiłem indywidualność swoją wyzyskać w sposób dla niej najwłaściwszy, ku największej korzyści swojej i społeczeństwa. To jest mój cel. Co się tyczy tej niby rachuby mojej... tak jest, rachuję i obrachowywam, a to dla tego, że urodzony i do lat chłopięcych hodowany w bogatym i możnym domu rodziców moich, widziałem dom ten obalony w gruzy i dokoła niego mnóstwo podobnych mu domów obalających się — przez brak rachuby!

Mówił to prawie z uniesieniem. Siwe źrenice jego błyszcząły, jak zimne lecz świetne brylanty, na ustach osiadł uśmiech na-pół gorzki, na-pół dumny. Gorycz jednak zniknęła całkiem, gdy mówić zaczął o wybranym przez się zawodzie, o naturze i ważności tych funkcji społecznych, do jakich mógł go on doprowadzić. Czémże zostać pragnął? Władcą potężnym, tryumfotorem rozgłośnym, sybarytą, opływającym w bogactwa i rozkosze? Nie; w zawodzie tym nic takiego osiągnąć nie podobna. Natomiast osiągnąć w nim można exystencją, dobrze zabezpieczoną od trosk i niedostatków, nękających umysł i energią, stanowisko społeczne poważane i czynność społeczną, niezmiernie wpływową.

— Stać pomiędzy prawodawcą i wykonawcą pra-

wa, tłumaczyć i stosować myśl pierwszego, a dłoń drugiego posuwać lub hamować, trzymać niejako pod okiem swém sumienie publiczne, badać je, roztrzasać i poznać w najdalszych jego głębinach, a potem wiedzą, na żywém ciele społeczném zdobytą, dzielić się może z prawodawcą i być mu nieraz pomocą i natchnieniem,—przyznaj, mój drogi, że rola to zaszczytna, wpływowa i godna tego, aby ludzie skłaniali przed nią głowy, jeżeli pełnią ją jest dobrze i do-kładnie.

Mówił potem, że na każdym miejscu tego świata pełno jest ludzi takich, którzy wykonywują robotę swoją, nie wiedząc sami, co i dlaczego robią. Do każdej roboty społecznej, potrzebną jest pewna doza filozofii, uczącej ogarniać całość i patrzeć w głębią. Posiadając filozofią taką i odpowiednie przymioty charakteru, w zawodzie sądowniczym stanąć można wysoko, stać się indywidualnością energiczną, wpływową i poważną. Dążenie do zostania indywidualnością taką i do zajęcia takiego stanowiska jest zapewne ambycją, ale czy szaloną albo występłą? czy przekraczającą granice zdrowego rozsądku albo naturalnych praw cywilizowanego człowieka? Zdaję to na twój choćby sąd, młody stoiku, który umiesz czuć się zadowolonym, mieszkając w tej izdebce, i nie oprócz niej w przyszłości swój nie widząc...

— Są to żądania proste i szlachetne — z zapalem odparł Ławicz.

— O szlachetności nie mówmy. Unikajmy górnych wyrazów; wystarcza mi to, że zbrodniarzem ani niedołągą zostać nie chcę, a żądania moje są proste i naturalne. Jakiemi zaś drogami do nich dążę, czy mi łatwo iść niemi, albo ciężko? to już moja rzecz. Jestem człowiekiem praktycznym. Nie płynę na cudzym grzbiecie, ale też, pracowicie rozbijając przed sobą fale, nie chcę, aby mię pierwszy lepszy rekin sentymentalizmu na dno pociągnął. Bo sentymenta i marzenia, mój drogi, to rekiny, i dlatego lękam się o ciebie. Jesteś cały w paszczy rekina...

— Co znaczy, że oddaję się marzeniom?

— Naturalnie; czémże bowiem inném być może, zgromadzenie do głowy swęj mądrości, które też w głowie twęj na wieki pozostaną? Bez celu, mój drogi, bez celu i niepraktycznie...

Zaśmiał się znowu, ale z przymusem, i wstał z krzesła.

— Nagadałem ci rzeczy nieprzyjemnych. Daruj, ale nie znoszę wszystkiego, co niepraktyczne i do niczego nieprowadzące. Przebacź też, że ci zajęcie, czy też bawienie się tve przerwałem i — dobranoc!

Ławicz zatrzymał w dłoniach swych rękę, którą podał mu gość jego.

— Mam do pana prośbę... wielką prośbę...

— Owszem, powiedz; jeżeli będę mógł... uprzedzam cię tylko, że co się tyczy twęj karyery biurowej

ty masz niezmiernie mało do zdobycia, a ja do ofiarowania ci...

— Wiem o tém i, wdzięczny panu za dzisiejszą pozycyą moję, niczego więcéj nie żądam. Prośba moja ma cel daleko, daleko ważniejszy, niż awans biurowy...

— Ciekawym! proszę cię, mów...

Lecz Ławiczowi mówić o przedmiocie tēj prośby łatwo nie było. Zmieszany, zarumieniony, ze spuszczonei oczyma, szepnął:

— Widzi pan, nie jestem zupełnie niepraktycznym... owszem, marzyłem... marzę, o zrobieniu użytku jakiegoś ze studyów moich... piszę...

— A! — zawołał Dębski i niedowierzającém, ironiczném nieco spojrzeniem, ogarnął gruby zeszyt, rozłożony pod światłem lampy. Ławicz, położył dłoń na tym zeszytce i śmielęj trochę, choć zawsze oczu nie podnosząc, mówił:

— Żyję zupełnie samotnie. Od wyjazdu do stolicy Derszlaka, nigdy z nikim, o niczém podobném nie mówię, a sobie nie ufam i nie wiem, czy to ma jakąkolwiek wartość, czy żadnej nie ma. Czasem, zdaje mi się, że ma, a czasem, że nie ma. Bywają dnie, w których myślę, że będzie to książka piękna, poważna; w innych dniach łaję siebie za zarozumiałość swą i ręce mi opadają. Nie wyobrazi pan sobie, jak niepewność taka okropnie męczył A tu nikogo,

nikogo, kto-by choć zrozumieć mógł, nie już ocenić...

Głos mu drżał, twarz oblała się wyrazem głębokiego smutku. Widocznie dotykał on teraz jedynęj strony życia swego, która była mu bardzo bolesną.

— Cóż więc? — z uśmiechem zapytał Dębski — chcesz może abym był sędzią twoim?

— Tak; pan jeden ze wszystkich ludzi, których znam, możesz... Myślałem o tём zawsze, ale nie śmiałem. Dziś ośmieliłeś mię pan dobrocią swoją...

— Jaka to dobroć, mój drogi? Nie używajmy nigdy górnych wyrazów! Dobrze; jak skończysz to... dzieło twoje... przynieś mi je... do mieszkania mego naturalnie. Przeczytam i zdanie swoje otwarcie powiem...

Po chwili, pięknego i świetnego człowieka w balowym stroju nie było już w izdebce i panowała w niej zwykła cisza nocna, przerywana ostrém i przeciągłym gwizdaniem stróżów miejskich, dochodzącém z czarnego jak czeluść zaułka. Na stole, pomiędzy mnóstwem papierów i książek, paliła się lampa, której odbłask rysował na suficie blade i drżące widmo miesiąca; po ścianach ciemniały nieruchome i kalekie cienie odzieży, zwisającój u haków wieszadeł; pośrodku izdebki stało krzesło z poręczą i wklęsłym materacem, na którym przed chwilą siedział Dębski; w kącie szczury łopotały parą starego obuwia.

Przy stole Ławicz stał długo, zamyślony i z razu smutny. Być może, iż w uszach jego brzmiały jeszcze

dźwięcznym, chłodnym głosem wymawiane pytania: „na co ci to? co ci z tego przyjsć może?” A potém: „bez celu... niepraktyczniel!”

Niepraktyczniel! Ależ w człowieku, kędyś tam, w głębinach piersi jego, w zwojach jego mózgu bywają wielkie moce pociągów i pragnień, które porywają go, jak silne fale, i niosą ku brzegom często, nieznanym. Ależ w wielkiój ciszy tój, która go otaczała, w tój bezgranicznój samotności, na którą żalił się przed chwilą, słyszał on śpiew Syren, zamieszkujących niezmierne morze wiedzy.

„Ku nam, ku nam statek nakieruj,  
Głosem przysłuchać się naszym!”

I, nie wiedząc: poco mu to? nie myśląc: co mu z tego przyjdzie? rok życia oddał-by chętnie za jedną noc słuchania.

VI.

Derszlak, wykolejony chłopak ten, z wychudłą twarzą i gorejącymi oczyma, który tak namiętnie bolał nad bólami ludzi, tak z blizka sobie znanymi, zadowolonym byłby z terażniejszej pracy kolegi i przyjaciela swego. Nie miała już ona na celu zimnych i niemych zjawisk i praw przyrody. Przedmiotem jej byli ludzie. Ławicz rozstał się już oddawna z naukami ścisłymi. Przekonał się, że dla zrozumienia Syren, w tej stronie morza wiedzy śpiewających, braknie mu rzeczy mnóstwa, całkiem niedostępnych. Ale były krainy inne, mniej tajemnicze, mniej obwarowane przed nieśmiałą i nieuzbrojoną ręką. W krainach tych mieszkaly wiekowe dzieje ludzkości. Wabiły one ku sobie wzrok ciekawy mroczną mgłą swych początków, wprawiały w ruch siły umysłu wiekiustym swym ruchem, wzmagały bicie uczciwego serca obywatelami pochodu na przód. Ławicza uderzył w szczególności jeden moment ich rozwoju mniemał, że wi-

dzi w nim więcej i głębiej, niż widzieli inni. Wtedy to dokompletował on łacińskie swe wykształcenie, zawarł przyjazne stosunki z myślicielami starożytności i zaczął, w nocnych godzinach, rozmawiać głośno z Markiem Aureliuszem, Epiktetem, Seneką i najulubieńszym swym Zenonem z Cittium, ojcem ulubionych Stoików. Wtedy też pisać zaczął.

Z wyjątkiem Rębkowej, która zaglądała tu parę razy na dzień, nikt w porze owej nie otwierał nigdy drzwi jego izdebki. Odwiedziny Maryana Dębskiego były wypadkiem, po którym bardzo długo żaden podobny mu nie nastąpił. Stosunki jego ze światem zewnętrznym ograniczały się do obojętnych i krótkich spotkań z biurowymi kolegami w kancelaryjnych salach, na rubasznych i natrętnych gadaniach Rębki i długich przechadzkach, które w każdą niedzielę odbywał po ulicach miasta. Jak każdego wyrobnika z czasem zaprzędanym, dni świąteczne uderzały go niezwykłością swoją i napelniały bezwiednym rozradowaniem zwierzęcia, któremu łańcuch spada z szyi na chwilę. Było to usposobienie, którego inaczej nazwać nie można, jak dobrym humorem. Nie potrzebował iść do biura, a dobry humor wypędzał go z samotnej izdebki. Wychodził więc i często nie spozstrzegając upływu godzin, podczas których, chodząc po mieście, pomiędzy ludźmi, miasta ani ludzi nie widział. Myślał o tém, co czytał wczoraj, lub pisać będzie dziś; szeregował w głowie wiadomości, układał

okresy i był całkiem podobny do lunatyka, we śnie chodzącego po świecie. Czasem jednak trzeźwieszym bywał, to i owo spostrzegał. Wchodząc na tłumny w niedzielne poranki rynek miejski, spostrzegał Kwirę, trzymającego w obu rękach klatki, z wystawionymi na sprzedaż kanarkami. Z pod czapki, polyskującej srebrną gwiazdką i okrywającej łysinę, kościana twarz kancelisty uśmiechała się wklęsłemi usty pokornie i z przymileniem. Paltot, z guzikami o rdzawej pozłocie, zwiślał mu z mizernych, przegiętych ramion i, pośród barczystych, silnych, zdrowych wieśniaków, których pełno było dokoła, czynił go podobnym do zgnędniałego owadu, z obwisłemi skrzydłami. Pod odkrytém niebem, z dala od swych zwierchników, Kwira uczuwał pewne towarzyskie popędy. Zachodził drogę przechodzącemu koledze i, zapominając o sprzedawaniu kanarków, zawiązywał z nim długą rozmowę. Było to zawsze jedno i to samo: Zenon przygotowuje się do zdania egzaminów; Zenon choruje, bo mu tantszy klimat szkodzi; Zenon w biedzie wielkiej, albo wyszedł już trochę z biedy, bo z kilku kolegami, którzy mu dopomagają, zamieszkał; panna Anna niespokojna o brata, chce jechać do niego, ale nie ma o czém, nie może już prac i prasować, słaba taka... doktor mówił, że to suchoty...

— A ot tój zimy i kanarki moje zdychały... zdechło ich z dziesięć... Bez grzechu narzekania, bieda!

Zresztą miasto z setką tysięcy ludności, w te dnie niedzielne wrzało, huczało, turkotało. Ławicz miały cukiernie z szerokimi oknami, za którymi rozgłośnie stukwały bilardowe kule, i winiarnie, w których odległych głębiach dzwoniło szkło i rozlegała się wesoła wrzawa. Przybytki te wesołości nie obchodziły go wcale. Nie znał ich. Nie umiał-by dokładnie powiedzieć, jak wyglądają ich wnętrza. Czasem, gdy było gorąco, wchodził pod jeden z licznych namiotów, w których zwinne i gadatliwe dziewczęta stały nad kranami, tryskającemi wodą sodową. Tam pełno też było ludzi: dandysów miejskich w odświętnych krawatach, młodych oficerów w białych rękawiczkach, z luźnie u błyszczących opasek wiszącymi szablami. Zwinne i gadatliwe gosposie miejsce tych bardzo uprzejmie, a więcej może ciekawie, spoglądały na tego młodego człowieka, z białą, zamyśloną twarzą, który nigdy nie przemawiał do nich i, ze spuszczonei, oczyma wychyliwszy co prędzej kubek swój, odchodził śpiesznie, jakby zawstydzony, czy zasmucony. Istotnie w miejscach tych, swobodnych póź i zbyt wesołych rozmów Ławicz doświadczał obu tych zarazem uczuć. Mieszały go one i zasmucały. Śpiesznie oddalając się od nich, snuł w głowie marzenia o idealnej Atlantydzie, wolnej od wszech rzeczy złych, brzydkich lub pustych. Z marzeń tych wyrывał go dość często donośny brzęk ciągnącego się po bruku pałasza i wesoły serdeczny głos, wołający:

— Zygmun! jak się masz?

Był to Zegrzda, którego Ławicz spotykał dość często, w okolicach cukierni, winiarni i namiotów z sodową wodą. Witali się zawsze serdecznie i z radością, lecz po kilku minutach stygli i milkli. Czuli obaj, że nic ich z sobą nie wiąże, nie mieli sobie nic do powiedzenia. Zegrzda od dość dawna był już oficerem i pysznił się tém. Ławicz, więcej niż kiedy, podzielał zdanie Musoniusza. Rozchodzili się, nie pragnąc i nie wyzywając nowego spotkania, a gdy traf je sprowadził, Zegrzda rzucał się zawsze ku dawnemu koledze z serdeczném uradowaniem i prędko bardzo opuszczał go obojętnie, albo i z lekceważącym uśmiechem na ustach, ocienionych pięknym, czarnym wąsem. Ze swój strony Ławicz, oglądając się za nim, trząsł czasem głową na znak przyjaznego politowania. Dnia pewnego spotkał on Zegrzdę, nie jak zwykle bywało, samotnie lub w gronie wesołych kolegów idącego przez ulicę, ale z kobietą, która wspierała się na jego ramieniu. Ławiczowi kobieta ta nie wydała się piękną. Wysoka i kształtna, lecz z rubasznymi ruchami, rysy miała grube, pospolite, a upięknione tylko świetną świeżością cery i energicznym wyrazem ognistych oczu. Była zresztą starszą od młodego oficera. Mogła mieć lat trzydzieści. W towarzystwie tém Zegrzda przechadzał się po mieście dość często i długo, aż zniknął, i przez kilka miesięcy Ławicz nie widział go już wcale. Gdy spotkali się znowu, mło-

dy oficer opowiedział mu, że miał pojedynek, był ciężko ranionym i długo chorował.

— Widziałeś ją?—szepnął—to żona majora? biłem się o nią!

Mówił to bez przechwałki, jako rzecz całkiem prostą i wogóle wydawał się znacznie mniej wesołym, niż dawniej.

W Atlantydzie Ławicza pojedynki nie istniały; to też z westchnieniem rzekł:

— Mój drogi! pojedynek jest barbarzyństwem, które w oczach...

— Mój kochany — przerwał Zegrzda — każdy z łachmanów w koszu tój tandeciarki, która tam stoi więcej może wart ode mnie! Ale odwagi przynajmniej nikt mi zaprzeczyć nie może!

W głosie zadrżał mu żal, oko błysnęło dumnie. Ławicz popatrzył na towarzysza i, z przyzwyczajenia do rozmawiania z samym sobą, do siebie, nie do niego, wymówił:

— „Dobre ziarno, na zły grunt rzucone, puste, kłosa rodzi.“

— Czy i to także powiedział Musonius?—zaśmiał się Zegrzda.

— Nie, Attius w Synefebach — spokojnie odparł Ławicz.

— Niech go dyabli wezmą! Ty bo, Zygmus, z tymi filozofami swymi bzika masz! Łatwo to pięknie mówić i pisać, ale pięknie żyć... oho!

— Władku!—zawołał Ławicz—ty jednak kiedyś marzyłeś o piękném życiu!

Zegrzda nie odpowiedział nic. Smutnym był trochę i dłużej niż zwykle szedł obok towarzysza.

— Wiész co?—ozwał się po chwili—wszystko na świecie przejada się... Szumi, szumi, aż wyszumi, i taki smutek człowieka ogarnie, że choć w łeb sobie strzel!

— Ty, Władku! ty smutnym bywasz kiedykolwiek?

— A cóż myślałeś? Niby to ja taki już ostatni głupiec czy łotr, żeby mi tam różne rzeczy w głowie i sercu nie świdrowały? No, ale stało się! popłynąłem...

— A... ona?—zapytał Ławicz.

— Kto? majorowa? otóż widzisz... to mi teraz najwięcej humor psuje... mężatka... męża porzuciła... dyabli wiedzą, co tu robić? a... ani żenić się, ani porzucić! Kobieta skompromitowała się dla mnie i przywiązała się do mnie... jak sioła!

— A ty chyba jej nie kochasz?

— Aż, zaczęło się od żartów... a zrobiło się głupstwo i... koniec!

Bardzo wyraźne strapienie przeglądało mu ze schmurzonego czoła i wejrzenia. Powiedział jeszcze Ławiczowi, że za parę miesięcy, wraz z pułkiem swym, opuszcza X. i że przyjdzie, aby się z nim pożegnać. Nie przyszedł jednak; natomiast na niewiele przed

dniem wyznaczonym dla odejścia pułku, Ławicz, idąc z biura do domu, spotkał się z długim szeregiem do-  
rozek, które przez środek ulicy galopem pędziły, a wiozły ludzi w wojskowych ubraniach, z wielkim hałasem śmiejących się i rozprawiających. W jednym z ludzi tych, w tym mianowicie, który giestykulował najenergiczniej, a przytém o mało z dorożki nie spadał, poznał Zegrzdę. Wracający téż z Izby do domu Rębko, dopędziwszy go na chodniku, objaśniać zaczął, że panowie ci wracają z pożegnalnego śniadania, przy którém muzyka grała i szampan lał się, jak deszcz z rynny... Damy były tam także i była ta majorowa, co męża porzuciła i za tym pięknym oficerem, z czar-nemi wąsikami, jedzie...

Wszystko to i wiele innych jeszcze rzeczy Rębko wiedział od *dięszczyka*, czyli żołnierza, który służył u samego pułkownika, a był dawnym jego kolegą z wojska. Rębko zawsze wszystko wiedział, ale tym razem Ławicz słuchał go z większém jeszcze, niż zwykle, roztargnieniem. W głowie jego snuły się znowu marzenia o Atlantydzie, globie szczęśliwym... O! stokroć szczęśliwszym i lepszym od ziemi...

Jemu na ziemi smutno być zaczęło. Bywały dnie, w których bezwładne zniechęcenie ogarniało go i dręczyło. Nie,—stanowczo nic nie umiał i nic nie mógł. Marzenia jego były szaleństwem i grzechem wobec majestatu nauki. Całemi godzinami przesiadywał przy stole swym z osłupiałém okiem i kurczo-

wo zaciśniętymi dłońmi. Potém jedna nowa myśl jakaś, jedna godzina ukojenia w zupełnej ciszy, lub jeden promień słońca, spadły na ścianę izdebki i migoczący po niej rubinową smugą, wrywały go z odjętowania a napełniały zdwojoną energią i nadzieją. Rzucił się znowu do pracy i z wytrwałością mnicha a zapamiętałością człowieka, który, prócz niej, nic nie posiadał na ziemi, pisał, kreślił, przerabiał, uczył się i douczał. Bywały wtedy chwile, w których uczuwał się tak silnym, że myślał, iż mógłby górę pochwyć w ramiona i przenieść ją na drugi koniec świata; w których, zmęczony aż do wyczerpania sił, padając na ubogą swą pościel, zamykał do snu oczy z westchnieniem głębokiej rozkoszy.

Trwało tak długo. Gruby zeszyt całkiem już był zapisanym, a jednak leżał jeszcze na stoliku Ławicza, Nie śmiał oddać go człowiekowi, który, jeden z pomiędzy wszystkich znanych mu ludzi, mógłby mu być światłem i pomocą. Mógłby, gdyby chciał. Czy zaś chciał albo nie chciał, niktby na pewno określić tego nie mógł. Zamyślane zresztą zawsze i surowe czoło sekretarza Izby stawało się teraz chmurném, kryształowe źrenice jego miewały czasem posępne błyski. Czas upływał, a w położeniu jego nie zachodziła zmiana żadna. W sali posiedzeń sądowych, ludzie, zasiadający krzesła z wysokimi poręczami, zmieniali się dość często. Ci, którzy znikali, szli kędyś wyżej; następcy ich wstępowali tu ze szczebli niższych. Lecz

Maryan Dębski siedział lub stał zawsze przy umieszczoném u okna biurku sekretarza. Raz nie przybywał on do biura przez miesiące parę. W biurze wiedziano powszechnie, że zażądał urlopu i wyjechał do stolicy, w celu bronienia naukowej rozprawy i otrzymania tytułu naukowego. Gdy wrócił, wiedziano téż powszechnie, że przywiózł z sobą dyplom doktora praw. Coś jakby wielka gloria rozpromieniało mu czoło, a surowe usta odświeżyły się i odmłodziły w uśmiechu szczęścia. Co myślał o zdobytej przez się godności, nie wiadomo, ale musiał ufać bardzo potędze jęj, bo obejście się jego z ludźmi stało się swobodniejszém, niż było dawniej. Można-by rzec, iż mniej teraz lękał się „rekina sentymentalizmu“ i mniej czujnie omijał rafy. Zbliżył się téż raz do Ławicza i półgłosem, z wesołym prawie uśmiechem, rzekł:

— Wiesz, że mi! Miałem dzień wielkiego szczęścia, a przyszłość mam tak dobrze, jak w kieszeni!

Ławicz miał wielką ochotę z głęboką ciężką uściśnąć mu rękę, a może nawet przykleknąć przed nim na jedno kolano.—Dostojnik nauki!—myślał. Z nieśmiałością w wejrzeniu a prośbą w głosie, przypomniał mu obietnicę, daną w czasie owych nocnych odwiedzin.

— Al te pisania twoje... przynieś-że mi je, zobaczę! Uprzedzam tylko, że zwrócę nieprędko. Pracy mam po urlopie więcej jeszcze, niż zawsze.



Pracował też znowu tak, jak dawniej, i więcej jeszcze, uporczywiej niż dawniej. Tylko z upływem czasu na czole jego gasły promienie, przywieszono z ogniska wolnej i czystej nauki; przygasać też w nim musiała ufność we wpływy zdobytego dostojenstwa. Rębko mawiał o nim znowu.

— E! *musi być* z niego nic nie będzie! Trzeci rok jest u nas sekretarzem, a Mikołaj Hilaryonowicz ani myśli puszczać go wyżej!

Trzy lata stanowiły wiele dla dwu córek Mikołaja Hilaryonowicza, z których żadna za mąż jeszcze nie poszła; a im więcej czasu upływało od dnia ich urodzin, tém częściej wyraz troski czy zgrzyoty okrywał twarz ich ojca. Tém częściej także atmosfera burzy wisiała nad salami Izby i tém częściej posępne błyski strzelały z oczu sekretarza, a drżenie bólu czy zniecierpliwienia wstrząsało umięciami zawsze milcząc jego ustami. Raz, mijając krzesło, na którym siedział Ławicz, rzekł w przechodzie:

— Przyjdź-że do mnie dziś wieczorem po szpargały swoje.

Wieczorem, w źwierciedle zdobiącym przedpokój Dębskiego, przesunęła się twarz młodzieńcza, zmieszana i niespokojna, i postać szczupłą, na przód nieco podana a przybrana odświętnie. W mieszkaniu tém nietylko zbytku, lecz istotnego dostatku nie było. Szczupły rozmiar pokoiów i taniość sprzętów, świadczyły o niezamożności gospodarza. Jednak objawia

się tam także nietylko staranność wielka o zachowanie ścisłej przyzwoitości ale i pewna dbałość o modę i efekt. W przedpokoju palił się kinkiet, na posadzkach leżały tanie, lecz kwieciste, dywany, u drzwi i okien zwieszały się draperye, w złym gatunku, lecz zdobne bronzami. Zresztą wielki porządek i czystość wszędzie; na stołach książki i gazety, kilka rodzinnych portretów na ścianach.

W saloniku, przy okrągłym stole, na którym paliła się duża lampa, siedzieli dwaj młodzi chłopcy, z których jeden był w szkolnym jeszcze mundurze, drugi miał na sobie ubranie, odznaczające ucznia wyższego naukowego zakładu. Starszy rysował, młodszy czytał; przez drzwi otwarte i spuszcającą się nad nimi ciemną franke widać było gabinet, w którym przy biurku, oświetloném lampą z zieloną umbrą, nad stosem urzędowych papierów siedział Dębski. Obecność dwóch chłopaków, łagodne światło lamp i głęboka cisza nadawały mieszkaniu temu charakter rodzinny i poważny. Zawołany przez jednego z chłopców, Dębski wyszedł do saloniku na spotkanie Ławicza.

— Zdaje mi się, że znałeś kiedyś trochę braci moich. Oto są oni. Powyrastali, prawda? Adaś już w szóstej klasie realnego gimnazjum, Józef spობi się na inżyniera. Dziwisz się, że są tutaj?— Przyjechali do mnie na święta. Na każde święta sprowadzam ich do domu. Nie trzeba, abyśmy od-

zwyczajali się wzajem od siebie; przytém widując ich często, łatwiej nad młodemi głowami ich kontrolę utrzymać mogę!... Ale masz ze mną do pomówienia. Chodź-że do gabinetu!

Swobodniejszym tu był i cieplejszym niż tam— w biurze; w zamian wydawał się trochę zmęczonym i smutnym. Gdy mówił o braciach i patrzył na nich, twarz jego rozjaśniła się uśmiechem i wesołym prawie wejrzeniem, które jednak zniknęły wkrótce. W gabinecie odsunął szufladę biurka i wyjął z niej rękopism Ławicza. Usiedli obaj.

— Mój drogi—zaczął Dębski—mam ci do powiedzenia rzeczy przykre. Książka twoja, z wyjątkiem kilku oryginalnych istotnie poglądów, zawiera w sobie to tylko, co w literaturze przedmiotu znajduje się już w kilku dziełach bardzo znakomitych. Widocznie nie znasz literatury przedmiotu, do którego się wzięłeś.

— Zdawało mi się, że ją znam—szepnął Ławicz.

— Otóż to; brak ci sposobów systematycznego badania rozwoju wybranej gałęzi naukowej i dlatego podjąłeś pracę ogromną, nie wiedząc, że inni dokonali ją już daleko lepiej, niż ty uczynić to mogłeś. Myślę zaś, że powtarzanie pacierza za panią matką i w dodatku słabszym głosem, na nic się nie zda ani tobie ani światu... prawda?

Tu wymienił tytuły i auterów dzieł, o których mówił.

— Ponieważ to dziedzina historyzofii, wiedzia-

łem już o nich, odbywając moje studia prawne. Nie które z nich czytałem wtedy jeszcze, niektóre później...

— Czy to są rzeczy bardzo drogie?—z takim wybuchem głosu zapytał Ławicz, że Dębski, który mówił dotąd z oczyma błędzącymi po przestrzeni, spojrział na niego z uwagą i ciekawie.

— Cóż? — rzekł — czy chciał-bys je czytać? Nie zdajesz się być zmartwionym?

Na twarzy Ławicza zmartwienie w dziwny sposób mieszało się z uradowaniem.

— Owszem—szepnął—przykro mi... ale z drugiej strony, cieszę się, że miałem te same pomysły i poglądy... które mieli ludzie z uznaną nauką i talentem?

— Prawda, że jest to dowodem wielkich twoich zdolności, ale cóż z tego? Zdolności, które w należyty sposób zużytkowanymi być nie mogą, są właśnie, mój drogi, największém z nieszczęść, jakimi łaska nieba obdarzać nas raczą...

— Jednak mówiłeś pan, że są tu rzeczy oryginalne...

— Tak; ale bez odpowiedniej metody przedstawione... ztąd chaos, zaprzeczanie samemu sobie i to, co w naszym studenckim języku, nazywaliśmy naukowymi bąkami. Metoda, mój drogi, metoda... znajomość literatury przedmiotu i metoda, są to dwie rzeczy, których ci całkiem lub na pół braknie, a bez których dziś w nauce gieniusz sam nic nowego i prawdziwie porządnego uczynić nie potrafi.

Sąd swój udowodniał potem długo. Ożywił się i prawie zapalił. Widać było, że rzeczy i sprawy umysłowe silnie obchodzić go mogły. Wyjął z szafy kilka książek, przerzucił je i przeczytywał niektóre ich ustępy, przerzucił też rękopis, wskazując znajdujące się w nim braki i błędy. Skończywszy, wpatrzył się w Ławicza bystro, ciekawie i krótko zapytał.

— Cóż?

Długich dowodzeń Dębskiego Ławicz słuchał chciwie, z wlepionymi w twarz jego oczyma, rumieniąc się i blednąc na przemian. Teraz siedział w nieruchomiej postawie, bardzo blady, z dłońmi splecionymi na kolanach i spuszczonej powiekami. Na zapytanie Dębskiego, podniósł wzrok, uśmiech cierpiący lecz łagodny przewinął się mu po ustach.

— Cóż? — odpowiedział z cicha — trzeba jeszcze uszyć się dalej i wiele...

Dębski wstał, skrzyżował ramiona na piersi i przez chwilę stał w milczeniu, wpatrzony w ziemię; potem, niespodzianie, dwie białe, silne dłonie, spoczęły na wątych ramionach Ławicza, dwie siwe źrenice, z których kryształowej głębi patrzała teraz dumna lecz głęboka żałość, wpatrzyły się w twarz jego.

— O! niedola nasza...

Chciał widocznie mówić dalej, lecz jakby zawstydzil się rozpoczętej skargi, jakby zląkł się uczutego w sobie „rekina sentymentów”, wyprostował się, ze

stojącego na biurku, świecącego przyrządu wyjął cygaro, drugie Ławiczowi podał.

— Nie palisz? prawda! alboż anachoreci pozwalali sobie kiedy na takie próżności i zbytkil

Zapalił cygaro.

— Czém jeszcze służyć ci mogę?

Ławicz wstał.

— Dziękuję panu...—zaczął.

— O! nie dziękuj! Gdybyś był ograniczonym albo zrozumiiałym, pozbył-bym się ciebie komplementem i miałbyś wtedy za co mnie dziękować. Chcesz może, abym ci pożyczył tych książek... tych i innych? Mam sporą biblioteczkę, możesz z niej czerpać... ponieważ jest to już twoją *idée fixe*... Ha! któż zresztą z nas nie ma idei jakiejś, do której urzeczywistnienia dojść pragnie... pomimo wszystko?..

Kiedy przechodzili przez salon, Dębski dotknął dłonią głowy starszego z braci i rzekł z uśmiechem.

— Ten już chyba... dojdzie z pewnością! Wybrałem mu zawód bardzo praktyczny. I sam on zresztą zgodził się z wyborem moim. Zdolności ma, pracę tylko, żelazną pracę doradzam mu zawsze i... patrzeć w górę.

## VII.

Obciążony rękopismem swym i pożyczonemi książkami, Ławicz wrócił do swój izdebki. Bez gniewu, bez rozpaczy, wsunął rękopism do małej szafy, w której znajdowało się kilka koszul, para znoszonych butów, kilka liber czystego, i gruby zwój zapisanego papieru; potem, z powolnemi ruchami głęboko zamyślonego człowieka, usiadł przy swym stoliku i roztworzył jedną z pożyczonych sobie książek. Im dłużej czytał książki te, tém więcej utrwał się w przekonaniu, że Dębski powiedział mu zupełną prawdę. Znadto był oświeconym, aby mógł nie zrozumieć wskazanej sobie prawdy, z nadto czcił naukę, aby mógł prawdzie rozumianej zaprzeczać. Zdumiony głębokością nieświadomości własnej, zamyślał się często i patrzył w zagadkę małej owocności ogromnej swój pracy. Zamyślał się teraz daleko częściej i ciężej, niż wprzód. Czytywał chciwie, chciwiej nawet, niż dawniej; lecz od czasu do czasu podobnym bywał do

człowieka, budzonego ze snu przez doświadczane wewnętrzne ukłócia. Klóło go coś wewnątrz, podnosił głowę i ścisnął ją w obu dłoniach, albo też nagle splecione ręce na kolana opuszczał i, z pochylonóm czołem, szklistym wzrokiem wpatrywał się w brudne deski podłogi. Bywały też już wieczory takie, w których nie czytywał wcale. Ukłócia uczuć, których określać ani w które wsłuchiwać się nie chciał, podnosiły go ze stolka. Wstawał, brał czapkę i wychodził na miasto.

Na mieście, w zmroki zimowe, pełno było kuligów, szumnie pędzących środkiem ulic, lamp, oświetlających okna sklepowe, twarzy kobiecych, przesuujących się na oświetlonych tłach, śpiesznych stąpań po skrzypiącym śniegu, tonów muzyki, brzmiejącej w głębiach domów, a jękiem lub chichotem wnikającej w uliczny szum. Z całej tej mieszaniny światła, linii i dźwięków, jedna tylko muzyka zwracała uwagę Ławicza. Jakież inne zjawisko ze świata otaczającego obchodzić go mogło? Nigdy, przy chóralnym brzęczeniu dzwonek, nie pędził on wesoło z żadnym kuligiem takim; nigdy nie zaglądał do bogatych, wewnątrz oświetlonych, tych sklepów; żadnej z przesuujących się w świetle twarzy tych kobiecych nie umiał nazwać po imieniu. Od wielu też lat, od czasu, gdy z mieszkania matki jego wyniesiono fortepian, po którego klawiszach przebiegały często białe jój palce, tyle tylko słyszał muzyki, ile z wnętrza domów

dojść jej może do uszu ulicznego przechodnia. Świat sztuki zawsze i szczerze był przed nim zamknięty. I nie skarżył się on na to tak, jak nigdy nie skarżył się na nic, ani przed ludźmi, ani przed samym sobą. Lecz tylko, ile razy z wnętrza domu, pod którego ścianą przesuwiał się, w szum ulicy wniknęła i w pierś jego wdarła się pieśń tęskna albo namiętna, stawał i słuchał. W cieniu wysokiego muru, albo w świetle ulicznej latarni, wątła postać jego wydawała się postacią żebraka, nieśmiało, choć chciwie, oczekującego na spaść mu mający okruch jałmużny. Był to może w istocie żebrak, pochwytyjący okruchy życia, którego świat ten tak jest pełny, a które, nakształt porwanych i wciąż uciekających promieni ideału, dochodziły go w lotnych i wciąż rwących się tonach muzyki.

Raz stanął tak i zasłuchał się przed domem, w którym sam mieszkał. Od czasu pewnego na pierwszym piętrze tego domu często i rzęsiście oświetlał się rząd okien, za którymi grano i śpiewano wiele. Cichość zaułka ułatwiała słuchanie. Nad dachem domu, okno facyatki, które przez lat tyle świeciło co wieczór bladem światłem małej lampki, ciemne było i niewidzialne. Na pierwszym piętrze piękny i silny głos kobiecy śpiewał przy wtórze muzycznych akordów. W zmroku zaułka śpiesznym i energicznym krokiem idący mężczyzna potknął się o człowieka, stojącego u ściany domu w zamyśleniu takim, że zbliżających się kroków nie usłyszał i z drogi się nie usunął.

— Przepraszam, — dotykając ręką kapelusza,

rzekł przechodzący, i śpieszył dalej, lecz potrącony, z dźwiękiem uradowania w głosie, zawołał:

— Michasiul poznałem cię po głosie!

— O! słowo honoru! i ja po głosie poznaję... Ławicz, czy co? no, góra z górą... kopę lat... ale czegoż ty tu tak stoisz?

— Ja w tym domu mieszkam, i słuchałem tego ślicznego śpiewu na pierwszym piętrze...

— Prawda, że ona ślicznie śpiewa! — zawołał Kaplicki, — ale gdybyś ją samą widział, jaka śliczna! Patrz, ja tu co dzień na pierwszym piętrze bywam, a nie wiedziałem, że ty w tym samym domu... Ale słuchaj-no, poczekaj, czy nie o tobie tylko one mówiły... no, no! gdzie twoje mieszkanie?

— Na poddaszu.

— Akurat! z pewnością o tobie! szczególny wypadek, słowo honoru, i zabawny!

Mówiąc to wszystko, aż zanosił się od śmiechu, tak go coś rozweseliło. Ławicz ze zdumieniem zapytał:

— Z czego się tak śmiejesz? Kto o mnie mówił? Kto może wiedzieć o mnie?

— No, chodź ze mną, to ci wszystko opowiem; przyciemniłem przeciwko tobie, i usprawiedliwić się muszę. Przez tyle lat straciłem cię był z oczu, ale kłopoty, widzisz, interesa... człowiek jak przyjeżdżie do miasta, nie wie, na którą nogę ma stanąć, a teraz jeszcze o czemś ważniejszym myślę... Chodź do mnie.

Ławicz nie opierał się. Kaplicki gwizdnął na do-  
rozkę. Po kilku minutach znajdowali się obaj w ob-  
szerném i wykwintnie urządzonej hotelowém miesz-  
kaniu, które lokaj, z usłużnym pośpiechem, oświe-  
tlił kilku zapalonemi świecami. Sztwywny zbytek ho-  
telowy wywarł snadź na Ławiczu ziębiące wrażenie;  
od kilku lat zresztą nie widział on już gospodarza  
mieszkania tego. Zmieszany, z czapką w ręce, stanął  
przy aksamitem obitym fotelu. Ale Kaplicki, z tąż  
samą, co dawniej, trochę tylko rabuszniejszą, niż da-  
wniej, serdecznością, w ramiona go pochwycił, w oba  
policzki wycałował i na fotelu posadził. Był to teraz  
tęgi i barczysty mężczyzna, z wyraźną skłonnością do  
otyłości, z zawieszonym płowym wąsem, zdobiącym  
twarz okrągłą, pełną, rumianą, i błękitnemi, jak nie-  
bo, oczyma przyozdobioną.

— Kontent jestem tak, jakbym na sto koni  
wsiadł. Myślałem o tobie często, ale coż? jak czło-  
wiek wpadnie do miasta... W izbie dawno już nie  
byłem, i teraz dopiero przyjdzie mi znowu... bo, wy-  
obraź sobie: dwa procesy, jeden z chłopami o łąki,  
drugi z żydem... Ale mniejsza o to! Później ci to  
wszystko opowiem. Teraz interes najważniejszy...  
wiész, żenię się.

W tém, co powiedział, nie było nic dziwnego:  
miał lat dwadzieścia kilka i majątek. Ławicz jednak  
wydawał się zdziwionym, tak zdziwionym, że Kapli-  
cki, patrząc na niego, śmiechem parsknął.

— A, mój ty Salomonie! czegoż tak na mnie oczy  
wytrzeszczyłeś? Czy ci się zdaje, że ty i ja jesteśmy  
jeszcze takimi dzieciakami, jak wtedy, kiedyśmy ra-  
zem... pamiętasz? nad tą przeklętą greczyzną ślęczeli.

— Nie; ale wiész? mnie nigdy na myśl to nie  
przyszło!

— Spodziewam się... w twojém położeniu trudno  
o takich rzeczach... bo, wszak zawsze w biurze słu-  
żysz, i z tą samą pensją... no, cóż robić, kiedy ina-  
czej nie można? Zresztą, ty zawsze byłeś jak panien-  
ka... Ja znowu jestem innój natury człowiekiem.  
Mnie zakochać się, to jak z bicia palnąć. Tak jednak,  
jak w pannie Alinie, szczerze mówię, nie kochałem  
się nigdy. Panna piękna, dobrego rodu i utalento-  
wana... Słyszałeś, jak śpiewał! Przytém trzydzieści  
tysięcy posagu... ja o to nie dbam, i bez tego ożenił-  
bym się z nią, ale kiedy są, to i lepiej... bo wiész?  
interesa... trochę długów... i gospodarstwo jest taką  
rzeczą, że bez kapitału ani rusz... Ojciec zupełnie  
się już zestarzał i rządy majątku mi oddał. Gospo-  
dyni też w domu bardzo potrzebna...

Służący na srebrnej tacy przyniósł herbatę, cia-  
sta i przekąski. Kaplicki częstował gością.

— Nie zostałem dziś u nich na herbacie, bo po-  
gniewaliśmy się trochę z panną Aliną. Dumna jest,  
a ja tego nie lubię. Jutro dają wieczór tańczący,  
a tancerzy mają tyle, co nic. Zaproponowałem  
kilku moich tutejszych znajomych, mieszcuchów so-

bie, ale porządnych chłopców. Nie chciała; powiedziała, że ani ona, ani jej kuzynki z byle kim tańczyć nie będą. Ja tego nie lubię, u mnie człowiek byle uczciwym i porządnym był.. Wziąłem to może z tej mieszczaniny, która u nas w szkole panowała.. Pamiętasz np. Derszlaka? syn cieśli, a jaki był sympatyczny! Posprzeczaaliśmy się i poszedłem. Nic to! jutro pójdę, przeproszę, ale na swoim postawić muszę...

Ławicz wydawał się znowu bardzo zdziwionym.

— Ależ, mój drogi, — zawołał, — czyż są jeszcze na świecie ludzie, którzy-by tak myśleli, jak twoja narzeczona!

Z kolei Kaplicki ze zdziwieniem na niego popatrzał.

— Ałóż naiwny jesteś! — wzruszając ramionami, odrzekł. — Połowa świata, mój drogi, jeszcze tak myśli. Ale, prawda; alboż ty, Salomonie, w książkach wiecznie zagrzebany, świat znać możesz! *A propos*, — śmiejąc się znowu i zrywając się z krzesła, zawołał: — Wiész? w domu mojej narzeczonej wiele mówią o tobie, i niezmiernie ciekawi są ciebie poznać... \*

— Ale zkąd-że...

— Ot, głupstwo! wiész? baby zawsze ciekawe, a zaciekawiła je żona stróża, jakaś Rębkowa, która dziwne dziwy im o tobie opowiada: że po całych nocach nie sypiasz i nad książkami siedzisz, że sam

książki piszesz, że sam do siebie gadasz, że, наконец, jak ona myśli, jesteś sobie trochę...

Tu ręką wskazał na czoło.

— Waryatem, — uśmiechając się, dokończył Ławicz.

— Ale—z lekkim zmieszaniem tłumaczył się Kaplicki, — te panie nie wierzą w to... tylko kancelista, czytający i piszący książki, w głowie im pomieścić się nie może.. przytém, jedna z nich widziała cię kilka razy na wschodach, i dowodzi, że jesteś przystojny i masz oczy marzyciela... Ja to tam tego obojętnie słuchołem, bo ani przypuszczałem, że to wszystko o tobie... Te panie nie zapytały Rębkowej o nazwisko twoje, a może i nie zapamiętały go... ale nadzwyczajnie, nadzwyczajnie chcą ciebie poznać... nawet panna Alina...

Ławicz całego opowiadania tego słuchał dość obojętnie. Parę razy jednak zarumienił się trochę.

— Ani przypuszczałem, — szepnął, — abym mógł być przedmiotem...

— Rozmów i ciekawości ładnych pań! widział a gdybyś wiedział, jaka to śliczniutka panienska nazwała cię przystojnym, i mówiła, że masz oczy marzyciela...

Ławicz zarumienił się znowu.

— Zdaje mi się, — szepnął, — przypominam sobie, że istotnie od czasu pewnego spotykam często na wschodach jakąś młodą panienkę...

— Szatynka, średniego wzrostu, ośmnasto letnia.

— Zdaje się...

— Bardzo biała, z szafrowemi oczyma...

— Zdaje się...

— To najpewniej ona, panna Jadwiga... cóż? prawda, że bardzo ładna?

— Nie uważałem.

Kaplicki wpatrzył się w niego wielkimi oczyma i znowu parsknął śmiechem.

— A niech-że cię Pan Bóg ma w opiece swojej! No, waryat nie waryat, ale że dziwak z ciebie wielki, to pewnie! Spotykać się często z taką śliczną dziewczyną i nie uważać... jednak, w czepku widać rodziłeś się, bo ona zauważyła cię, i nawet dość dokładnie, kiedy o twoich oczach mówiła. Cóż? znowu rumienisz się! A! jakiż dzieciak z ciebie! Toż ty, słowo honoru, chyba z innej gliny ulepiony, niż wszyscy...

Tu przyszedł mu snadź do głowy pomysł jakiś, bo dłonią uderzył się w czoło.

— Genialna myśl, — zawołał, zaprowadzę cię jutro do nich na wieczór...

— Ja, na wieczór! Ależ, mój Michasiu... ja nigdy nie byłem na żadnym...

— Byłeś, byłeś, pamiętasz? kiedyś, kiedy moja nieboszczka matku tu przyjeżdżała...

— Ależ ja wtedy miałem lat...

— No, dzieciak byłeś, to prawdą, ale pocóż mówisz... zlituj się... nie mów tylko tym paniom, że ni-

gdy na wieczorach nie bywasz, bo pomyślą o tobie, że jesteś człowiekiem dzikim...

— Mój Michasiu, wedle mnie, ten tylko człowiek jest dzikim, który nie zna nauki i nie rozumie wielkich idei, przez nią...

— Wedle ciebie tak jest, a wedle tych pań inaczej; dla nich człowiek, nieobeznany z towarzystwem, jest dzikim, i co prawda, ja sam zdanie to podzielał. Nie obrażaj się tylko! o tobie nie mówię. Ty jesteś Salomonem i najpocziwszym w świecie chłopcem... pójdziesz jutro ze mną na wieczór, prawda?

— Nie, mój drogi!

— Ależ pójdziesz, mój Zygmsiu! mój najmilszy... ja cię chcę w świat wprowadzić, i jak powiem panie Alinie, że cię przyprowadzę, to mi łatwiej klótnią przebaczy...

— Jednakże, sam mówiłeś, że pogardza ona...

— Ależ to zupełnie co innego. Twój ojciec był takim samym dobrym szlachcicem; przytém, jesteś moim szkolnym kolegą i człowiekiem... interesującym. Coż? pójdziesz? prawda!

Wyciął go znowu w oba policzki i, podając mu filiżankę herbaty, zaczęła:

— Jutro, o godzinie drugiej, włożysz frak i pójdziemy z wizytą...

— Ależ, mój Michasiu, ja fraka nie mam...

— Masz tobie! fraka nie ma! Któż bo na całym świecie może nie mieć fraka? Cóż robić? poprowa-



dzę cię bez fraka... człowiekowi z oczyma marzyciela  
wszystko ujdzie... Tylko pamiętaj, o drugiejj...

— Ja o drugiejj jestem jeszcze zajęty w biurze...

— Z biurem znowu bieda! No, już mniejsza  
o to! obejdzie się i bez wizyty! Zresztą i ja cały  
dzień zajęty będę... chodzić będę za interesami i ro-  
bić sprawunki. Ekwipuję się... powozy i konie już  
mam, ale uprząż dla koni, liberya dla służby, meble,  
dywany, lampy, własna moja garderoba, wszystko to  
jeszcze na karku siedzi. Przyjdę po ciebie przed sa-  
mym wieczorem. Mniej więcęj o ósmęj... bądź gotów!

— Ależ ja na ten wieczór nie pójde...

— Pójdziesz...

W parę godzin później rozstając się, pomówili  
jeszcze temi samemi wyrazami. Jednak z twarzy Ła-  
wicza i dźwięku jego głosu wnieść można było, że  
trwoga przed nieznanym mu światem walczyła w nim  
z chęcią zobaczenia go, myśl o niedoczytanęj książce  
jakięjs—ze wspomnieniem słyszanego dziś śpiewu.  
Nazajutrz, wychodząc do biura, spotkał, wbiegającą  
na wschody pierwszego piętra, szatynkę ośmnastolet-  
nią, średniego wzrostu, bardzo białą, z szafirowemi  
oczyma. Wszystkie te właściwości jęj osoby mignęły  
przed nim, jak błyskawica, bo uczuł w twarzy wielkie  
gorąco, spuścił powieki i tak prędko zbiegł ze wscho-  
dów, że zaledwie nie upadł. Pięrszy raz w życiu  
sposzrzegł kwiat na kapeluszu kobiecym. Był to  
figlarny, roztrzepany, czerwony mak polny.

Około godziny dziewiętej wieczorem, Kaplicki  
wpadł do izdebki na poddaszu i znalazł dawnego ko-  
legę swego, ubranego odświętnie. Z razu jednak nie  
zwrócił uwagi na jego ubiór. Był tak zmęczonym,  
że padł na najbliższy stołek i kilka sekund przemówić  
nie mógł.

— Shasałem się dziś za sprawunkami temi, jak  
koń pocztowy, a tu do ciebie cztery piętra. Jak ty  
możesz tak wysoko mieszkać?

Powiódł spojrzeniem po izdebce.

— Więc ty tu mieszkasz? tu?

— Naturalnie; od sześciu lat.

Kaplicki posmutniał.

— Mój Zygmsiu—rzekł z cicha,—ależ to nędzal

— Jaka to nędzal! nie jest to wcale nędzą za-  
dną! — gniewnie prawie sarknął Ławicz.

Nie po raz to pięrszy już razilo go i niecierpli-  
wiło, że w położeniu jego ludzie naprzód, a czasem  
tylko materyalne niedostatki sposzrzegali. On sam,  
gdyby mu o nich nie mówiono, nie sposzrzegł-by ich  
nigdy.

— A! jeżeli myślisz, że to bogactwo, niech sobie  
będzie bogactwo. Z innęj gliny jesteś ulepiony, niż  
wszyscy ludzie. Cóż? tam zaraz tańczyć zacząną;  
chodźmy!

Sposzrzął teraz na czarne ubranie Ławicza.

— No, — rzekł, — ujdzie! A gdzież rękawiczki?

— Rękawiczki! — jak echo powtórzył Ławicz.

— Jak-to! nie pomyślałeś o rękawiczkach! Niechże cie... cóż teraz będzie? Aha! ja mam dwie pary, żeby mózdz zmienić, jak ręce spotnieją... nie będę już zmieniał... masz!

Wyjął z kieszeni fraka parę rękawiczek maślane go koloru, Ławicz wziął je, dziwnie na nie patrząc.

— Wkładaj-że...

Wkładał i uśmiechał się, bo szło mu to niezgrabnie. Były one dla niego za duże, tak duże, że gdy je włożył, ręce jego wydawały się spuchniętymi.

— Okropność! — zaśmiał się Kaplicki, — zawsze jednak lepiej w takich, niż bez żadnych... Bierzże teraz kapelusz i idźmy...

Ławicz wziął czapkę. Na widok czapki Kaplicki usta szeroko otworzył.

— Kapelusz... aha!... bez kapelusza żyjesz... zapewne... widać, że to możliwe, ale, słuchaj-no... na taneczny wieczór z czapką nie sposób...

— Słuchaj, Michasiu, — zawołał Ławicz, — ja tam nie pójdę! Widać, że tam formy wszystko stanowią, a ja formę uznaję wtedy tylko, kiedy objawia ona...

— Ależ wstyd się! jakie formy! przeciwnie, panie te są za treścią, wierz mi, że za treścią... I my przecież, wieśniacy, choć Salomonami nie jesteśmy, wiemy, co to treść, tylko, wiesz co? weź mój kapelusz, ja tam domowym prawie jestem, mogę z twoją czapką... zostawię ją w przedpokoju...

Wyszli. Na wschodach drugiego już piętra usłyszeli muzykę, złożoną z dźwięków fortepianu i skrzypiec. Ławiczowi oczy błysnęły. Kaplicki zaśmiał się.

— A co! — rzekł, — jakbyś innym człowiekiem był. Teraz przynajmniej widać, żeś młody. Zobaczysz, jak wybornie będziemy się bawili. Wdzięcznym mi będziesz...

Słów tych prawie Ławicz nie słyszał, bo obłąany rzesistém światłem, napełniającém przedpokój, a bardziej jeszcze gwarem licznych głosów, szumiącym za zamkniętymi drzwiami przedpokoju, walczył z palto-tem swym, którego zdjęcie utrudniały mu zsuwające się wciąż z rąk rękawiczki. Lokaj, uniznienie usługujący Kaplickiemu, lekceważąco spojrział na znanego mu z widzenia lokatora poddasza, i ani myślał przychodzić mu z pomocą. Kaplicki piorunująco spojrział na pełnego pychy sługusa, i sam do kolegi poskoczył.

— Cóż się tak zmieszał? wstyd się, mój Zygmusi! nikt cię tam przecie nie zje!

W przedpokoju czuł się trochę tylko zmieszany, ale gdy przez drzwi, otwierające się na oścież, buchnęły mu w twarz: światło, ciepło i gwar, napełniające dwa salony, a przed oczyma zamigotała mozaika twarzy i ubrań, zbladł bardzo, spuścił powieki, i podobnym stał się do niezgrabnego i nieszczęśliwego jeńca, którego pod silną strażą prowadzą tam, dokąd on iść nie chce.

Pierwszy od wejścia niewielki salon pelen był mężczyzn; drugi, znacznie większy, wielką girlandą otaczały kobiety. Kaplicki nie postawił na swoim i mieszczuchów do domu nie wprowadził. Tancerek znajdować się tam musiała liczba dwa razy większa, niż tancerzy. Siedziały one dokoła salonu, tworząc grupy, podobne do klombów z kwiatami. Na widok dwu wchodzących młodych ludzi, w grupach tych powstał dość żywy ruch. Białe twarze, otoczone utrefionemi włosami, zwróciły się ku drzwiom, z za na-pół nagich ramion starszych towarzyszek wysuwały się głowy młodziutkich dziewczeczek, zdobne w gładkie warkosze i niewinne kwiaty; wachlarze zaszeleściły, gwar rozmów spadł do cichego szmeru, nad którym unosiły się dźwięki fortepianu i skrzypiec, wygrywających wstęp do kontredansa.

Kaplicki opiekuńczym ruchem trzymał rękę kolegi pod swém ramieniem, i prowadził go w róg salonu, kędy nad kanapą, fotelami i stołem, pełnym albumów, kołysały się, w piórach i ciemnych kwiatkach całe, poważne głowy matron. Stanęli przed gospodynią domu; Ławicz usłyszał, że wymawiano imię i nazwisko jego; uczuł, że powinien ukłonić się. Ukłonił się, ale w sposób taki, że na ustach stojącej tuż panny Aliny przewinał się uśmiech. Kaplicki zwrócił go ku panie Alinie, i znowu wymówił nazwisko jego. Ławicz ukłonił się znowu, tak samo jak pierwszy, z tą tylko różnicą, że podniósł oczy, aby na na-

rzeczoną przyjaciela spojrzeć. Wzrok jego spotkał się z taką postacią kobiecą, jakiej z pewnością nie widział dotąd nigdy. Panna Alina, ze swą wysmukłą i kształtną kibicią, z wysoko podniesionemi płowemi włosy, w których świeciła brylantowa szpilka, z zimną białością twarzy swęj i zimniejszym jeszcze błękitem swych oczu, wyglądała bardzo wspaniale i imponująco. Dyana! — pomyślał Ławicz, i w piękną pannę wpatrzył się, mileząc wprawdzie jak grób, ale tak zaciekawionemi oczyma, że w jej oczach wyraz ciekawości, z jakim go witała, ustąpił przed wyrazem lekceważącej ironii; przymrużyła powieki, z wysoka i zimno skinęła głową i odeszła. Długi ogon sukni jej przesunął się przed stopami Ławicza, jak szybko uciekający obłok; wydało mu się, pewnym był nawet tego, że marmurowe ramiona jej zdrząły od stłumionego śmiechu. Jego też ręka pod ramieniem Kaplickiego zdrząła. Kaplicki ciągnął go teraz w inną stronę salonu.

— Przedstawię cię panie Jadwidze, — szepnął.

Widział już ją; widział tę śliczną głowę dziewczęcia, wysuwającą się, jakby na spotkanie jego, z grupy starszych towarzyszek, błyskającą ku niemu dwójgiem szeroko, ciekawie otwartych oczu, i kilku roztrzepanemi czerwonymi maczkami, które zdobiły jej włosy. Nie była wcale imponującą ani wyniosłą; swawolnicą raczej i naprzemian marzycielką być mogła. Ławicz porównywał ją w myśli do jednej

z gwiazd, którą spostrzegął był nieraz w konstelacyi niedźwiedzicy. Zapatrzył się na nią tak, że nie spostrzegł dywana, przez który dążyć mu ku nióć wypadało i, zaczepiwszy stopę o brzeg jego, upadał już; i byłby całkiem upadł, gdyby go był nie podtrzymał Kaplicki. W niezmierném zmieszaniu swém, jak przez sen, tylko usłyszał kilka bardzo krótkich, bo wnet stłumionych, śmiechów, a gdy podniósł oczy, tuż przed sobą zobaczył twarz panny Jadwigi, całą w rumieńcu tak prawie gorącym, jak gorącą była purpura jej maczków. Szafirowe źrenice jej, pełne blasku, zdawały się pocieszać go, ośmielać, pociągać. Kaplicki wymówił znowu imię i nazwisko jego. On uklonił się znowu, mniej jeszcze zgrabnie, niż wprzódy, i w téjże chwili usłyszał głos Kaplickiego: Pan Ławicz prosi cię, kuzyneczko, o przetańczenie z nim kontredansa.

Ławicz przypomniał sobie, że kiedy miał lat 14, angażował do kontredansów siostry kolegów swoich, i czyniąc to, kłaniał się. Uklonił się więc i teraz. Panna Jadwiga wstała i podała mu rękę. Powyżej małej ręki téj, którą ujął tak lekko, jakby za ledwie śmiał jej dotykać, było ramię białe, jak śnieg, i obnażone; z puszystych śniegów stanika wysuwała się obnażona téż szyja, po której wił się czerwony sznur koralu.

Niewiele, bardzo niewiele pamiętał on z reguł, rządzących malowniczo rozwijającym się śród salo-

nu tańcem; trochę je przecież pamiętał, i w piérszej figurze uniknął szczęśliwie wszelkiego błędu. Kaplicki, który z narzeczoną swoją naprzeciw niego i panny Jadwigi tańczył, krzyżując się z nim, szepnął:

— Brawo! tańczysz wybornie! staraj się tylko nie mieć takich wystraszonych oczu!

Istotnie, miał on w oczach wyraz przestrachu. I nie dziwił zapamiętał z dzieciństwa, że reguły kontredansowe tak są niezłomne i nieubłagane, jak rządzące światem prawa przyrody. Widział, że gdyby którąkolwiek z reguł tych nadweryżył, powstał-by ztąd w tańcu chaos taki, w jaki niezawodnie popadł-by świat, gdyby którekolwiek z praw przyrody zwichniętém zostało. A wcale pewnym nie był, czy pamięć jego jest mu wierną, czy w tę stronę iść należy, albo w tamtą, czy tancerce rękę podać trzeba w téj chwili, albo w innéj. Panna Alina z uśmiechem mówiła o czémś do narzeczonego; on zdawał się coś jej tłómaczyć lub kogoś przed nią usprawiedliwiać.

Pomiędzy piérszą a drugą figurą nastąpiła pauza. Ławicz odetchnął z głębi piersi, grubą chustką otarł pot z czoła i spojrział na swoją tancerkę. Spostrzegł, że patrzała ona na fałdujące się mu na rękach rękawiczki, i na grubą jego chustkę. Wnet przecież podniosła oczy i zagadnęła:

— Pan stale mieszka w mieście?

— Tak, pani.

— Czy pan się dobrze bawi...

— Ja, pani... nie bawię się wcale.

— Jakto? Nie bywa pan ani na wieczorach, ani na koncertach, ani...

— Nie bywam nigdzie...

Oczy jej ze zdumieniem tkwiły w jego twarzy, lecz świeciła w nich zawsze ta sama, co wprzódy, pociągająca i uśmiechająca sympatya.

— Ależ... — zaczęła znowu, — znajomi pana muszą bardzo gniewać się za to, że im pan towarzysztwa swego odmawiasz...

— Ja, pani, nie mam znajomych...

Spuściła oczy na wachlarz.

— To bardzo dziwnel — rzekła.

Ławicz przypomniał sobie przestrożę przyjaciela, i ze szczególnym uśmiechem podchwycił:

— I dzikie także, nie prawdaż pani?

Dziewczyna zaśmiała się figlarnie i zawołała:

— Trochę dzikie, to prawda!

— Figura kontredansa druga.—Ławicz pracował znowu, i raz nawet omylił się, jednak oczy jego były już mniej wystraszone. Zjawilo się w nich zamyślenie. Pomiędzy drugą a trzecią figurą, pierwszy już zwrócił się do swęj tancerki.

— A pani stale mieszka na wsi?

— Tak, panie.

— Wieś z ciszą swą i swobodną naturą musi być bardzo piękną...

— Tak, w lecie. W zimie... nudno. Sąsiedztwa mamy niewiele... Zimowe wieczory takie długie.

Ławicz nie odpowiedział. Myślał może o tém, jak krótkimi bywały zawsze dla niego zimowe noce.

— A pan co robi w zimowe wieczory?

— Czytam, pani.

— I my czytamy...

— A!...

— Tak, czytamy; ja bardzo lubię czytać... Przed wyjazdem do X. czytałam powieść jedną, w której... w której...

Urwała, zaśmiała się, figlarném spojrzeniem obrzuciła tancerza swego i zaczęła tańczyć figurę trzecią. Tańcząc, szepnęła:

— Niech mnie pan pięknie poprosi, to powiem, co w powieści téj znalazłam...

Dziewczęce te spojrzenia i szepty oblały mu twarz rumieńcem.

— Proszę, — szepnął.

I w téj saméj chwili stracił całkiem pojęcie o tém, co czynić mu należało. Wysunął się na środek salonu, gdzie spotkał się z Kaplickim, który oczyma coś mu wskazał; mniemając, że idzie za wskazaniem tém, poskoczył ku pannie Alinie, która wyniosłym ruchem usunęła się od niego; obejrzał się za tancerką swą; biegła ona ku niemu, rozchichotana tak, że aż czerwone maczki drżały i roztrzępywały się nad jej czołem; pochwyliła go za rękę i na właściwe miejsce

powiodła. Z chichotem tym i z temi kwiatami, skaczącami w lesie loczków, wydała mu się dzieckiem, małym, pustym, swawolnym dzieckiem. Uciszyła się jednak wkrótce i spoważniała trochę.

— Jeżeli pan prosi — ciągnęła przerwana rozmowę — to powiem. W tej ulubionej powieści mojej jest bohater, nadzwyczaj podobny do pana; zaraz pomyślałam sobie, że to podobieństwo dziwne...

Ławicz zdziwił się bardzo. On! podobny do bohatera powieści!

— Powierzchność miał on zupełnie taką, jak pan, tak samo mieszkał gdzieś na poddaszu i książki pisał...

— Ja pani książek nie piszę.

Spojrzała niedowierzająco.

— Jakto? nie pisze pan książek?

— Nie, pani...

— Naprawdę?

— Najpewniej.

— Ach! a nam mówiono...

Wydawała się zmieszana i zmartwioną.

— Więc... cóż pan robi?

— W biurze służę...

Dziewczyna przygryzła z lekka usta.

— Jakto! i doprawdy pan książek nie pisze?

— Próbowałem, pani, pisać je... ale nie udało mi się...

— Al więc pan jednak pisze.. A jaki jest tytuł książki, którą pan pisać próbował...

— Nie miała ona jeszcze tytułu...

— Była to więc może „powieść bez tytułu?”

— Nie była to powieść...

— Cóż więc?..

— Było to coś z dziedziny historyzofii.

— Co to?

Pytanie to wymówiła z szeroko otwartymi oczyma, zdziwiona. Z kolei Ławicz śmiał się,

— Z czego się pan śmieje?

— Z zapytania pani.

Mocniej białemi ząbkami przygryzła ponsową waręgę i z pod brwi rzuciła na tancerza swego gniewne wejrzenie.

— Przy bliższym poznaniu staje się pan daleko mniej podobnym do bohatera ulubionej powieści mojej...

Słowa te rzuciła, zaczynając tańczyć figurę czwartą. W pauzie pomiędzy czwartą a piątą figurą, nie przemówili do siebie ani słowa. Ona zdawała się być rozgniewaną trochę a trochę zasmuconą, on był tylko niespokojnym. Niepokój jego miał przyczyny ważne. Wiedział, pamiętał, że ostatnia figura kontredansa długą jest i rozmaitości pełną; jak w sennym marzeniu przypominał sobie różne koła i zwroty jej.

Wystraszonemi znowu oczyma w Kaplickiego wpatrzony, objął on kibić tancerki swój i krokiem galo-

pady przesuując się z nią na drugi koniec salonu, w ciągnącym się za nią przezroczystym obłoku stopę swą uwięził. Obłok rozdarł się, ręce tancerki opuściły jego ramiona, on zaś z tarlatanowych strzępi otrząsał nogę swą tak pracowicie i z takim niepowodzeniem, że dokoła wybuchnął znówu głośny, choć prędko stłumiony, śmiech. Panna Jadwiga ponsową była, jak maczki, które teraz zdawały się sztywnie jeżyć w jej włosach. Przygryzła sobie usta prawie do krwi i łzy kręciły się w jej oczach. Żal jej było zapewne podartej sukni i straconej figury kontredansa, a może najbardziej rozwianego marzenia. Żal ten objawił się w formie gniewu. Piorunującym wejściem okrywając twarz swogo tancerza, prędko drżącym głosem wymówiła:

— Bohater ulubionej powieści mojej umiał tańczyć, a gdyby nie umiał, nie tańczył-by wcale...

Rzekłszy to, zebrała w dłoni strzępy, pozostałe po ogonie jej sukni i frunęła w głąb' mieszkania. Za nią wyszła z salonu panna Alina. Kaplicki, utraciwszy tancerkę swoją i swe *vis à vis*, opuścił też kontredansowe koło i zbliżył się do Ławicza, który, zmieszany, silnie zarumieniony, ze spuszczoneym wzrokiem i obwisłemi rękoma stał na tém samym miejscu, na którym spotkała go katastrofa.

— No, nie to! nie! każdemu przecież coś podobnego zdarzyć się może! Chodź, poznamię cię z mężczyznami...

Z kobietami nie udało mu się widocznie i stanowczo; Kaplicki wiedzieć musiał, że zgubionym on był w ich oczach. Trzeba go było wprowadzić w koło mężczyzn. Byli to w większej części wieśniacy, w mniejszej znacznie zamożni i do wyższego towarzystwa zaliczający się mieszkańcy miasta. Rozprawiano tu o urodzajach, podatkach, upałach, mrozach, koniach, o zmianie gubernatora, Gambecie i księciu Bismarku. Przy dwóch stolikach grano w karty. Ławicza przedstawił Kaplicki kilku młodym ludziom, którzy mówili z sobą o zeszłorocznych wyścigach konnych i którzy, sami we frakach, szybkim spojrzeniem orzucili tużurek przedstawianego im kancelisty, a bardzo grzecznie dotknawszy dłoni jego końcem palców, rozmawiali dalej o zeszłorocznych wyścigach, o cyrku przebywającym w X., o polowaniach odbytych lub odbyć się mających w ich okolicy. W innej grupie, z ludzi poważniejszych złożonej, zajmowano się bardzo kwestą wyborów do parlamentu francuzkiego, a w innej jeszcze rozprawiano o organizacyi i przypuszczalnych losach państwa Ottomańskiego. Przy dwu tych ostatnich grupach Ławicz stał dość długo, z uwagą przysłuchując się ich rozmowom, lecz żadnego w nich udziału nie przyjmując. Potém, z cieniem uśmiechu na ustach, odszedł w stronę salonu, w którym tańczowano.

Tańczono w tej chwili zawzięcie. Kaplicki z narzeczoną swoją prowadził w pierwszej parze ochot-

czego mazura. Tańczył dziarsko i z zamiłowaniem; czuć było, że znajdował się we właściwym sobie żywiole; z twarzy jego promieniało szczęście i lał się kroplisty pot. Majestatyczną pannę Alinę mazur ożywił także. Wspaniale zawsze, lecz z wdziękiem, w błękitnych obłokach cała, płynęła przez salon u boku narzeczonego. Panna Jadwiga, z naprędcie naprawionym ogonem swój sukni, lekka i żwawa, tańczyła także z młodziutkim blondynem, który nie miał zapewne oczu marzyciela i książek nie pisał, ale tańczył ładnie. Oprócz tych dwóch, było tam jeszcze z ośm par tańczących. W mazurowych figurach zwijały się i rozwijały różnobarwe koła; ręce wyciągały się ku sobie; ramiona w czarnych rękawach obejmowały kibicie, świecące bielą odkrytych ramion; pojedyncze pary, z twarzami w ogniu i uśmieszach, przelatywały salę; inne, w oczekujących postawach stojąc, do dźwięków muzyki i szelestu sukien mieszały szmery i gammy wciąż rwących się rozmów i śmiechów.

W drzwiach, rozdzielających dwa salony, młody mężczyzna, w czarnym tużurku i ogromnych rękawiczkach maślanego koloru, z ramionami skrzyżowanymi na wątlęj piersi stał i patrzył. Rzęsiste światło lamp i kinkietów pozwalało dojrzeć na jego czole widoczne ślady zmęczenia. Nie było to zmęczenie takie, jakie w tej chwili kroplami potu oblewało czoła tancerzy; ale takie, które zwolna i niewidzialnie,

przez długi szereg dni i lat, zapisuje na obliczu człowieka historią jego życia. Pomimo łagodnego zarysu ust i skromności postawy, to zmęczenie jego czoła i nieruchomość wśród powszechnego ruchu, nadawały mu piętno surowości i zamkniętego w sobie smutku. Patrzył na tańczących i myślał. Myślał zapewne o tém, jak obcym był dla niego świat ten wesołości i swobody. Czy był on dla niego ponętnym? Zapewne, gdy blaski i odgłosy jego dolatywały go z dala...

Mazur miał się ku końcowi. Uczuł, że ktoś go potrącił w ramię. Był to lokaj, wnoszący do salonu tacę ze szklankami, pełnemi limoniady i wody z sokiem. Ominął go, śpiesząc ku młodziutkiemu blondynowi, który, umieściwszy na krześle pannę Jadwigę, płonąca twarz swą wachlarzem jęj ochładzał. Ławicz uśmiechnął się znowu. Teraz salon uciszył się nieco, muzyka umilkła, w szmery rozmów, podobnych do do brzęczenia pszczół, mieszały się fałszywe tony strojonych skrzypiec.

Dokoła panny Jadwigi utworzyła się grupa młodych dziewcząt i młodych mężczyzn. Ona królowała w niej, bawiąc ją opowiadaniem bardzo widać zabawném, bo wszystkich rozśmieszającym. Ławicz nie spuszczał oczu z dziewczęcej twarzy tej, która mu przez cały ubiegły dzień, jak zakłeta, przed oczyma stała, dla której był tutaj, która dwie godziny temu olśniła go tak, że o mało na środku salonu nie upadł. Teraz z giestów jęj, minek, ruchu ust i przelotnych



spojrzeń odgadł, że siebie i otoczenie swe dowcipnie zapewne bawiła opowiadaniem o jego ogromnych rękawczkach i grubój chustce do nosa, o tём, że nie ma on wcale wcale znajomych i nigdzie nie bywa, że kłaniać się, ani tańczyć, ani rozmawiać nie umie. Po prostu wyśmiewała go. Domyślał się tego, odgadywał każdy prawie jój wyraz i patrzył na nią i na tych, którzy jój wtórowali, z obojętnością zupełną. Zmieszanie jego, zarówno jak zachwycenie — minęło. Można-by rzec, że, raz uczuwszy się obcym zupełnie wszystkiemu, co go otaczało, spoglądać zaczął na otoczenie to z punktu nie uczuć swych, ale myśli. Widocznie spoglądał on na nie z góry, sądził je, do pojęć swych o życiu przymierzał. W wyrazie twarzy jego nie było ani upokorzenia, ani urazy, ani żalu. Małowało się na niej tylko zamyślenie i trochę ironii.

Po krótkim odpoczynku tańczono walca. Ławicz, aby nie zawadzać tańczącym, usunął się do mniejszego salonu, stanął u jednego ze stolików, przy których grano w karty, i przypatrywać się zaczął obrazkom, rzucanym na zielone sukno. Kaplicki stanął na progu i szukał go oczyma. Znalazłszy, poskoczył i dotknął jego ramienia.

— Może-byś chciał w karty zagrać? Można-by jeszcze partya jedną ułożyć.

Ławicz zaśmiał się głośno. O żadnej grze kartowej najlżejszego nie posiadał wyobrażenia. Narzeczony panny Aliny zanadto był zajęty tańcem i za-

stępowaniem nieobecnego pana domu, aby módz wiele czasu poświęcać jednemu z gości. Odbiegł więc, bo usłyszał, że w większym salonie proszono pannę Alinę, aby śpiewała. Wkrótce też piękny i dobrze wykształcony głos kobiecy wznosił się nad spadającym i w ciszę zamieniającym się gwarem. W téjże chwili Ławicz wyszedł do przedpokoju, a zamieniwszy tam kapelusze Kaplickiego na swoją czapkę, znalazł się na wschodach. Czy wypadało mu tak opuszczać zebranie, nikogo nie żegnając? ani pomyślał o tём. Nie chciał też słuchać śpiewu panny Aliny.

### VIII.

Nazajutrz, o zwykłej porze wróciwszy z biura, jak zwykle znalazł na stole przyniesiony z garkuchni przez Rębkową obiad. Jak zwykle też, warstwa obrzydliwego tłuszczu okrywała ostygły rosół, a cklawa woń ulatywała z żółtej jarzyny, otaczającej kawał ugotowanego mięsa. Wszystko to zawierało się w glinianych naczyniach, umieszczonych na zastępującym obrus ręczniku. Zaledwie usiadł na stołku i jeść zaczął, wszedł Kaplicki. W dobrodusznjej i otwartej fizyognomii jego, od pierwszego zaraz wejrzenia, znać było skwaszony nieco humor. Siadając naprzeciw gospodarza izdebki, który, powitawszy go, wziął się znowu do rosółu z zastygłą tłustością, zaczął:

— Przyszedłem, aby pożegnać cię, bo choć parę dni jeszcze zabawię w mieście, wątpię abym miał czas zobaczyć się z tobą. Przytém przeprosić cię powinienem. Zdaje się, że nie bawiłeś się dobrze na wieczorze naszym.

Mówiąc to, dziwnie jakoś na obiad dawnego kolegi spoglądał. Raził mu on wzrok i powonienie tak, że ukryć tego nie mógł. Spostrzegł też to Ławicz, ale ze spokojem zupełnym jadł dalej. Z uśmiechem też odpowiedział.

— Nie masz za co przepraszać mię, mój Michasiu. Chęci miałeś najlepsze, i ja to sam do zabaw podobnych okazałem się niezdolnym.

Michał wybuchnął.

— Ależ zlituj się, jak można pozwolić sobie do tego stopnia zdziczyć! Jesteś chłopcem dobrze urodzonym, przystojnym i z dobrą głową, pomimo więc że nie masz majątku i służysz w biurze, mógłbyś być w towarzystwach bardzo dobrze widzianym, gdybyś chciał tylko zastosować się...

Ławicz niecierpliwym ruchem położył na stole sztućce wykrzywione i w drzewo oprawne.

— Mój drogi — rzekł — ja wcale nie pragnę ani dobrze widzianym być w towarzystwach, ani ich widywać...

— Dlaczegoż to?

— Bo pomiędzy niemi a mną istnieje rozdział nieprzebyty. Wy kochacie się w mnóstwie formułek, których ja nie uznaję, bo żadnego sensu w nich nie widzę... Wam nie idzie o człowieka i wartość jego, ale o frak, rękawiczki, kapelusz, zgrabny ukłon i umiejętność tańcowania. Pomędzy wami, kto nie umie tańczyć, grać w karty i po francuzku mówić,

jest zerem i piątém kołem u wozu... Wasi lokaje nawet sądzą ludzi ze stanowiska fraka albo tużurka...

Mówił to z rumieńcem na twarzy i błyszczącymi oczyma. Giestykulował i wpadł w ton kaznodziej-ski. Kaplicki wydawał się obrażonym trochę.

— Surowe bardzo i prędkie sądy wydajesz — rzekł — raz tylko popatrzyłeś na ludzi i to wtedy, gdy oni bawili się, a już ich potępiasz. Jeżeli myślisz, że pomiędzy tymi, których widziałeś wczoraj, niema uczciwych, zacnych i pracowitych, mylisz się bardzo i jesteś niesprawiedliwym.

Dziwna rzecz! człowiek ten tak łagodny i skromny, nie spostrzegął, że w istocie tworzył o ludziach sąd surowy i pośpieszny, sąd zresztą właściwy samotnikom, którzy, nie znając ludzi, przymierzają ich do własnych pojęć i teorii, i z ich wysokości na świat poglądną. Upił się i uniósł.

— Być może! być może! ja widziałem tylko, że piękna narzeczona twoja jest dumną i przesadną, śliczna panna Jadwiga — rozmarzoną trochę roztrzepanicą, że młodzi przyjaciele twoi rozmawiają o samych niedorzecznościach, a starsi rzucają karty z takim przejęciem się, jakby od wyniku ich gry losy świata zależały...

Kaplicki wstał.

— No — rzekł — widzę, że jesteś w kaznodziej-skiem usposobieniu, a ja nie mam czasu na słuchanie

kazań. Daję dziś obiad dla tych przyjaciół moich, którzy o samych niedorzecznościach...

— Dajesz obiad, na którym zapewne będziecie pić szampana, a po którym zasiądziecie do kart...

— Naturalnie.

— Widzisz! ganisz mój sąd prędkie i surowy. Jak można sądzić was inaczej? Czy pamiętasz tę hulankę u Żegrzdy, na której byliśmy razem?

— Pamiętam; cóż więc?

— Będiesz dziś przecie robił zupełnie to samo, co Żegrzda...

— Ależ to zupełnie co innego!

— Dlaczego?

— Ojciec zdał na mnie świeżo rządu majątku, żenię się, wchodzę do obywatelstwa...

— Więc?

— No, muszę więc zaprosić, przyjąć, ugościć współobywateli...

— Zupełnie to samo robił Żegrzda. Zapraszał, przyjmował, ugaszczał...

— W inném kółku.

— W każdym kółku, co złe, to złe.

— I w innnej zupełnie formie...

— Otóż to! forma... rzecz zawsze dla was najważniejsza... I występki popełniać można, byle w wykwintnej formie...

Sprzeciali się zawzięcie; powierzchowność Kawicza utraciła całkiem zwykły swój charakter. Unosił

się. Kto wie, czy w goryczy jego uśmiechów i sarkazmie słów nie było kropli żalu za światem tym, na który piorunował, a w którym brzmiała muzyka, rozlegały się czarujące śpiewy, w obłokach jakby leciały piękne głowy i nagie ramiona kobiece. Ale Kaplicki psychologiem nie był. Obraził się i rozgniewał.

— Bądź-że zdrów — rzekł — i wiesz co? na pożegnanie dam ci radę jedną! Kamedułą zostań.

Mówiąc to, wkładać począł futro swe. Ławicz ochłonął. Czy zawstydził się uniesienia swego? czy drgnęło w nim stare koleżeńskie przywiązanie? Pochwycił w obie dłonie rękę gościa.

— Michasiu, nie odchodź rozgniewany. Byłeś dla mnie zawsze bardzo dobrym, nie powinienem być cię obrażać. Posłuchaj! Mnie świat wasz wydaje się istotnie pustym i nudnym, ale może to w części i moja wina. Nie rozumiem go, nie bawi mię on...

— Bo zdziżyłaś — ułagodzony trochę podchwycił Kaplicki.

— Wcale nie! przeciwnie! ja siebie właśnie mam za cywilizowanego człowieka! a was... przebac mi, mój drogi... obrażać cię nie chcę... ze smutkiem to mówię. Co cię zawsze i wyłącznie zajmuje? Procesy, długie, meble, powozy, konie, polowania i wieczory. Nigdy o niczym innym, gdy rozmawiam z tobą, nie słyszę...

— A czymże u diabła chcesz, abym się zajmował?

— Jakto? nic więcej... nic?

— No, a cóżby naprzykład?

— Pamiętasz szkolne czasy nasze i własne marzenia swoje?... — Na pocziwój twarzy Kaplickiego odmalował się niesmak.

— El dawno to było i trwało krótko! Co innego marzenia, a co innego rzeczywistość. Dzieciakiem prawie poznałem się z życiem rzeczywistym, i jakim ono jest, takim i ja się stałem...

— A wpływać trochę na tę rzeczywistość, uszlachetniać ją, coś wyższego w nią...

— Utopie, mój drogi, mrzonki i nic więcej! Jestem człowiekiem uczciwym i honorowym, będę dobrym mężem i ojcem i — niczego więcej od siebie nie wymagam. W teraźniejszych czasach, każdy z nas obywateli i bez tego ma kłopotów i nieprzyjemności mnóstwo; a żeby mi przyszło jeszcze nad jakimiś mądrościami albo wielkimi czynami głowę sobie suszyć, to-by i życie zbrzydło.

— Ale w takim życiu, mój Michale, przy takich wyłącznie przedmiotach zajęcia, zniżyć się musi strasznie skala...

— Daj mi tam pokój ze swoją skalą! Wiesz co? nauczyłeś się książek i według nich świat sądzisz. Nie godzimy się z sobą nigdy...

— Ha! — opuszczając ręce, smutnie rzekł Ławicz — boli mię to... ale dziś mi jakoś ciągle na pamięć przychodzi Zegrzda. Czy pamiętasz, jak wtedy

mówił on sam: wszak ludzie różnie żyć muszą, tak, jak im tam wypadnie..

— Pamiętam, więc cóż?

— Więc przebacz mój sposób życia i widzenia rzeczy i zachowaj mi swą życzliwość...

Mówił to serdecznie, smutnie patrząc w twarz przyjaciela. Ale Kaplicki od wczorajszego już wieczoru trochę zobojętnieć dla niego musiał. Dzisiejsza sprzeczka, a może i ręcznik, zamiast obrusa na stole zasłany, i wstętna woń obiadu Ławicza, dokonały reszty.

— Naturalnie — odparł — naturalnie. Jakże? Jesteś przecie szkolnym kolegą moim i spotkam cię zawsze z prawdziwą przyjemnością... *Adieu!*...

Od dnia tego, pogrążony znowu w czytaniu książek, których świeżo właśnie kolega jego, księgarz, dostarczył mu ilość znaczną, Ławicz nie wychodził wieczorami na miasto i nie podsłuchiwał muzyki, brzmiającej we wnętrzach domu. Zresztą, na pierwszym piętrze domu, w którym mieszkał, z pierwszym brzaskiem wiosny, nie grano już i nie śpiewano. Z pierwszym też brzaskiem wiosny otrzymał on od Zenona Derszlaka list długi, na który dwa razy dłuższym listem odpowiedział. Była to także sprzeczka, innego przecież rodzaju niż ta, którą stoczył z Kaplickim. Derszlak, w charakterze nauczyciela, udzielającego po domach lekcji prywatnych, bawiący ciągle w stolicy, ogniste-mi słowy apostoła lub extatyka opisywał mu Atlanty-

dę, na jaką świat ten, wspólnie z gromadką przyjaciół swych, przemienić zamysłał. List kończył się słowem: „przybywaj!“

Ławicz odpowiedź swoją zaczął od wyrazów: „Nie przybędę!“ On także marzył nieraz o Atlantydach, ale, uczeńszy, albo przynajmniej bliżej poznamiony z nauką, w jej tylko niezawodne lecz powolne działania ufał; kto więc? za te-to właśnie jej obietnice szczęśliwych losów świata najwięcej może kochał ją i czcił. W zapale Derszlaka widział exasperację człowieka, który sam cierpiał wiele i wszystkie cierpienia rozumiał; nielogiczność umysłu, pięknego może, lecz który zwichnął się, nim możliwy kres wzrostu swojego osiągnął. Zresztą, przed pisaniem odpowiedzi swjej, otworzył on okno swjej izdebki, i na wiszącą nad dachami błękitną wstęgę nieba patrzył tak długo i w taki sposób, jakby ona była kartą, z której wyczytywał wielkie mnóstwo rzeczy. Zaczął więc odpowiedź swą od wyrazów: „nie przybędę,“ a zapisawszy kilka arkuszy, zakończył ją słowami: „ludzie różnie żyją i różnemi drogami chodzą, tak jak im wypadnie. Twoja droga nie może być moją. Przebacz mój sposób widzenia, inny niż twój, i zachowaj mi życzliwość twoje.“

Napisawszy list ten, zamyslił się nad dwiema rzeczami. Naprzód zapytał sam siebie:

— Jakąż jest moja droga?

A potem.

— Dlaczego zawsze mówić do ludzi muszę: przebaczyć mój sposób widzenia, inny niż twój?

Wkrótce potem, witając się w biurze z Piotrem Kwirą, spostrzegł w nim, tak jak wtedy, przed kilku laty, zmianę wielką. We wnętrzu kościanej figurki było znowu coś, co powierzchowność jej okryło wyrazem zgrzyoty. Znowu, nim pisać zaczął, łysą głową wstrząsał długo nad sinym arkuszem, a pisząc, końcem suchego palca pocierał brzegi czerwonych powiek; pisał jednak wciąż, wciąż, z powolną regularnością dobrze funkcjonującej maszyny, i nawet, wdychając ciężko, pisać nie przestawał.

I znowu, tak jak przed kilku laty, pomiędzy dwoma ludźmi, u dwu okien wielkiej sali piszącymi, związała się krótka, półgłosem prowadzona rozmowa.

— Panie Kwira, co panu dziś jest?

— Bieda, panie dobrodzieju...

— Czy wielka bieda, panie Kwira?

— Oj! bez grzechu narzekania... teraz już... to i okropna...

— Cóż? znowu może?...

Kwira, jak sprężyną poruszony, powstał nagle, z piórem w ręku, cichym, skradającym się krokiem do Ławicza zbliżył się i, schylony, we dwoje prawie zgięty, szepnął mu coś do ucha. Był to widocznie jeden tylko wyraz, ale Kwira wymówił go z przerażeniem w szeroko rozwartych oczach, a Ławicz zbladł i pióro z palców mu wypadło. Tego dnia zstępował

wraz z Kwirą, po starych kołyszących się wschodach, do sutereny, która z pod czteropiętrowej kamienicy wyglądała na świat okratowanem swém oknem.

W izbie, do której wiosna przyniosła tylko woń stęchlizny i występującą na niskie ściany kroplistą wilgoć, szaro było, jak o zmroku. W ogromném, czarném wnętrzu komina nie palił się ogień, deska do prasowania stała przy ścianie, a u stóp jej stało zimne żelazko. W tém samym miejscu, na którym kiedyś rozlegał się gorzki śmiech chorego i przeciw światu zbuntowanego chłopca, z za firanki, utworzonej z prześcieradeł i dwóch kobiecych spodnic, wyciągnęło się ku wchodzącym dwoje śniadych, wychudłych ramion z załamaniem rękoma, a głos kobiecy, ochrypły od choroby i płaczu, zawołał:

— Zgubiony! zgubiony!

Z pod wilgotnej chustki, oblepiającej szelwnie głowę Anny, na szare płótno grubiej koszuli, na spłowiały lachman, służący jej za kołdrę, i aż na skraj jej łóżka, spływały gęste, długie, kruczo-czarne, a siwizną przysypane włosy. Żar oczu jej, rozpalonych boleścią i gorączką, ponuro oświetlał twarz zciemniałą i od wychudnięcia kościstą; ze spieczonych ust, w których zarysie, był jeszcze smutny odbłask dawniej ich piękności, lał się potok wyrzekania.

— Zgubiony! jak złodziej albo rozbójnik jaki w turmie siedział... Co to jest? jakim sposobem stać się to mogło! Dlaczego ona dnia tego dożyła? Dlaczego za mąż nie poszła — o Boże! wszakże mogła była to

uczynić!... i dlaczego swoich własnych dzieci nie miała, aby obchodzić się z nimi srogo, łajac ciągle, bić nawet, byle-by nie spotkało ich to, co stało się z tym niegodziwym chłopcem bez serca i sumienia... Trzeba być niegodziwym i odrobiny rozsądku nie mieć, aby tak zmarnować się samemu, a ją zgubić, która dla niego była nie siostrą, lecz matką, która za nim świata i siebie nie widziała! O! czemu go ona nie biła... często bite dzieci bywają ciche i spokojne, a on zawsze był taki żywy, tak wszystko strasznie brał do serca, tak każdemu oporem stawał... trzeba było upokorzyć go, złamać, zrobić go głupcem choćby, ale takim, co by spokojnie gryzł swoją kromkę chleba i o niczym więcej nie myślał... O, najszczęśliwsi głupcy i najszczęśliwsze matki te, które z głów swoich dzieci, choćby kijem, wypędzają te myślenia, co niby mądre są, a jak smoki pożerają dzieci! Ale ona nie była jego matką, była tylko jego siostrą i nie miała prawa bić — sieroty. Zresztą ona bić nie umiała. Ojciec ich, biedaczysko to, które, spadłszy z rusztowania, kości sobie połamało, upijał się czasem, ale dzieci swoich nigdy nie bił i ich bić się nie nauczył. On, umierając, oddał jój brata, takiego jeszcze wtedy malutkiego, i powiedział: — Pamiętaj, Anulku, pilnuj go, jak żrenicy w oku, i do szkół oddawaj. Widzisz, ja cieśla, z rusztowania spadłem. On, uczonym będąc, nie spadnie! — O! tatkul czy ty widzisz ztamtąd, jak on okropnie spadł!...

Żeby kto wiedział.. i Kwira nawet nie znał go jeszcze wtedy... co to był za śliczny dzieciak, z włoskami, kręcącymi się jak pierścionki, a czarnymi jak kručze pióra, z takimi czarnymi i mądrymi oczyma, że wszystkie panie te, które przychodziły do niej, aby roboty u niej zamawiać, całowały go i pieściły, jak panicza jakiego, jak cherubina! Wtedy miała ona jeszcze zdrowe oczy i prześlicznie haftowała, umiała też i pracować koronki. Roboty takie płacą się drogo, a ona pracowała dniami i nocami i, niedoładając trochę, a w tej suterenie mieszkając, mogła mu sprawić mundurek i kupić książki, i zapłacić wpisowe, i oddać go do szkoły. Cóż? gdyby był zdolności nie miał, oddała by go do szewca albo do mularza, ale zdolności miał...

Bywało, noc już późna, a on siedzi przy tym oto stole, głowę rękoma obejmie i uczy się, i uczy... takich mądrości różnych, po łacinie, po grecku, czy ja wiem już, po jakiemu jeszcze, a potem wstanie od książki i bęc przede mną na kolana, i ręce moje całować zaczyna. — „Anulku, ja to tobie winienem, że uczę się, ale idź ty już spać! Ty przeze mnie oślepiesz — mówi i jak bóbr, bywało, zalewa się łzami. — Doktorem, mówi, zostanę i wyleczę ciebie. Wyjdiesz za Kwirę, wyjedziemy wszyscy na wieś i spokojnie sobie żyć będziemy, ludziom dobrze robiąc.“ Ot i doktorem został, ot i wyleczył mię, ot spokojnie

wszyscy żyjem! O, głupi, niegodziwy, złoty, serdeczny, biedny, biedny, biedny mój chłopak!

Namiętym i łzawym potokiem, wyrzekania te lały się w mrok podziemnej izby, w której głębi Kwira zapaliwszy mały ogień, gotował przy nim obiad dla siebie i ziółka dla chorój. Z drugiej strony izby, za żelazną kratą okna, ciągnął się chodnik ulicy, słońcem wiosenném obłany, migocący barwami przesuwających się po nim sukien kobiecych. Pomiedzy dwoma światłami temi, z pod ściany wilgotnej, wyciągały się wciąż zsiniałe, chude ramiona z załamaniem rękoma, i deski starego łóżka skrzypiały pod ciałem, rzucając się na nich w gorączce i szlochaniach. Wilgotne ściany izby, zakratowane jej okno, deska do prasowania i ciężkie żelazko, przykrywające część wypalonej podłogi, ciemne okulary, rzucone przy lampce z zieloném okryciem, szczupła komódka, a na niej w ładnych ramkach fotografia szesnastoletniego chłopca w studenckim mundurku; wszystko to, aż do chudego, łysego człowieka, którego ptasi profil rysował się na żółtém tle ognia, a małe oczy spoglądały w przestrzeń z wyrazem boleści, wszystko słowem, co się tu znajdowało, stanowiło zgłoski historii tej, która teraz, w kącie izby, zdawała się kresu swego dobiegać. Przysłaniająca łóżko, a na sznurach zawieszona odzież, wyglądała jak koło, utworzone z bujących w powietrzu widm nędzy. Kołem tém otoczona kobieta, długie jeszcze dni kilka coraz ciszej wyrzekała.

szlochała, kaszłała i wyciągała w przestrzeń coraz chudsze ramiona, zabliznionemi ranami od żelaza okryte. Blizny te były także zgłoskami jej historii i historii tego, czyje imię wymawiała ona dopóty, dopóki nie zrobiło się tam zupełnie już cicho.... Było to o świcie. W szarém świetle wschodzącego dnia, lampka z zieloną zasłoną paliła się, jak wielki szmaragd, którego światło padało na ładne ramki i rysującą się pośród nich twarz młodzieńczą, pełną czułości, ognia i nadziei... W godzinę potem Ławicz i Kwira znaleźli się na poddaszu czteropiętrowego domu. Kwira usiadł na łóżku swém i, łokcie oparłszy na kolanach, a łysą głowę ująwszy w kościste dłonie, pogrążył się cały w długiej medytacji. Szczupła postać jego, melancholijnie, zwolna i rytmicznie, kołysała się w obie strony. Raz tylko, nie podnosząc głowy, wymówił:

— Bez grzechu narzekania... można Pana Boga zapytać, pociśmy się rodzili? ona... ja... i tamten?

W téjże chwili pierwszy promień słońca błysnął na szybach okna i złotą nicią spłynął na ścianę. Zaludniająca izbę kanarki obudziły się, powylatywały z klatek, pozlatywały z prętów swych, ze sprzętów, zewsząd; ruchliwym, wesołym rojem zatrzepotały i rozśpiewały się nad zgiętymi plecami i łysą czaszką człowieka, kołyszącego się na ubogiej pościeli.

On wtedy podniósł głowę, schwycił za rękę Ławicza,



popatrzył mu w oczy wzrokiem od łez nabrzmiałym i, szepnąwszy:

— Niby nic... panie dobrodzieju... a to była kobieta święta!

Wybuchnął wielkim łkaniem. Śpiewanie kanarków zagłuszyło szmer jego płaczu. Jeden z nich usiadł mu na plecach, na tém właśnie miejscu, gdzie w domowém ubraniu jego była spora, załatana dziura, parę zaś innych umieściło się na urzędowym surducie, który leżał na stołku, a w którego pozłaczanych guzikach promień słońca rozpałał skaczące, wesołe błyski.

IX.

„Jakaż jest droga moja?” Było to pytanie, które od czasu pewnego, dniem i nocą, w biurze i na ulicy, prześladowało Ławicza, niby zwrotka pieśni, na różne tony wyśpiewywana, po mózgu jego krążąca.

Jaktol miał lat dwadzieścia kilka, tak wiele już pracował, tak ciężko i oddawna wywalczał sobie możność oddychania powietrzem téj ziemi, a jeszcze nie wiedział, jaką jest droga jego? Tak, nie wiedział z razu, lecz potém, gdy zgłębiać zaczął pytanie własne, dowiedział się, że nie było przed nim drogi żadnej.

Dnia pewnego, wróciwszy z biura i roztworzywszy przed sobą książkę, uczuł, że czytać nie może. Ciemne fale jakby mgły wilgotnej, albo krwi zbiegającej do powiek, zawieszały się pomiędzy oczyma jego a kartami książki. Myślał, że dla niego nie było na świecie miejsca, na którym mógł-by siać zebrane ziarna i cieszyć się nadzieją, czy widokiem plonów; że nie

było i być nie mogło dla niego plonów żadnych, ani wzrastania i dążenia żadnego. Tu niedostawało mu prawa, tam możliwości, i za nim, jak przed nim, nie istniało nic, prócz ścian tej izdebki, prócz ścian kancelaryjnej sali, prócz dośmiertnego przepisywania akt kancelaryjnych, prócz wiecznego wypychania własnej czaszki tém, co w niej tylko nazawsze pozostać miało.

Przymusowość pracy nuży, bezowocność jej zniechęca. Sześć lat przymusowego orania na powszedni rosół z zastygłą tłustością i kubek mléka z sześciogroszową bułką, — dziewięć lat gonitwy bez oddechu za wiedzą, przed którą ubóstwo z jednej strony a z innej artykuły prawa, krzyżowały swe miecze, lata te pracowite, samotne i nędzą zaprawne, zaciężyły mu na barkach, głowie i ramionach. Teraz dopiero przypomniał sobie, że były w nich i praca, i samotność, i nędza. Teraz dopiero uczuł zniechęcenie rozbitka, który, długo i z całej siły płynąc z okiem utkwioném w dalekie brzegi, spostrzega, że widok brzegów tych był złudzeniem. Skoro więc nigdzie, na całym widnokręgu, na całej przestrzeni szerokiego jednak świata, niema dla niego żadnych brzegów; po cóż ma dłużej piersią zdyszanać pruć fale morza—zimne i odporne?

Po co? pytanie to przywiodło za sobą cały szereg pytań i twierdzeń, które przez wszystkie te lata objęły

się o uszy jego, w piersi zapału i wytrwania pełnej, echa nie znajdując. Teraz echa zagadały.

— Co ty z tém wszystkiém zrobisz? — Jaką rolę użyźni pot czoła twego? — Czyją dolę rozjaśni światło, którego tyle do głowy swój nabierasz? — zapytał Derszlak.

— Po co ci to? na co ci się to przyda? — pytał Dębski — a tenże sam chłodny i rozważny głos mówił jeszcze: bez celu... bez celu... niepraktyczne!

— Bzika masz! — junacko twierdził Zegrzda.

— Kamedulą zostań — doradzał Kaplicki.

— Sfixujesz pan — przepowiadała nawet Rębkowa. — A szafirowe oczy panny Jadwigi patrzyły na niego z litością albo ironią, alabastrowe ramiona panny Aliny wstrząsały się wzdorliwym śmiechem; lokaj nawet, roznoszący na tańczącym wieczorze limoniadę i wodę z sokiem, wejrzeniem swém i ruchem wspaniałej swój brody mówić się zdawał: — Jam mędrszy od ciebie, uczony głupcze, który po łacinie umiesz i promienie słońca w garść łapać chciałeś, a z ubrania i miny wyglądasz na kredensowego chłopca! Może... może oni mieli słuszność... Zapewne... najpewniej mieli słuszność!

Gdyby nie to, i nie to, i nie tanto, było-by inaczej, ale ponieważ to zdarzyło się, a tanto na świecie istnieje, więc mieli słuszność!

Z książek, stojących przy ścianie, leżących na podłodze, piętrzących się na stole i stolkach, długole-

tniem przyzwyczajeniem wywoływane, śpiewały głosy syren:

„Ku nam, ku nam statek nakieruj,  
„Głosom przysłuchać się naszym...”

Ale Ławicz, z okiem przygasłym i spuszczonej rękoma odpowiedział:

— Nie chcę..!

Lecz zaledwie powiedział to, uczuł spadającą mu na barki niezmierną nudę życia. Cóż więc miał czynić z godzinami swemi, wieczorami, nocami, w których przywykł był spać niewiele? A bardziej jeszcze co czynić miał z tym ogniem wewnętrznym, który przygasł, lecz nie zgasł i, nieużywany na nic, dławił go i dręczył?

Życia więc, ruchu, czynu i uczucia! Gdzież one były?—Wszędzie. Świat był ich pełen. Pełno było na świecie ludzi, którzy ruszali się, kochali — słowem żyli. Więc żyć, jak inni ludzie... żyć, jak żyli wszyscy!...

Ba! alboż on już mógł żyć, jak wszyscy? Stała się z nim rzecz szczególna. Spadła nań pokuta za to, co miał w sobie najlepszego; za długoletnie, zapamiętałe przebywanie w wysokich sferach uczuć i myśli. Sfery te były od powszednich zjawisk życia tak oderwane, że, przebywając wśród nich, stał się on powszedniemu życiu obcym, a ono dla niego stało się nieprzyjaznym. Sfery te jeszcze były tak wysokie, że,

przebywając wśród nich, przywykł on do zapatrywania się na powszednie życie z wysoka. A życie powszednie przymierzania do idealnych modeł nie znosi. Kto uciech jego używać pragnie, musi przyjmować je naiwnie, w półślepo, bez drobnowidza, bez skalpela, bez wstecznych spojrzeń na źródła ich i następstwa. Ławicz zaś z długich lat samotnej pracy wyniósł pełno zasad i teorii... Z życiem powszedniem i powszedniemi uciechami pokłócony, czuł, że w sferach idealnych, w których przemieszkiwał dotąd, utrzymać się już nie może...

Więc cóż? Przez małe okno, otwarte nad blaszanym dachem, załatywało go powietrze majowego poranku. Był to także poranek niedzielny, w którym ulice miasta słały ku małym oknom, nad dachami otwartym, zmieszane gwary. Tam, daleko, pośród pól i lasów, od których przylatywał upajający ten powiew wiosny, słonecznie było, świeżo, zielono; chaty wieśniacze stały wśród drzew, okrytych kwiatami, z rzędami pyzatyh twarzy dzieciennych na przyzbach; swobodne wiatry dziwne pieśni grały na samotnych gruszach polnych, na brzozech w gesty gaj zbitych i na sercach ludzkich, odświeżnie pod odświeżną odzieżą bijących. Tu znowu, na tych ulicach i w tych domach miejskich, rozlegał się uroczysty śpiew dzwonnów kościelnych, uśmiechały się ku sobie twarze i przyjaźnie spotykały się dłonie ludzkie; na rynkach toczyły się głośnie i żwawe targi; z otwartych okien

wychylały się roześmiane twarze dzieci i dziewcząt; potem nieco, za godzinę, za dwie, okna te wyleją na świat potoki wesołej albo melancholijnej muzyki... Tam i tu każdy miał coś albo kogoś swego. Chata skąpiana w słońcu, zorany zagon, szmaragd łąki, gromada drzew szumiących, kobieta, dziecię, muzyka, te nawet dzwonienia kościelne, mówiące ludziom, że Bóg modlitwy ich słuchać gotów, te nawet targi na rynkach i te na chodnikach przelotne uśmiechy, — było to przecież wszystko czyjś szczęściem, uciechą, nadzieją, a choćby złudzeniem tylko, lecz błogiem...

Młody, samotny człowiek, wychylający się przez małe okno wysokiego poddasza, pomimo majowego słońca, grzejącego mu plecy, uczuł przenikające zimno. Zwrócił się twarzą do swój izdebki. Podniósł głowę i ze zdziwieniem słuchać zaczął...

Jakaż to piosnka, wesoła i razem rzewna, kobiecym głosem śpiewana, zbliżała się ku drzwiom jego? Szła ona z dołu i zwolna podnosiła się coraz wyżej, dźwięczała coraz bliżej, świeża tak i swobodna, jak gdyby ją ku niemu, w czarnej chwili jego życia, przysłały zielone pola i śpiewające gaje wioski:

„Gdybym ja była słońcem na niebie,  
nie świeciła-bym, nie świeciła-bym... jak tylko dla ciebie.”

Otworzyły się drzwi i ukazała się w nich kobieta, wcale niepodobna do Rębkowej, która zwyczajnie o tej porze przynosiła tu na tacy kubek z mlékem

i sześciogroszową bułkę. Niosła ona także w obu rękach tackę z kubkiem i bułką, ale była ośmastoletnią dziewczyną, wysoką, silną, zgrabną, z błyszczącymi jak wiśnia ustami pośród rumianej twarzy, z oczyma, które z pod ciemnej rzęsy patrzyły, jak dwa liliowe kwiaty lnu. Na stanik źle zrobionej i przeraźliwie wykrochmalonej sukni opadł warkocz ciemno-łowych włosów, a nad samém uchem jej niezgrabnie sterczała duża i silnie pachnąca gałąź kwitnącego jaśminu. Ławicz zdziwioném okiem orzucił od stóp do głowy to żyjące uosobienie zdrowej, różnej, wiejskiej piękności kobiecój. Ona, zmieszana trochę, w grubych swych i ciężkich trzewikach dość lekko przeszła izdebkę, a stawiając na stole tackę z kubkiem i bułką, rzekła:

— Ciotka Rębkowa cościś cierpiąca trochę, każała mi przynieść panu śniadanie i w mieszkaniu uprzątnąć. Czy można?

Mówiąc to, patrzyła nie na tego, do kogo mówiła, ale na ścianę, a oczy jej wyglądały, jak dwa kwiaty lnu, z nieśmiałą ciekawością na świat wyzierające.

— Owszem, proszę. Czy pani jest krewną pani Rębkowej?

— A jakże!

— Bliżką krewną?

— A jakże! bratanicą...

— Ale pani ze wsi tu przybyła?

— A jakże!

- Niedawno pewnie?  
— A wczora tylko.  
— Nazywam się Zygmunt Ławicz. Czy mogę wiedzieć...  
— Co takiego?  
— Czy mogę wiedzieć, jak imię i nazwisko pani.  
— Czemuż nie?—Franciszka Rębkówna.  
— Także Rębkówna?  
— A jakże!—U nas w okolicy trzydzieści domów Rębków. Wujaszek Paweł z tej okolicy pochodzi, i ciotka Pawłowa z tej okolicy, i ja...

Rozmowa urwała się. Piękna dziewczyna krzątała się około uprzątanania izdebki. Ruchy jej miały w sobie swobodę i giętkość, pokrywającą to, co było w nich prostaczego. Widocznie stawała się coraz śmielszą.

— Jezul—zawołała po chwili—co tu książek!— i w serdecznym śmiechu, pomiędzy wiśniowemi wargami ukazała dwa rzędy prześlicznych zębów.

Ławicz wydawał się trochę zmieszany. Dziewczyna miotełką z piór kogucich strzepywała pył z książek, tak blisko niego, że zapach sterczącego we włosach jej jażminu twarz mu oblewał.

— A pani lubi czytać książki?

— Ja?

Zdziwiła się nieco i zastanowiła.

— A lubię... kiedy piękne modlitwy są...

— A innych książek, prócz do nabożeństwa, pani nie lubi czytać?

— A jakże! — Do nas *węgrzyni* takie śliczne książki czasem przynoszą! Zimową porą, jak niema czego robić, zbieramy się po domach i czytamy...

— Jakże nazywają się te książki?

— Ot, głupstwo! Jedna była historia świętej Genowefy, a druga historia księżniczki Magellony, a trzecia o tym rozbójniku, co to nazywał się... Oj, żeby jego...

Zachichotała z cicha, ale, bardzo zawstydzona wesołością własną, twarz za wieszadła z odzieniem schowała.

Ławicz uśmiechnął się. Bawiły go wymienione przez dziewczynę tytuły książek, najbardziej przecież rozweselała go może świeżość jej uśmiechów i swoboda ruchów, z jakimi, wskoczywszy na stołek, miotełką swą zdejmowała pajęczyny, zapełniające kąty izdebki.

— Jezul co tu pajęczyn! a pyłu po kątach, jak w jakiej karczmie! Już to ciotce wstyd, że tu tak brudno. Ja tego nie lubię! U mnie izba powinna być czysta, jak szklanka, i odzienie *tak samo*. A jakże! czy to człowiek świnia, żeby żył w brudach? I u ciotki Rębkowej *tak samo* brudno, ale niech ja tam pobędę troszkę.

— Czy ciotka pani bardzo chora?...

— Et, głupstwo! kolki *sparły*, bo *musi* wczoraj objadła się...

Zeskoczyła ze stołka, cała ponsowa od podejmowania ramion i pełnego zapachu opylania ścian.

— Jezu! że też i u pana żadnego kwiatka na oknie niema. I u ciotki niema! Ja nie wiem, jak to tu ludzie żyją, bez zieloności, i bez kwiatów, i bez wszystkiego. Przed naszym domem nagietki i maki jak rozkwitną, to aż żółto i czerwono robi się w oczach, a jeszcze i w izbie wazony śliczne. Pelargoniją różową mam, tę, co mi ją przeszłego roku ogrodnik z Zawirowa darował... Wyrosła ot tak! i kwitnąć już zaczynała... chciałam ją wziąć z sobą, ale matka nie dała. Matka tak samo *przepada się* za kwiatami. — Kiedy już ciebie nie będzie — mówi — niechże choć twoje kwiatki oczy moje pocieszają. — Och, och!

Westchnęła, opuściła ręce z miotełką i posmutniała.

— Pewno panna Franciszka prędko na wieś powróci? — spróbował pocieszyć ją Ławicz.

— Bóg święty wie — ze spuszczonego oczyma szepnęła.

— Po cóż pani przyjechała tu, kiedy tak smutno po wiosce i po rodzicach i — po pelargonii?

— Ot, pan żartuje sobie, a mnie naprawdę bardzo smutno...

Stała na środku izby, ze wzrokiem spuszczonego

na miotełkę, kogucie jej pióra skubiąc grubymi, spracowanymi palcami.

— Ot, po co ja tu przyjechałam! Zwyczajnie, bięda z domu wygnała! Pola u nas niewiele, łąki tyle co nie, a braci trzech i dwie siostry... braci dwóch dorosłych już... w tym roku pożenią się pewnie... i ojciec, i matka... gromada taka! Gdzie tu wszystkim w domu wyżyć! Młodszego brata ojciec do rzemiosła przeznaczył... W świat pójdzie i mnie powiedział: idź w świat! Z naszej okolicy dużo dziewcząt w służbę do miasta idzie. I mnie w służbę wysłali, żebym później braciom na karku nie siedziała. — Kiedy trzeba, to trzeba! Ojciec na *wspólność* z sąsiadami *gubernantkę* dla nas trzymał... Czytać nauczyła, szyć i szydełkiem robić i prac różne cienkie rzeczy. Albo to święci garnki lepia? kiedy trzeba, to trzeba!

Mówiła to wszystko prędko, z cicha, uśmiechała się niby, ale ze spuszczonego oczu na twarz jej posmutniała i usta zmuszające się do uśmiechu, a krzywiące się do płaczu, płynęły łzy. We wpatrzonych w nią oczach Ławicza, malowało się współczucie...

— Prędkoż panna Franciszka pójdzie już w służbę?

— Bóg święty wie! pewnie prędko. Wujaszek Paweł stara się o miejsce dla mnie... tymczasem będę mieszkać u nich i ciotce pomagać.

— A może... może, zanim znajdzie się to miejsce... panna Franciszka za mąż pójdzie?...

Od płowych włosów aż do ogorzałej szyi, stanęła cała w ogniu rumieńca. Zarazem odwróciła się prędko; skoczyła ku drzwiom. Już otwierała je, kiedy Ławicz, wstając ze stołka, zawołał:

— Proszę pani... panno Franciszko!

— A co?

Z ręką na klamce, odwróciła ku niemu twarz jeszcze nieostygłą, z nieśmiało podnoszącymi się z pod ciemnych brwi liliowemi oczyma.

Alboż on wiedział sam, co miał jój do powiedzenia? Przez kilka sekund patrzali na siebie wprost, oko w oko.

— Ot tak. Nic! mnie tu smutno... więc chciałem, żeby pani dłużej trochę pobyla...

Spojrzała po izdebce i wstrząsnęła głową na dowód niby pożałowania...

— Że smutno, to smutno...

— I ja... z biedy... w służbę pójść musiałem.

— Do kancelaryi?—zapytała.

Skinął twierdząco głową.

— Wujaszek mówił wczora...

Urwała i twarz za drzwi półotwarte schowała.

— Co wujaszek mówił?

— Że pan bardzo uczony...—odpowiedziała z za drzwi.

Ławicz uśmiechnął się dziwnie.

— To ja byłam bardzo ciekawa zobaczyć pana.

Józefek, ten mój stryjeczny, także w kancelaryi służy, ale *bardzo* głupi...

Z nieśmiałą ciekawością wyjrzała z za drzwi i znowu mu w twarz popatrzała, a potem spojrzeniem izdebkę dokoła obiegrała.

— Jezul!—rzekła — tu w tej ciasnocie świata bożego nie widać! I mnie, od kiedym do miasta wyjechała, cości aż dusi... U nas o tej porze, w niedzielę, tak wesoło...

Plecami o drzwi oparta, skubała w palcach gałąź jaśminu, która z włosów jój wypadła.

— Niech mi pani tę gałązkę daruje...

— A na co?

— Będzie mi z nią trochę weselój...

Zdziwiła się, zawstydziła i spuściła oczy.

— Od czego to ma być weselój?—z niezadowoleniem niby, wydymając wargi, szepnęła.

— Od tego może, że kwiat ten jest częścią bożego świata, którego... tu nie widać!

Skinęła potakująco głową:

— To prawda... że nie widać!

— Widzi pani! kto sam smutny choć trochę, ten i cudzy smutek zrozumie!

— No, to proszę!

Ruchem, w którego trwożliwej niezgrabności było dużo wdzięku, podała mu pachnącą gałązkę i—ponsowa znowu cała—uciekła. Po kilku minutach z daleka

już, z dołu wschodów, czy z dziedzińca, na poddasze zaleciały znowu oderwane dźwięki i słowa piosenki:

„Gdybym ja była słowiczkiem majowym,  
„Nie śpiewała-bym, nie śpiewała-bym jak tytko...

— Franka! Franka!—ozwało się z otwartego na dziedziniec okna basowe wołanie Rębkowój.

— Aha! ciotko! aha!

Wpadła do dużej, dostatnio sprzętami napełnionej, a brudnej jak komin izdebki Rębków, i jednym skokiem od progu schowała się pomiędzy piec i szafę.

— Ciotko!—ozwała się z ukrycia tego.

— Aha? — z topieli poduszek i kołder głowę wysuwając, zapytała Rębkowa.

— Ten pan, coście mnie do niego posyłali...

— To co... ten pan? pewnie go już w domu nie było...

— Był...

— No i cóż?...

— Ten pan... bardzo grzeczny...

— A coby miał być niegrzeczny! albo ty *chamka* jaka, czy co? Szlachcianką jesteś, tak jak ja i on, i bratanicą moją.

— Ono tak, ale on bardzo grzeczny i taki delikatny...

— Anol z edukacją człowiek. Wię, jak z ludźmi obchodzić się trzeba. Oj kolki, kolki!

Pomiędzy szafą a piecem słyszeć się dawał szczególny szmer, bardzo podobny do drapania paznokciem po drzewie.

— Ciotko!

— Aha?

— Ten pan...

— To co jeszcze?...

— Bardzo ładny... taki jakiś biały i tak smutno patrzy...

— A coby miał być wesołym? biedaczysko! pracuje, jak wół, a sam jeden na świecie, jak palec...

Tym razem pomiędzy piecem a szafą dało się słyszeć głośnie westchnienie.

— Ciotko!

— Aha?

— Ten pan... daleko rozumniejszy od Józefka...

*Musić to nie każdy kancelista głupi taki, jak Józefek...*

Tym razem, z pod kołder wychylił się cały już potężny biust Rębkowój.

— No, no! coś ty mi zanadto o tym panu gadać zaczęłaś! Jeszcze nim sobie głowy nie zawróć! On nie dla ciebie, pamiętaj! bo choć ty szlachcianką i bratanicą moją jesteś, ale bez edukacji, a on uczony i będzie sobie żonki z edukacją szukał. Ot, wyleż lepiej z kąta i zawiń się około uprzątnięcia izby i około obiadu, bo jak wuj z miasta przyjdzie a obiadu nie będzie... *herezyi* takich narobi, że piechotą do *okolicy* uciekniesz...



Nie wylazła z kąta, ale wyskoczyła, i zawinąwszy po łokieć rękawy perkalowej sukni, a trzewiki z nóg zdjąwszy, tak się około wskazanych jęj robót zawięła, że po godzinie, duża izba, zamiast do okopconego komina, podobną była do starannie wymytęj szklanki, a na kominie, przy wielkim, wesołym ogniu, gotował się obiad. Wyskoczyła na dziedziniec i po chwili wróciła z ogromnym pękiem kwitnącego bzu i różnej zieleni, w obu rękach. Łupami temi, przyniesionemi ze wspólnie do wszystkich lokatorów kamienicy należącego ogródka, zdobić zaczęła izbę. Z twarzą rozognioną od ruchu i zmęczenia, z kroplami potu na czole i potarganym warkoczem, bosa, w spodnicy podniesionej prawie do kolan, a rękawach do łokcia zawiniętych, stała na stołku i ogromne pęki kwitnącęj i niekwitnącęj zieleni za belki sufitu wsuwała. Przymtem, głosem rwącym się od przyspieszonego oddechu, śpiewała:

— „Oj, cóż komu do tego,  
Że ja kumcię lubię,  
Że ja kumci mojęj miłej...

W tém śpiewać przestała i ze stołka zeskoczyła. Rębkowa krzyknęła: Jezus Panie! i nurka dała pod kołdry. Do izby, w paltocie i z czapką w ręku, wszedł Ławicz. Wszedł i nie wiadomo było zupełnie, czy słyszał krzyk przerażenia Rębkowęj, albo widział

wielką górę, która po schowaniu się jęj pod kołdry spiętrzyła się nad łóżkiem; patrzył na Frankę.

— Przyszedłem prosić panią Rębkową, aby klucz od mieszkania mego tu został... Do miasta idę...

Położył klucz na stole i prędko wyszedł.

— A to co? Jezu Panie! klucz do nas odnosić jeszcze nigdy tego nie było, zawsze brał go z sobą Ot, przyczynę znalazł... oho! słuchaj no, Franka! a tyżę czego stoisz, jak bałwan, z tym *wiechciem* w ręku?... Ot skocz lepiej do komody i suknią mi dostań... kolki mię już opuściły, wstanę!

Z zieloną gałęzią w ręce i szeroko otwartemi oczyma, stała, nie jak bałwan wprawdzie, ale jak uobobienie zachwycenia, połączonego z żalem, i na drzwi, które zamknęły się za Ławiczem, patrzyła.

W kilka godzin potém, Ławicz, wracając z miasta, znalazł na stole swoim, obok oczekującego nań, jak zwykle, obiadu, wielki, w gliniany garnek wtłoczony bukiet z kwitnącego bzu i jaźminu. Nie zdziwił się wcale, lecz, wzięwszy bukiet w ręce, pochylił się nad kwiatami, które wonią swą i atlasową miękkością czoło jego i usta pieściły. Niedługo potém, zszedł na dziedziniec i zobaczył Frankę, która, obuta już, gładko uczesana, z czerwoną wstążką na szyi siedziała na wschodkach mieszkania Rębków. Nie śpiewała tym razem; policzek oparłszy na dłoni, patrzyła w przestrzeń smutnie i z zamysleniem takiém, że nie spostrzegła, jak się do nięj zbliżył.

— Dziękuję panie Franciszce za bukiet...

Jak zbudzona ze snu, podniosła głowę. Smutek jej pierchnął, usta otworzyły się świeżym jak wiosna uśmiechem.

— A z kąd pan wie, że to ja ten bukiet panu przyniosła?—filuternie zapytała.

— Bo mnie dotąd nikt nigdy żadnych bukietów nie dawał. Teraz w mojem mieszkaniu weselój...

— To i dobrze, ja tego i chciała, żeby panu troszkę weselój było...

— A o czémże pani tak smutnie myślała teraz?

— Et, wiadomo! o domu swoim, o swoich rodzinnych... Boże mój, Boże jak ja od nich daleko odjechała...

— I o tój służbie może?...

— A jakże! albo to miło pomiędzy cudzych ludzi iść? Pracy ja nie lękam się. Albo to ja w domu nie pracowałam? Ale cudzych ludzi lękam się... Nie przygarbam, nie pożałują i może jeszcze... źle obchodzić się będą!

— Żeby moja matka mieszkała ze mną...

— To co?

— Taby panna Franciszka przy mojej matce została... ona jest bardzo dobra, przygarbna-by, pożałowała!...

— A dla czego mama pana z panem nie mieszka? Ławicz nie odpowiedział. Chmurny, z brwią

ściągniętą, patrzył w ziemię. Dziewczyna podniosła oczy i popatrzała na niego z bystrą przenikliwością.

— Nie można?—szepnęła.

— Nie można!—powtórzył z cicha.

Wstrząsnęła głową i westchnęła.

— Bięda!—rzekła.

Tego wyrazu on nie powtórzył, tylko patrzył na nią tak, że gdy podniosła oczy i spotkała się z jego wzrokiem, zapłonęła cała rumieńcem i znowu powieki spuściła.

— Mój Boże! —szepnęła — czemu to Pan Bóg dobrym ludziom szczęścia nie daje?

— Panna Franciszka będzie jeszcze kiedyś szczęśliwa...

— Bóg święty wie.

Zerwała się ze wschodków.

— Ot, co tam biedować! z biedowania nic nie przyjdzie! Żeby to pan na majówkę dziś z nami poszedł!

— Na jaką majówkę?

— A jakże! wujaszek i ciotka na majówkę dziś idą... za miasto... het, daleko, do lasu i mnie z sobą biorą. Żeby to pan z nami poszedł...

Dziwna rzecz! Ławicz, tak oporny, gdy go przyjaciel na tańczący wieczór namawiał, teraz, jednym skokiem znalazł się w mieszkaniu Rębków. Rębki nie było i tylko Rębkowa królowała tam, nastrojeną falbanami niedzielnej sukni, w czepcu z barwiste-

mi wstęgami na włosach, oblepiających nizkie czoło dwoma wypomadowanemi pasmami.

— Jezu panie! pan z nami na majówkę chcesz iść! pustelnik taki! skończenie świata! A cóż na to te mądrości powiedzą, którychem nigdy naopylać dość nie mogła?

Uśmiechała się kobieta dwuznacznie i trochę marotnie wstrząsała głową. Ale gdy, oświadczając żywą swą chęć udania się na majówkę, Ławicz pocałował ją w rękę, okrągliła i pulchna twarz Rębkowej rozjaśniła się, jak słońce.

— A dla czegoż nie? dla czegoż? z takim uczonym i grzecznym kawalerem, honor nam będzie wielki, przyjemność... Paweł będzie bardzo kontent, przynajmniej nagada się z panem o swojej *pałacie!*...

Czy Paweł Rębko wiele mógł mówić z Ławiczem, w czasie przechadzki tej, o swojej *pałacie?*— niewiadomo. To tylko pewna, że młody kancelista, wróciwszy do izdebki swój o dość późnej wieczornej godzinie, miał na twarzy i w oczach wyraz upojenia. I nie czytał wcale, i spał nocy tej niewiele. Nazajutrz zaś, za ledwie obudził się, z daleka, z dołu, z dziedzińca zapewne, zaleciał go głos dziewczęcy, śpiewający wyraźnie:

„Gdybym ja była słoneczkiem na niebie...”

A izdebka pełną była lejących się przez okno złotych potoków słońca i silnej woni kwiatów, zwieszających się z glinianego garnka.

Od dnia tego, zachodzić w nim poczęły coraz widoczniejsze zmiany. Z biura wracał do domu nadzwyczaj śpiesznie, w izdebce swój usiedzieć nie mógł. Ciągnęły go ku sobie pola i lasy zamiejskie, szerokie, zielone, rozśpiewane głosami wolnej natury. Ciągnęła go ku sobie natura wesola i świetna, nawskroś przejęta w porze tej gorącym oddechem miłości. Ciągnęły go też ku sobie liljowe źrenice dziewczyny, wilgotne usta jej i ogniste rumieńce, które, niby strumień waru, oblewały ją, ilekroć zbliżał się ku niej. Ciągnęły go serdeczne jej śmiechy, śród których błyskała zębami, białymi jak perły, a bardziej może jeszcze westchnienia, które posyłała daleko, ku domowi swemu, ku swoim rodzonym. Czy, gdy pójdzie w służbę, *cudzy ludzie* pozwolą jej wyśpiewywać tak nieustannie prawie i tyle kwiatów wkładać we włosy, że aż zwieszały się one na szyję jej, uszy, czoło, i czyniły ją podobną do jakiejś nimfy leśnej, wypadkiem na brudny dziedziniec miejski spadłej. Wchodząc na dziedziniec, szukał jej oczyma; usłyszawszy śpiew jej, biegł prawie w tę stronę, w której się on rozlegał; spotkawszy się z nią, pożerał ją oczyma, a czasem słowa przemówić do niej nie mógł. Echo jakieś z przeszłości przynosiło mu słyszane kiedyś słowa:

— Bięda z biędą!

Raz, o zmroku, zobaczył suknię jej pomiędzy drzewami ogródka. Poszedł tam i znalazł ją, siedzącą na ziemi i płaczącą rzewnie. Usłyszawszy kroki

jego, zerwała się i chciała uciekać. Ale on drogę jej zastąpił.

— Czego płaczesz?—zapytał.

Nie odpowiedziała. Stała przed nim, odwracając spłakaną twarz i zasłaniając ją ręką.

— Może... może po tym ogrodniku z Zawirowa, który ci tę różową pelargonią darował?

— Niech jego dyabli wezmą!—sarknęła.

— Cóż? za matką ci tęskno?...

— A tęskno, ale nie dla tego...

— Nie dla tego płaczesz? Więc dla czegoż?

Nie spostrzegł wcale, że rozmawiał z nią w taki sposób, w jaki ludzie dorośli rozmawiają z dziećmi.

— Może już w służbę tę trzeba ci iść?

Żyzy deszczem polały się z jej oczu.

— A już, trzeba — szepnęła — wuj miejsce znalazł...

Wziął ją za rękę.

— Lękasz się służby... biedna...

— Nie, nie—zawołała—nie tego...

— Czegoż więc? Smutno ci, że pomiędzy obcymi...

— Nie! nie!

Z giestem rozpaczy załamując dłonie i oczy sobie niemi zasłaniając, krzyknęła prawie:

— Ja ztąd nie chcę iść... Boże mój! po co ja tu przyjechała! Jak te drzewa w ziemię, tak ja tu już wrosła!...

Zrozumiał; otoczył ją ramieniem, przycisnął do piersi i w usta pocałował...

— Kochasz mię trochę? prawda?

Drżąca, z przymkniętymi oczyma, szepnęła: A-jéj! Ty moje słońce złote!... Potém wyrwała się z jego objęcia i, szlochając, uciekła. Tego samego wieczora Rębkowa weszła do izdebki Ławicza. Pomimo, że nie była to niedziela i że nie miała na sobie ani sukni z falbanami, ani czepka ze wstążkami; pomimo, że całym strojem jej była krótka spodnica i luźny kaftan, przysadzistą postać jej czyniące prawie kwadratową, wyglądała bardzo poważnie i uroczyście.

— Przyszłam ja tu—ode drzwi zaraz zaczęła—aby z panem o ważnych rzeczach pomówić.

Ławicz z pośpiechem krzesło ku niej posunął, a objaw ten uprzejmości rozjaśnił nieco okrągłą twarz i czarne jej oczy, które widocznie do wyrazu powagi i niezadowolenia układała. Usiadłszy i tłuste, ciemne ręce na kolanach złożywszy, zaczęła znowu:

— Jest to bardzo delikatna materyja i mnie-by może nie wypadało o niej z panem mówić. Ale, co trzeba, to trzeba; każdemu człowiekowi krew jego droga, a ot dziewczyna ta, to rodzona krew moja, brata rodzzonego córka i upodobaliśmy ją sobie z Pawłem bardzo. Może-byśmy téż jej i nie oddali w służbę, a za dziecko swoje przybrali, żeby nie pan...

— Ja?

— A no! czegoż pan się tak dziwujesz? Niewi-

niątkiem nie jesteś. Dwadzieścia kilka lat masz i, choć skromnie żyjesz, ja sama wiem, że skromnie, ale ot teraz zechciało ci się dziewczynie mojej głowę zawrócić... Sztuka niewielka! młode to i tylko co ze wsi, i może tam pomiędzy naszymi parobkami śniło się jej czasem o takim paniczu z białą twarzą, grzecznym i delikatnym. Dla pana to zabawka, ale dla niej zguba i to jest, powiem prawdę, bardzo ze strony pana niepięknie. Ona nie chłopka jakaś, *chamka* taka, coby z nią każdy mógł zrobić, co zechce. Ona szlacheckie dziecko, moja rodzona krew, i ja jej w poniewierkę nie dam. I Paweł nie da. Każdemu honor jego miły i krew jego droga. Ot, z czém ja do pańskiego honoru przyszlłam. Wóz albo przewóz. Albo pan przestań Frankę bałamucić, latać za nią wszędzie i całować ją tak, jak ja to dziś na własne oczy moje, w stajence krowę karmiąc, widziałam; albo my Frankę wnet w służbę oddamy i jutro już, jak Boga kocham, śladu tu po niej nie będzie. Żeby nie pan, została-by się u nas i ot, szlacheckie dziecko, cudzym ludziom kątów-by nie wymiatało, a może tam kiedy i posazek dla niej jaki znalazł-by się, i za mężbyśmy ją wydali... Ale wszystko to od pańskiego honoru zależy... Niech pan sam sądzi, jak uczciwie jest i po Bożemu, a jak po fanfarońsku i tyle!

Kobięta zapórzyła się była z razu i mówiła z gniewem; potem wpadła w ton płacziwy i połą od kaftana wycierała sobie zwilgocone oczy.

Ławicz wstał, wziął rękę trzymającą połą kaftana i pocałował ją z uszanowaniem.

— Pani Pawłowo — wzruszonym głosem zaczął — nie zrobiłaś pani jeszcze przypuszczenia trzeciego...

— Jakiegoż to?

— Żebym się ja z panną Franciszką ożenił.

Kobięta szeroko otworzyła oczy.

— Wszelki duch!... — zaczęła, a skończyła przecięgłe wymówionóm. — A!

— A! — powtórzyła — no, nie było to w mojem oczekiwaniu! Ale no... nie takie rzeczy dzieją się na świecie... To pan doprawdy Frankę tak polubiłeś, że byś z nią i żenić się chciał?

— Jest to szczerém pragnieniem mojem...

Kobięta bardzo widocznie ucieszoną była. Wstrząsała jednak głową.

— Ale jakże to będzie! pan to podobno mądry bardzo, a ona zwyczajnie, zagrodowa szlachcianka, bez edukacyi...

Ławicz uśmiechnął się trochę smutnie, trochę ironicznie.

— Raz tylko — rzekł — byłem w towarzystwie paniel edukowanych. Nie podobałem się im i one mnie nie podobały się także...

— No, no! to dziwy jednakowoż! Zawsze to panu potrzeba żonki, i z manierą pańską, i ot, z pięknego domu...

— Ja sam ani maniery pańskiej, ani żadnego domu nie mam...

Kobięta medytowała dalej.

— Przystojna ona, to przystojna, niema co powiedzieli zdrowa dziewczucha, tęga, pracowita i charakteru dobrego; ale wiadomo, prosta, *obczytania* żadnego nie ma...

— Pani Pawłowo! — z powagą i wzruszeniem przerwał Ławicz—panna Franciszka podobała mi się, i dla piękności, i dla dobroci, i dla prostoty swojej. Ja tę prostotę jej wole, niż płytką i fałszywą edukacją kobiet z tak zwanego wyższego świata, z którymi zresztą ani mówić, ani bawić się nie umiem. Przymiennie, bywają położenia, w których miłość dla kobiety i związki rodzinne jedyną być mogą deską ratunku, przyszością, celem życia... Ja znalazłem się w położeniu takim. Pokochałem pannę Franciszkę; zdaje mi się, że mam wzajemność, chcę żyć, chcę być szczęśliwym, chcę mieć kogoś swego, rodzinę, przyszość...

Rębkowa była bardzo ucieszona, ale też zaniepokojona widocznie.

— No, no! rzeczy takie nie były w oczekiwaniu mojem—powtórzyła.—O takich wielkich już rzeczach nie mojej głowie sądzić. Ja nie od tego, owszem, z duszy i serca zgadzam się. Patrzałam przez tyle lat, jak pan żyłeś i—dalibóg, sama-bym za pana poszła, cha, cha, cha! Ale do takich rzeczy trzeba

męzkiej głowy i dobrej głowy. Pogadaj pan jutro z Pawłem, tylko tak, żeby dziewczyna rozmowy wazszej nie słyszała, i jak tam *mój* zadecyduje, czy tak, czy owak, niech tam zawsze pana Pan Bóg i Najświętsza Panna błogosławią! Honorowy jesteś człowiek, honorowy i z sumieniem...

Rozplakała się już na dobre i, ramieniem, wydobywającem się z brudnego rękawa, szyję Ławicza objawwszy, z głośnem cmokaniem w głowę go ucałowała.

Nazajutrz była niedziela, a rozmówienie się w dniu tym z Pawłem Rębką przedstawiało znaczne trudności. W niedzielę, bywał on daleko więcej zajęty, niż w dnie powszednie.

## X.

Paweł Rębko, ex-żołnierz, a obecnie posługacz przy najwyższém w X. miejscu sądowém, należał do téj grupy mieszkańców X., która w mówieniu posługuje się rodzajem gwary, utworzonej z najdziwniejszój mieszaniny dwu języków. Oprócz tego odznaczał się on jeszcze tém, że zapytany, kim-by był? stale i niezmiennie, z ramionami, jak struny, wzdłuż boków wyciągniętymi, odpowiadał: „katolik”. O innych właściwościach, urodzeniu ludzkemu towarzyszących, wyobrażenia nie miał. Kiedyś, za młodu, w okolicy szlacheckiej, sznurem szarych domowstw nad brzegiem Niemna rozwiniętej, wyobrażenie to istniało może w głowie, lecz w lekkich i białych zarzysach, które zatarte zostały przez dwadzieścia lat wędrowania po szerokich przestrzeniach i następujące po nich lata służby w sądowém miejscu. Teraz w głowie mu już nie pozostało nigdy, aby czémś, czy kimś innym mógł być, jak tylko i wyłącznie „katoli-

kiem”. W zamian, katolik z niego był żarliwy i ta to żarliwość wprawiała go w dnie niedzielne w kłopot niemały. W dniach niedzielnych, z jednéj strony brzmiały rozgłośne dzwony kościelne, z drugiejj strony, przy wjeździe do miasta, turkotały koła przybywających na targi i nabożeństwa mieszkańców wsi. Paweł Rębka czuł się pociągany w strony obie. Energiczne poczuwanie się do stanu „katolika”, wzmożnione jeszcze silną obawą piekła, ciągnęły go ku otwartym na oścież wrotom kościelnym; życiowe zaś interesa, jak téż przyzwyczajenia i zamiłowania fachowe, znajdowały się po stronie drugiejj. W kłopotcie jednak tym Rębko radzić sobie umiał. Naprzód, w godzinie bardzo wczesnej siedł do kościoła, gdzie całym ogromem ciała swego na klęczki przed ołtarzem runąwszy, modlił się czas jakiś z książki i z pamięci, żarliwie, głośno, potężnymi pięściami bijąc się w piersi z całej siły, a czasem, twarzą ku dołowi, wyciągając się na ziemi w całej długości i z rozpostartymi ramionami, czyli, krzyżem leżąc. W sposób ten odbywszy obowiązkowe niejako, niedzielne klęczenie, szeptanie i wykrzykiwanie modlitw, bicie się w piersi i leżenie krzyżem, powstawał, przy wyjściu z kościoła uroczyście bardzo skrapiał czoło swe i piersi święconą wodą i skierowywał się ku jednéj z dróg, które mi wieśniacy do miasta wjeżdżali. Tu, na rogu ulicy stojąc, przypatrywał się pilnie wjeżdżającym do miasta wozom chłopskim i *kałamaszkom* zagrodowej szla-

chty, jako też fizyognomiom siedzących na nich ludzi. Doświadczenie snadź miał spore i, gdy który z wozów, czy która z fizygnomii, wydały mu się odpowiedniami zamiarom jego, śmiałym krokiem, a z dobrodusznym uśmiechem, zbliżał się ku nim, najpokazniej, jak tylko być może, prezentując na szerokich barkach galowy strój dymisyonowanego żołnierza, a na wydymającej się piersi—dwa wielkie i, jak słońce, złote medale. Bywali dość liczni właściciele wozów i kałamaszek, którzy prawdziwie wzruszonymi i zachwyconymi czuli się na widok dumnie, i zarazem życzliwie, zbliżających się ku nim zawieszistych wąsów, szerokich bark, błyszczących guzików, a szczególnie wielkich medalów Rębki.

Człowiek taki musiał być doświadczonej bardzo i biegłym we wszystkiem, co tyczyło się prawa i urzędu; umiał pewnie sam pisać do sądów *prośby* i skargi, albo przynajmniej znał takich, co je pisać umieją! Powoli z razu i od niechcenia niby, lecz potem coraz żywsze i poufniejsze zawiązywały się rozmowy, które Rębko zamieniał wkrótce w indagacye formalne, i naiwnych, załęknionych nieco przez ruch i gwar miejski przybyszów, albo ku swemu mieszkaniu wiódł, albo ku mieszkaniom protegowanych przez się indywiduów, których wspaniale *adwokatami* mianował. Zależało to od rodzaju *interesu* i stopnia trudności, które *chodzenie około niego* przedstawiało. Około bardzo drobnych i łatwych Rębko sam *chodzić*

przyrzekał, to przecież, że były one drobne i łatwe, w najgłębszej tajemnicy chowając. Nie rzadko też, w niedzielne południe, przed drzwiami Rębki stało parę wozów lub kałamaszek, a on sam, w mieszkaniu swém, pomiędzy zdobytymi klientami siedząc, z czerwonym nosem, w ogromne okulary uzbrojonym, sylabizował głośno papiery, ukazujące się kolejno z kieszeni siermięgi i kapot. Potem, z kieszeni tych ukazywały się trzy, lub pięciorublowe asygnaty; potem jeszcze, na stole ukazywały się: butelka z wódką i talerz ze śledziem, albo wędzoną kiełbasą; a potem jeszcze, z twarzami opromienionemi najpiękniejszą nadzieją, mieszkanie Rębki opuszczali klienci, on sam zaś, z asygnatami w kieszeni wychodził do miasta i długo nie wracał. Powrotu jego, w dniach podobnych, Rębkowa oczekiwała z niepokojem wielkim: wiedziała bowiem, że ilekroć Paweł jój wychodził do miasta z pieniędzmi w kieszeni, tylekroć powrót jego do domu odznaczał się bardzo głośnemi i nieraz bolesnemi „herezjami”. Po prostu, wracał pijany, a na odgłos krzyków, podnoszących się w mieszkaniu jego, lokatorowie kamienicy mawiali pomiędzy sobą, że: Rębko żonę bije! Upokorzenia takiego Rębkowa od innego człowieka nie zniosła-by pewnie, ale od takiego, jakim był Rębko, znosiła. Jeżeli bowiem z przyczyny jego miewała chwile wstydu, wynagradzało się to tygodniami dumy, którą ją rozum jego i wysokie jego w świecie stosunki napełniały. Jeżeli czasem



od uderzeń pięści jego bolały ją plecy, jakże za to w dniach innych szczęśliwą bywała! Rębko kochał żonę swoją w oczy, za oczy mawiał o niej zawsze, że jest kobietą piękną, od czasu do czasu prowadził ją wystrojoną pod ramię po ulicach miasta, lub za miasto; a gdy w wieczory zimowe w gronie znajomych i przy butelce piwa, albo wódki, rozweselił się czasem, to zrywał się ze stołka, chwycił ją wpół, i przy dźwiękach harmoniki, albo samemu sobie przyśpiewując, aż do stracenia tchu tańczył z nią *miecielice*, z wieśniaczej jeszcze, wpół-chłopskiej młodości, zapamiętaną. Pomimo więc przytrafiających się dość często „herezy”, małżeństwo Rębków było kochającym się i szczęśliwem. Niedostatku też, w obszerniej, niskiej izbie, o dwu oknach i wielkim kominie, nie było. Zarobki mieli oboje niewielkie, lecz rozmaite; bo i kobieta ze swój strony zarabiała, obsługując niezamożnych lokatorów kamienicy, a pensyą, którą mąż jej otrzymywał w Izbie, chroniąc przed okiem i ręką jego, z czujnością Argusa.

W tę niedzielę, która nastąpiła po rozmowie Rębkowej z Ławiczem, Rębko na zadną z dróg wjazdowych nie udał się, ale wprost z kościoła przyszedł do domu. Wiedział już o wszystkiem od żony, a sprawy familijne mocno mu snadź na sercu leżały. Wychyłając kieliszek wódki, a przekąsując podaną mu przez żonę skrobaną rzodkiew, pokręcał zawieszistego wąsa i żartobliwie zerkał na Frankę, która, bledsza,

niż zwykle, bez kwiatów we włosach, żwawo jednak i pracowicie krzątała się około izby i obiadu.

— No cóż? dziewczyno! — odezwał się po chwili — w służbę iść pora! miejsce ci już znalazłem. W porządnym domu, cztery ruble na miesiąc pensyi.

Franka, siekając mięso na stolnicy i nie odwracając głowy, półgłosem odpowiedziała:

— A jakże! kiedy trzeba, to trzeba! Na toż mnie tu ojcowie przy-sła...

Zaszlochała.

— Czegoż becysz? Może-by ci lepiej męża dać niż służbę, he?

Franki przy stolnicy już nie było. Nóż, którym siekała mięso, leżał na ziemi, perkalowa zaś i zawsze wykrochmalona jej suknia szeleściła pomiędzy piecem a szafą.

— Chowaj się, czy nie chowaj — smarując na chleb skrobaną rzodkiew, prawił Rębko — a powiedzić musisz. Co wolisz: służbę, czy męża, he?

Pomiędzy szafą a piecem ozwało się gniewne sarknięcie.

— Niech jego dyabli wezmą!

— Kogo? męża?

— A takiego, co wy mnie dać możecie! — z płaczem fuknęła dziewczyna.

Rębkowa śmiała się z téj rozmowy męża z synowicą, tak, że się aż za boki brała.

— Oho! — rzekł Rębko — panience panicza się

zachciało! ja to wiem! A jak ci na męża dam panicza, to co będzie? he? pocałujesz ładnie *dziadźka*? pogłędzisz jemu wasy, he?

Teraz pomiędzy szafą a piecem płacz ucichł, a słyszeć się dawał szmer do drapania paznogciem po drzewie podobny. Przymót cichy i drżący głos Franki wymówił:

— Co to i gadać! wiadomo, że to nie w waszej mocy jest, tylko w Bozkiej!

Rębko wstał.

— W Bozkiej *swoim porządkiem*—rzekł— a w mojej swoim. Ciekawy jestem, co w mojej mocy nie jest? Ot, zobaczysz, że kiedy zechcę, to stanie się według życzenia twego, a kiedy nie zechcę, to nie stanie się. W mojej mocy jest wszystko.

— Nużel — krzyknęła Rębkowa — wyleż tam z kąta i padnij do nóg wujowi, poproś go, to ci szczęście zrobi. On wszystko zrobi, co zechce.

Rębko stał na środku izby, z czapką w rękę, i widocznie czekał na to, aby dziewczyna o *zrobienie* jej szczęścia prosiła. Wszechmocność jego błaganą być chciała. Ale Franka nie wytrzymała z kąta.

— Wstydzi się! — usprawiedliwiła ją z cicha Rębkowa.

W téjże chwili dziewczyna, jak zwykle bywało, niby koza dzika, wyskoczyła z kąta i przed Rębka na kolana upadła. Nie pochyliła się mu do nóg, ale,

twarz i załamane ręce ku niemu podnosząc, wołać zaczęła:

— Oj, wujaszku, wujaszku! Ulitujcie się wy nade mną i w służbę mnie nie oddawajcie! Ja niczego nie chcę i za mąż iść nie chcę, tylko tutaj chcę zostać... Ja nie będę wam darmo chleba jeść, służyć wam będę i na zarobki chodzić, byle tu zostać...

Rębko z uśmiechem targał wasa.

— Cóż? czy tak nas polubiłaś, że już przy nas tak żądasz zostać?

Dziewczyna skłamać widać nie mogła.

— Oj wujaszku! — zawołała — *tu* żądam zostać, *tu* żądam...

We wzniesionych jej oczach, postawie, giestach i błagalnym wyrazie zalanéj łzami twarzy, malowało się uczucie niesforne, prostacze, lecz szczere i pełne bólu.

Kiedy po chwili Rębko wszedł do izdebki Ławicza, napełniła się ona zmieszany zapachem wódki, rzodkwi i dziegciu, którym wysmarowane były buty jego, wyżej kolan sięgające. Medali swoich dnia tego nie włożył, tylko na sukiennym szynelu, wyczyszczone starannie, błyszczały metalowe guziki.

— Dzień dobry! przyszedłem tu *na konto* interesu tego, o którym pan wczoraj z babą moją gadałeś. U baby, zwyczajnie jak u baby: włosy długie, rozum krótki. O takich rzeczach męzkim głowom myśleć. Pogadamy.

Przysunął krzesło do stołu, przy którym siedział Ławicz, i rozsiadł się na niem jak można było najwygodniej.

Na bardzo znużonej i bladej dnia tego, twarzy młodego człowieka, rozlał się wyraz dolegliwej przykrości. Dotąd zostawał on z Rębka w stosunkach dalekiej tylko znajomości. Być może, iż to uczucie, które powziął dla ładnej dziewczyny, a które miłością nazywał, podobnym było do delikatnego kwiatu, i że z niepokonanym wstrętem widział on opadającą na kwiat ten grubą dłoń Rębki. Ze spuszczonego oczyma milczał. Rębko mówił dalej:

— Interes jest taki. Chcesz pan żenić się z dziewczyną naszą. I ja, i baba moja, nie mielibyśmy nic przeciw temu. Jedna tylko przeszkoda jest, bardzo ważna. *Utrzymania* pan nie masz, słyszysz pan, *utrzymania* nie masz... a utrzymanie, to jest taka rzecz, bez której my dziewczyny nie damy. Niech lepiej służy, niż-by miała głód cierpieć. A znasz pan przysłowie: goły z gołą, dzieci złodzieje! cha, cha, cha, cha!

Śmiał się grubo i tak serdecznie, że aż trzęsły się mu szerokie ramiona.

— Panie Rębko — zaczął Ławicz — pracuję przecież w biurze i przytém...

Rębko wznosił w górę wskazujący palec i wywijał nim w powietrzu:

— W biurze! w biurze! e! *głupia sztuka!* dwadzie-

ścia pięć rubli na miesiąc. I jednemu to nie bogactwo, a z familią nędza. I matkę jeszcze pan masz, której zawsze siaką taką kopiejkę posłać trzeba będzie, he? I przytém jeszcze, to bardzo niepewne. *Sztatnym* (etatowym) nawet pan nie jesteś. Jak powiedzianem jest, w świętej Ewangelii, nie wiesz ani dnia, ani godziny... kiedy ci pstryczka w nos dadzą i wypędzą. Ot, jak! Takim sposobem, to już naszej dziewczynie lepiej-by było za rzemieślnika pójść, bo za rzemieślnikiem chleb i sutszy, i pewniejszy. Interes czysty!

Na policzki Ławicza wybiły się plamy rumieńców, bolesne rozdrażnienie świeciło mu z oczu.

— Panie Rębko — rzekł cichym i od przykrego wzruszenia rwącym się głosem — sam już o tém wszystkiem myślałem, i zdaje mi się, że potrafię dać sobie radę. Znam kilka obcych języków i mam trochę nauki w głowie. Będę dawał lekcye po domach.

Rębko, z ironicznym uśmiechem na grubych wargach, wlepiął w niego okrągłe swe, sprytem i śmiałością błyszczące oczy, a przecząco wstrząsając głową, stanowczo wyrzekł:

— Nie zgadzam się. Dawanie lecyi po domach *głupia sztuka*. Żebyś pan miał uczony patent, a na przykład profesorem w gimnazyum mógł być, to co innego; chleb był-by, choć *tak samo* nie suty, ale przynajmniej pewny i przytém honor... Ale po domach

pedzać się, cha, cha, cha! gadaj pan sobie zdrów, tylko nie mnie! Ja za *gubernera* dziewczki nie oddam. To moja krew i poniżoną nie będzie.

Ławicz nagłym ruchem wstał z krzesła. Nie patrzył na Rębkę. Ze szklistości oczu jego widać było, że patrzył w samego siebie, a wzburzony był bardzo, z plamami rumieńców na policzkach, i ręce mu drżały.

— Cóż to znowu? — zawołał — czy i to jeszcze wzbronioném mi być ma i niedostępném, to, co jest powszechném prawem natury, co może być jedyném mojem dobrem na ziemi?...

Rębko śmiał się.

— No, no! nie desperuj-że pan tak zaraz? po co te desperacye? Albo ja panu dziewczki odmawiam? Niech Pan Bóg broni! pan jesteś człowiekiem z pięknej familii, katolikiem i z głową... czemuż-by nie? Tylko *utrzymanie* trzeba mieć, a w tém już moja głowa. Jeżeli pan mojej rady posłuchasz, to ja pana i z Franką ożenię, i człowieka z pana zrobię. Trzeba tylko, żebyś pan mnie, jak rodzonego ojca, słuchał...

Jakkolwiek słuszność i małe o sobie nniemanie, były cechami charakteryzującemi Ławicza, wiadomość o tém, że Paweł Rębko miał z niego człowieka zrobić, wydała mu się tak szczególną, że aż wywołała mu na usta prawie wesoły uśmiech.

— Ot już i *obradowałeś się!* — ze śmiechem zawo-

łał Rębko — no, bo i jest czego! Gdzie moja głowa postanie, tam już i smucić się przyczyny niema. Ot, moja rada! adwokatem zostań!

Ławicz osłupiał.

— Ja, adwokatem! ależ ja do tego ani odpowiedniej nauki, ani żadnych kwalifikacyi nie mam!

Rębko rozśmiał się.

— Niech pana Pan Bóg kocha, jaki z was śmieszny człowiek! Jakiż tam nauki potrzeba? pfuj, zgiń maro, przepadnij! Przeczytać *ustawę* dla sądów *mirowych* (pokoju) i koniec! A sześć lat w *pałacie* służyysz! toż-byś chyba *durniem* był, gdybyś nie umiał jeszcze *prośby* napisać, *iskowego* podania zrobić, *sprawkę* (kwerendę) zaprowadzić i co do czego należy, hę? *Ustawę* o stemplowych papierach znasz? *Formę* na *najwyższe imię* znasz? Język w gębie masz? a...

Tu pochylił się ku Ławiczowi i, wytrzeszczając oczy, z odpowiednimi giestami rąk, a tajemniczo zniżonym głosem, dodał:

— A *pocichienku*, z kim trzeba będzie, pogadać potrafisz?

Nieznacznie i stopniowo, zaczął w rozmowie swęj używać wyrazu: ty! czuł się widocznie powagą umysłową względem uczonego młodzieńca tego, który z całą uczonością swą *utrzymania* nie miał. Że zaś zenić się chciał z dziewczką jego, więc też czuł się od względem niego i powagą rodzinną. Obu łokcia-

mi na stole rozparty, wskazującym palcem wywijając w powietrzu, mówił dalej:

— Co się zaś tycze tych *kalifikacyi, pusta sztuka!* *Kalifikacye* potrzebne dla przysięgłych, ale, *abo* to tylko przysięgłym pozwala się *za interesami chodzić*. Wszystkim pozwala się. Czy Icek Rejber ma jakie *kalifikacye*? A ot z interesów dwa domy już sobie zbudował. *Abó* ten chałatnik, Kukawer, czy ma jakie *kalifikacye*? a pijaczysko te, Lipski ten, co kiedyś w Izbie służył, a teraz familią z interesów utrzymuje, ma jakie? a na ten przykład choć-by i ja sam... Ale co o tém gadać? Jak zaprowadzą w sądach nowe porządki, trudniej będzie, choć zawsze, siako tako, można będzie; ale teraz, byle *examin* zdać, to już nawet i językiem przed sądami obracać możesz... A jaki to *examin*, kiedy go nawet Kukawer zdać potrafił? A ja już dla ciebie większego dochodu i lepszego utrzymania, jak ma ten chałatnik, Kukawer, i nie żądam...

Ławicz, z mniejszém już zdziwieniem słuchał długiej mowy Rębki. Myśl przecież o kolegowaniu z Ickiem Rejberem, Kukawerem i pijakiem Lipskim, nie zdawała się sprawiać mu rozkoszy. Wzburzony zawołał:

— Ależ Kukawer, Rejber i Lipski mają opinią ludzi nieuczciwych...

— El *pusta sztuka!* co to do tego ma! uczciwość to taka rzecz, która od sumienia zależy. Czy kto ciebie będzie przymuszał, abys tak, jak oni, obdzierał

i oszukiwał ludzi? Kiedy tobie bez obdzierania i oszukiwania dobrze będzie! Ważnych interesów w *pałacie* pewno nie będziesz miał, bo do tego to już różnych naszych rzeczy potrzeba. Ale, że u *mirowych* roboty ci nie zabraknie, w tém już moja głowa. Jak ja w twoją stronę interesa zapędzać zacznę, to połowa ich od Kukawera i Rejbera do ciebie przyjdzie. Z wierzchu patrząc, to niby *drobne sztuki*, bo tam tylko różne *małe kryminały* i cywilne *działa*, do pięćset rubli dochodzące; ale, jak się tego nazbiera dużo, to i nie obejrzyś się, jak, bez krzywdy nawet ludzkiej, piękne utrzymanie sobie zrobisz.

Z pół godziny jeszcze prawił o możliwości i wielkiej korzyści ułożonego przez się planu. Potém wstał i wziął czapkę.

— No, namyślaj się sobie. Król, *abo* cygan! *abo* rady mojej posłuchasz, dziewczkę weźmiesz i na człowieka wyjdiesz, *abo* zgiń i przepadnij!

Obejrzał się po izdebce, wzgardliwie na książki popatrzał.

— Te ot, talmudy, rzuć. Wyschłeś przy nich, jak w Psalmie świętym powiedzianém jest, niby wróbel na dachu, i tyle! Kancelaryą téż potém rzucisz, bo i takie słuzenie w niej, jak twoje, psu na budę nie zdało się. Z biedy ci trzeba wyléć — to *piérswsze*, a *drugi raz* — to nawet i *wstydnó*, żeby w takim wieku człowiek nie mógł jeszcze żonki sobie wziąć, albo

rodzonej swojej matki przy sobie trzymać, dlatego, że nie ma im czego do gęby włożyć—pfuj!

Wyszedł. Ławicz siedział długo z łokciami na stole, z twarzą w dłoniach. Człowiek ten, śmierzdzący wódką, rzodkwią i dziegciem, doradca ten, mówiący obrzydliwą gwarą, miał słuszność! po wielokroć miał on słuszność! *Pierwsze*, wstydno było istotnie, okropnie *wstydno*, że w wieku dojrzałym znajdował się on jeszcze w stanie takiej nagości i bezsilności, jak gdyby był małym dziecięciem, lub ostatnim głupcem i niedołągą! *Drugi raz* boleśnie było, okropnie boleśnie, że ani kobiety, którą pokochał, ani rodzonej matki swój ku sobie przygarnąć, opieką i miłością otoczyć nie mógł, dlatego, że nie miał czego do gęby im włożyć! *Trzeci raz*, plan, ułożony przez człowieka tego, był do wykonania zupełnie możliwym. Nakoniec: uczciwość jest to rzecz taka, która od sumienia zależy, więc na każdym miejscu świata tego sumienie, świadome zła i dobra, czystém pozostać może...

Wstał i stanął przy otwartém oknie. Tuż za oknem, promienie słoneczne rozniecały w blaszanym dachu ognisko olśniewających światła. Nad niém, w tęczyowych blaskach jego, krętym lotem krążyły dokoła siebie dwie jaskółki. Powyżej ciągnął się długi pas nieba, błękitny i złotą luną powleczoney, pod nim, bardzo wysoko i coraz wyżej, wzbijał się wielki ptak, z szeroko rozpiętymi skrzydłami. O, biedny ptaku, samotnie lecący w blaski niebieskie!

Kiedy Ławicz odwrócił się od okna, wyobraźnia przyniosła mu przed oczy dziwne widzenie. Wydało mu się, że u drzwi samych, wysoka i wiotka kobieta, z siwemi włosami i śladami wielkich cierpień na łagodnej twarzy, stoi w ubogiej czarnej sukni i ku niemu wyciąga ramiona. Była to matka jego, dawno nie widziana. Tam znowu, na dole, na wschodach, prowadzących do jego poddasza, tylko o parę pięt niżej, zadzwoniła piosenka:

Gdybym ja była słoneczkiem na niebie...

Wziął czapkę i wyszedł, a gdy po upływie kwadransa, wraz z Franką ukazał się na dziedzińcu, Rębkowa, stojąca w otwartych drzwiach swego mieszkania, cała w falbanach i wstęgach niedzielного stroju, z dala już witała go dygami i uśmiechami.

— Czy możemy mieć ten honor, ażeby pana na nasz obiadek prosić? — zapytała.

A gdy zaprosiny przyjął i do izby wchodził, z tkliwością w oczach pogładziła go ręką pod brodę, a potem, figlarnie grożąc tłustym palcem, zawołała :

— Oj! bałamut z kawalera, bałamut! Ot i mnie, starą babę, od wczorajszego wieczora zbałamucieś! No, siadaj-że tu pomiędzy mną a *moim*. Franka! piérog już upiekł się?

— A jakże! — przyskakując do pieca, zawołała

dziewczyna — a jaki dobry będzie! Takem go długo miesiła, miesiła!

Rętko, w wielkich okularach na czerwonym nosie, czytał, a raczej półgłosem syllabizował, podarty i otłuszczony tom *Zbioru praw*. Złożył książkę, zdjął okulary, wychylił kieliszek wódki.

— A ty nie pijesz pewnie, hę? delikacik taki — zwrócił się do Ławicza.

— I chwalić Pana Boga za to, że nie pije — zawołała Rętkowa.

Franka zapatrzyła się na Ławicza tak, że o mało dymiącego piéroga z mięsem na głowę Rętki z wyszczerbionego półmiska nie zrzuciła.

Marzyło się jej może zawsze o kawalerze takim, co-by wódki nie pijał. Nachylając się ku Rętkowej, do ucha jej szepnęła:

— Ciotko! *On* przy wujaszku to jak królewicz jakiego wygląda, dalibóg, że jak królewicz!

Przez cały czas obiadu, i z godzinę jeszcze potem, Rętko rozprawiał o ustawach i artykułach prawnych, o *pałacie, mirowych*, procesach i kryminałach różnych, jako też o prywatnych sprawach i stosunkach ludzi, do najrozmaitszych warstw społecznych należących. Kiedy zaś Rętkowa kazała France rozniecić ogień i gotować przy nim na podwieczorek kawę ze śmietanką, z fajką przy ustach usiadł blisko ognia, i całą postawą swą, jako też wyrazem twarzy, przedstawiał

obraz doskonałego spokoju i zadowolenia ciała i ducha.

Duża, niska izba Rętków, z miejsca pełnego śmiecia, pyłu i smrodliwej zaduchy, jakiem była dawniej, od przybycia tam Franki, przemieniła się w mieszkanie, pełne prostego, wiejskiego prawie wdzięku.

Znajdowały się tam w ilości znacznej ławy, stolki i czerwono pomalowane komódki; były też dwa łóżka, wysoko spiętrzone dostatnią pościelą; stara kanapa z złotymi poręczami, oszklona szafka z parą stłuczonych szybek, i pomiędzy oknami lusterko na ścianie, a pod niemi stolik z krucyfixem, fotografią obojga Rętków i lampką, napełnioną łojem, a palącą się przed jaskrawo malowanym obrazem Najświętszej Panny Ostrobramskiej. Wszystko to połyskiwało teraz od czystości.

U otwartego na dziedziniec okna, Franka, z dumą wskazując na sprzęty te, szeptała:

— O mało mi ręce nie poodpadały, takem to wszyscyutko przez trzy dni myła a myła, a szorowała. Za to teraz ciotka i wuj niby w pałacu sobie mieszczą! Niech im to będzie na zdrowie! dobrzy oni ludzie, oj, dobrzy!

Zresztą, izba ta wyglądała jeszcze nakształt jakiejś ogrodowej altany. Franka, na rzecz ciotki, wuja i swoje, rabowała formalnie mały ogródek, do kamienicy tej należący. Zieleni różnej, kwitnącej i niekwitnącej, była tu moc wielka. W więzie powiązana

stała ona w garnkach u okien, na komódkach, w różnych stronach i kątach izby, zwieszała się z belek niskiego sufitu, podłoga nawet była usypaną liściem ajeru, po który Franka aż na rynek biegała, a zapach ajeru i bzu pochłaniał bez śladu łojowy smród palącej się przed krucyfixem lampki, i wonie spożytego przed godziną obiadu.

Rębko słodko drzemiącym wzrokiem dokoła siebie wodził.

— Niech będzie Pan Jezus pochwalony! — wymówił — tak mnie ot dobrze w chacie mojej, że i na nieszpory nie chce się iść!

— Bo już i po nieszporach, wujaszku! — z głośnym śmiechem zawołała Franka. — Dawno już dzwonili!...

Rębkowa obudziła się z drzémki i w ręce żałośnie klasnęła:

— Po nieszporach! a ona się dziś tak na nieszpory wystroiła, i przytém chciała pomodlić się za szczęście młodej pary!

Zaledwie wyrzekła to, Franki nie było już w izbie. Ponsowa, jak piwonia, wyskoczyła na dziedziniec.

Rębko zwrócił się do Ławicza:

— To i jakże będzie? — zapytał — czy stanie na miejscu? interes nasz skończony, hę?

— Skończony — odpowiedział Ławicz, który, wychylając się przez otwarte okno, widział Frankę przysiadłą na wschodach, z rękoma splecionymi, jak do

modlitwy, a twarzą w rumieńcach, uśmiechach i łzach. Widać było, że rozkochaną dziewczynę porzywały zarazem płacz, śmiech i pragnienie modlitwy.

W tej samej prawie chwili, do mieszkania Rębków schodzić się poczęli zwykli niedzielni ich goście. Był tam kolega Rębki, daleko mniej od niego wspaśniały, owszem, pokornie wyglądający posługacz Izby, w surducie z zielonym kołnierzem; był *człowiek* Mikołaja Hilaryonowicza, czyli lokaj Prezesa Izby, z fizjonomią poważną, gęsto zarosłą, a barwą cery swęj świadczącą o silném zamiłowaniu w rozgrzewających napojach; był jeszcze inny jakiś *człowiek*, czyli lokaj, młody, zgrabny, wystrojony, w którego krawacie błękitność aż oczy rwała, w glansowanych rękawiczkach i z ładną laseczką w ręku; był jakiś *dzięszczyk* jakiegoś majora, w żołnierskiem ubraniu, z twarzą smutną, mizerną, a oczyma pełnemi tęsknoty, za tą może wioską rodzinną, z której niedawno do wojska go wzięto, i ów stryjeczny brat Franki, Józefek Rębko, *kancelarysta* głupowaty, z osowiałemi oczyma, w butach trochę podartych, a z czapką, na której świeciła srebrna gwiazdka. Powoli towarzystwo zwiększało się coraz. Przyszło parę przyjaciółek Rębkowej, tak jak ona niedzielnie nastrzępionych falbanami i wstążkami, i dwie czy trzy dziewczyny, córki rzemieślników, w sukniach wykrochmalonych i z wyfiokowanemi głowami. Kobiety przychodziły z nieszporów, więc mia-



ły wszystkie grube książki do nabożeństwa, które z poszanowaniem składały przed fotografią Rębków i palącą się łożową lampką. Stróż Izby, z zielonym kołnierzem, przyniósł z sobą harmonikę, a ładny lokaj, w błękitnym krawacie, funt orzechów włoskich w prezencie dla pani Rębkowej niby, ale, prezent ten gospodyni mieszkania wręczając, zerkał z ukosa na Frankę, która, bocząc się od miejskich dziewcząt gadatliwych i wyfiokowanych, i od głupowatego Józefka, który za rękę wziąć ją popróbował, miała widoczną ochotę schować się pomiędzy piec a szafę.

— Licho ich tu wszystkich naniosło! — szepnęła, i z trwogą w oczach skoczyła za Ławiczem, który z czapką w rękę wysunął się z izby.

Po kilku minutach wrócili razem, a w izbie było już bardzo gwaro. Za stołem, z łokciami na stole, siedział Rębko, a przed nim, w towarzystwie dwu czarerek cynowych, stała butelka wiśniowej nalewki. Rębkowa tłukła przed ogniem jaja na jajecznicę, a do Franki zawołała:

— Lampę zapal!

W dziedzińcu zapadł zmrok. W mieszkaniu Rębków, w mieszaném świetle sporój lampy i palącego się na kominie ognia, ludzie ruszali się, jak mrówki, i gwarzyli, jak rój pszczół. Rębko pił sam i gości częstował. Kolega jego z zielonym kołnierzem pił niewiele, milczał i tylko od czasu do czasu rozciągał harmonikę swą, która wydawała przeciągłe, skrzypiące

dźwięki. Za to *człowiek* Mikołaja Hilaryonowicza wychylał czarzkę za czarzką i śmiał się z lokaja w błękitnym krawacie, który, na nalewkę patrzeć nawet nie chcąc, z krzyżąciami i chichocząciami dziewczętami grał w kota i myszkę, i z młodego *dzięszczyka*, który, jedną tylko czarzkę wychyliwszy, wodził oczyma po napełniającej izbę zieleności, a nabrawszy w garść z podłogi liści ajerowych, zapach ich zawzięcie w nos sobie wciągał.

— Ej! ej! — na *dzięszczyka* patrząc, zawołał Rębko — co to ty, Jaśku, zielsko te tak wachasz? czy ci to zdaje się, że gdzieś za swoim *siólem* nad brodem jakimś siedzisz, a na dziewczkę swoją czekasz, a żaby ci w uszy same śpiewają: *kum! kum! kum-kum!* — Ej, bratku, darmo wołać tego, co minęło! Minęło sióło twoje i minął twój bród z ajerem, i dziewczka za kogo innego poszła, a żaby na jej weselu śpiewały o tobie: *kiep! kiep! kiep-kiep!*

Otoczający butelkę z nalewką mężczyźni i starsze kobiety pokładali się od śmiechu. Jasiek wychylał podaną mu czarzkę, a Rębko, patrząc na niego, dalej prawił:

— Widzicie bo, ludzie mili, ja tego młodego *sołdata* bardzo lubię, bo kiedy na niego patrzę, to wydaje się mnie, jak bym na samego siebie patrzył. Ile tobie, Jasiek, lat może być? Młody ty jeszcze! I ja taki sam byłem, kiedy z okolicy swojej rekrutem w świat ruszałem. A rekrutem. Bo choć Rębkowie

szlachcą są z dziada pradziada, ojciec nieboszczyk legitymacyi nie zrobił. Nie zrobił i koniec. *Odnodwozecz* jesteś i do wojska marsz! Kiedy marsz, to marsz! A tu, Boże mój! lato na świecie, niby raj, chłopcy konie w nocy na łąkach pasą, w kościele na majowe nabożeństwo do Najświętszej Panienki Maryi dzwonią, matka płacze, aż ryczy, siostry obejmują, a dziewczucha, Kazimiera ta, com się w niej kochał, za opłotkiem z Wickiem Rębką szepce się i *ryhocze*... Mało mnie wtedy dyabli nie wzięli z żalu, a ze złości... — Ale kiedy marsz, to marsz! — zaśpiewałem sobie...

Tu otworzył szeroko usta, rozpostarł ramiona i głosem olbrzyma zawył raczej, niż zaśpiewał:

„Bywaj mi zdrowa, wiosko kochana...“

Jasiek, wychylając trzecią czarękę, i *człowiek* preze-sa, z dobrze już zaczerwienionym nosem, i para starszych kobiet, podjęli chórem:

— Tra-ra-ra-ra, tra-ra-ra-ra!

Wrzask to był niesforny i pół pijany, zawadzony na tęskną nutę. Towarzyszyły mu skrzypienia harmoniki, chichot dziewczyn, ściganych po izbie przez młodzieńca w błękitnym krawacie, szum i pisk gotującego się przed kominem samowara, i świerczenie smażącej się na ogniu jajecznicy ze słoniną. Rębko, któremu oczy coraz silniej błyszczały, stuknął pięścią w stół i krzyknął:

— Kiedy bal to bal! Babo, dawaj tu jeszcze butelek i wszystkiego, czém chata bogata! Na expens nasz, ludzie mili, nie uważajcie, a pijcie i jedzcie, *z przynuką i bez przynuki!* Co dla mnie expens znaczy! Póki głowę na karku mam, pótym sobie pan, o nic nie dbam! Na wojnach bywałem, znaki zasług moich na piersiach noszę, co mnie już nikt nie odbierze... a i na plecach moich *tak samo* znaki noszę, co mnie już ich nikt nie zagoi... różnie bywało!... Pół świata zwędrowałem, a potem... ej! ej! ej!... do okolicy swojej rodzonej wróciwszy, krewniaczkę swoją pojąłem i żonkę mam, jak różę, piękną, a sam Mikołaj Hilaryonowicz zna mnie i, jak koło mnie przechodzi, zawsze choć głową kiwnie... Ej! ej! Jasiek! nie smuć się ty i *siola* swego nie żałuj... Będzie z tobą tak, jak ze mną... Na człowieka wyjdiesz!

Zawierucha w izbie stawała się coraz większą. Dziewczyny w krochmalnych sukniach szklanki z gorącą herbata porywały, ukropem tym pryskając na kawalerów, którzy im w zamian kawałki chleba i bułek w twarze ciskali. Ktoś potknął się o rzucony na ziemię orzech włoski i upadł, wywołując tém uciechę powszechną. Rębkowa, która, smażąc jajecznicę i ze swęj strony też rozmową zabawiając gości, nieznacznie dzióbnęła była parę czarek nalewki, płakała, przed przyjaciółkami swemi, zapychającymi sobie usta chlebem, jajecznicą i siekanym czosnkiem, stojąc, a oczy

chustką do nosa, część niedzielnego stroju stanowiącą, ocierając, mówiła:

— Jezu Panie! Dziewucha ledwie nogą tu stanęła, już sobie męża znalazła. I jakiegoż jeszcze? Z pewnej rodziny, miłe moje, pochodzi, z wielką edukacją człowiek i taki delikatny! *Herezyi* żadnych robić jej nigdy nie będzie, a panią ją uczyni...

Rębko wysunął się z-za stoła i z czarką w ręku, zarumieniony i rozrzuwiony, od jednej do drugiej z osób obecnych przychodził.

— Cieszcie się, ludzie mili — mówił — na moim dworze dziś święto wielkie... bratanicę za mąż wydaję... za adwokata... ej! ej! za adwokata wychodzi... za panicza z rodziny pięknej i z edukacją wielką...

Powinszowania rozległy się dokoła. On zaś, bardzo jeszcze niemi rozrzuwiony, otwierał ramiona i obejmując każdego, kto się powinał, a cmokając w twarz mężczyzn i starsze kobiety, i nawet uciekające od niego dziewczyny całować próbując, wciąż monotonnym głosem prawił:

— Cieszymy się, ludzie mili, radujmy się... my wszyscy *katoliki*... całujmy i radujmy się.. wszyscy my *katoliki*...

Dziewczęta otoczyły Rębkową.

— Kiedy zaręczyny, to niech-że będą z tańcami! — krzyczały.

Kawaler w błękitnym krawacie całował gospodynią w rękę, o tańce prosząc. Józefek, z osowiałym

wzrokiem, nogami w podartych butach, wybijał hołupce.

— Wszyscy my *katoliki* — prawił Rębko, cmokając ustami w prawo i w lewo, ku policzkom męzkim i kobiecym.

Nagle stanął, nogą o podłogę uderzył tak, że aż zadzwoniły na stole talerze i czarki, i krzyknął:

— Ej! ej! Ludwik! graj!

Ludwik, to jest kolega Rębki z Izby, milczący i pokorny człowieczyzna z zielonym kołnierzem, rozciągnął harmonikę swą w całej jej długości i, pracowicie walcząc z opornością instrumentu swego, zaczął wygrywać polkę. Wyskrzypiał ją raczej, niż wygrywał, lecz, co prawda, nikt w muzykę jego wsłuchiwać się nie myślał. Paweł Rębko porwał w pół swoje żonę i począł z nią, na samym środku izby, wykręcać chłopską *miecielice*; kawaler w błękitnym krawacie, objąwszy jedną z dziewczyn, z łokciem odstawionym i spiczasto sterczącym, tańczył polkę do najwyższego stopnia *tremblante*; człowiek Mikołaja Hilaryonowicza z dziewczyną drugą puścił się wzdłuż izby, posuwistym galopadowym krokiem. Nad podłogą, usypaną piaskiem, podniósł się tuman kurzu. Z tumanu tego, zkądcis z pod pieca, wyskoczyła Franka, odepchnęła Józefka, który, *solo* wybijając hołupce, wlaź jej w drogę, i do Ławicza przyskoczyła. Ławicz, jak kiedyś w drzwiach pięknego i wytwornym mazurem wrzącego salonu, tak teraz stał u drzwi izby, napeł-

nionej wrzaskliwemi krzykami i tupaniem niesfornych kroków. Jak wtedy, tak i teraz patrzył na zabawę ludzką, jako świadek, ciekawy z razu, potem obojętny i znużony. Lecz dziewczynie muzyka, śmiechy ludzkie, a nadewszystko wyraz: zaręczyny, wesoło na sercu zagrały. Perłowe zęby jej błyszczały w śmiechu, nogi zdawały się zrywać do tańca. Błagalnie prawie na narzeczonego spójrzała:

— Potańczmy! — szepnęła nieśmiało z razu, a potem, składając ręce, coraz natarczywiej, niecierpliwiej mówiła: — Potańczmyż! nużel ja z nimi nie chcę! Potańczmy razem!

Ale on porywczym giestem chwycił ją za rękę i z izby na dziedziniec pociągnął. Dziedziniec to był brzydki, wązki, brukowany, wysokimi murami otoczony, i w jednym tylko kącie szarzejący zielenią małego ogródka. Ale cicho tu było i od letniego wieczora świeżo, a w górze kawałek ciemnego nieba błyszczał gwiazdami.

Usiedli oboje na wschodkach; Franka zasmucona wpatrywała się w narzeczonego, który na nią nie patrzył.

— Zygmuś! — szepnęła, i widać było, że wnet złąkla się i zawstydzila śmiałości własnej.

On objął ją i ku sobie pociągnął. Wciąż jednak nie mówił nic i nie patrzył na nią.

— Zygmuś! — powtórzyła bardzo cicho — czego ty na mnie gniewny?

Teraz w twarzy jej, podniesionej ku niemu, zatopił wzrok smutny i jakby badawczy.

— Franko moja — rzekł — ja nie gniewny na ciebie, za cóż-by? Myślałem tylko, czy ty ze mną szczęśliwą będziesz?

— Oj, oj! — westchnęła i uśmiechnęła się zarazem.

— Posłuchaj! tobie, młodej takiej, trzeba-by może młodego, wesołego chłopca...

— *Abo* ty stary, Zygmuś? — zaśmiała się głośno.

— Nie, ale lata krótkie bywają czasem długimi, a są na świecie myśli, prace, cierpienia, które człowiekowi prędko młodość odbierają. Ot widzisz, ja bawić się tak, jak tam bawią się, nie umiem, i nijak nie umiem...

— A czemu? — spytała.

— Nie przywykłem.

Popatrzała na niego długo, niespokojnie.

— Zygmuś! — zawołała — ty czegoś doprawdy smutny!

Twierdząco skinął głową.

Zapominając o nieśmiałości i wstydzie, porywczym ruchem szczerzej a strwożonej miłości, zarzuciła mu na szyję oba ramiona.

— Zygmuś mój! — zaczęła — słonko ty moje złote! nie smuć się ty, i nad złą dolą swoją, co minęła, nie dumaj, ale nad dobrą, co do nas zaśmieje się,

kiedy pobierzem się już i żyć razem będziemy. Zobaczysz, będziemy my sobie żyć, jak król i królowa. Ty jeszcze nie wiesz, jaka ja! Zkądże? Ot, zdaje się, jedna tylko minuta minęła, odkąd my na siebie piérwszy raz spojrzeli! Ja nie złoźnica! U mnie charakter taki, że zawsze tylko śmieję się, a śpiewam; żeby mi tam nie wiem jak kto dokuczał, to słóweczka nie pisnę, hyle prędzej zgoda była! I ja *tak samo* dobra gospodyni będę. Ręce u mnie nie leniwe, rozumiem wszystko, co i jak zrobić trzeba, a czego nie rozumiem, to prędko nauczę się, bo gospodarstwo strasznie miłuję. Toż i widzisz, słonko moje, że martwić się tobie niema czego. Biędzy nie lękam się, nie w bogactwie wzrosłam, to czy u nas bięda, czy bogactwo będzie, ja nigdy ani złować, ani *jak druga* kłócić się z tobą nie będę, a tylko tego doglądać, żebyś ty, ptaku mój, spokojną głowę miał i wygodę wszystkie... Ja tobie, ptaku mój, jak ta jaskółka, znosić będę wszystko i do dzioba wkładać, żeby ci zdrowo i miło było... ja nad tobą, jak ta jaskółka, skrzydła rozprostę, żeby ci...

Nie mogła dłużej mówić, bo jej usta zamknęły się pod jego pocałunkami. Po długich dopiero kilku minutach, schylony nad nią i wpatrzony w nią wzrokiem, w którym zachwycenie dziwnie mieszało się z niepokojem, mówić on zaczął:

— Franko moja, ja wiem, żeś ty dobra i że mnie kochasz bardzo, i że miłość kobiety dobrój jest

wielkim skarbem; ale wiesz? dziś nagle jakoś przyszło mi do głowy dziwne marzenie, a tak cudne, że mi od niego aż smutno zrobiło się i straszno... Gdybyśmy z sobą nietylko kochać się, ale kiedykolwiek, choć kiedykolwiek, nieprędko, czasem myśleć razem mogli... Widzisz! ja tak do myślenia nad różnemi rzeczami przywykłem, że aż zapomniałem, co to jest być wesołym, i tak teraz zapragnąłem, abyś ty kiedy myśli moje podzielić mogła, i kochać to wszystko, i uwielbiać, com ja przez tak długie, długie lata kochał i uwielbiał! Patrząc na tych ludzi, którzy tam tak wesoło bawią się i hałasują, pomyślałem sobie, że ja nie dla nich i oni nie dla mnie, że więc i ty, żyjąc ze mną, inną trochę stać się powinnaś. Inną... poważniejszą, wznioślejszą, bliższą oświaty... Ale wszak ty zechcesz stać się taką, nie prawdaż? Wszak zechcesz pracować trochę nad sobą, aby do prostoty swój i instynktowej poezji, i wrodzonej dobroci, które w tobie uwielbiam, dołączyć trochę wiedzy, światła, myśli, zdolnej zrozumieć to, co na świecie najlepszym jest i najpiękniejszym? Prawda, że zechcesz postarać się o to.. że zrobisz, o co cię proszę? prawda? prawda?

I obejmując ją namiętném ramieniem, a z pod brwi, boleśnie prawie ściągniętych, w twarz jej patrząc, pytanie to powtarzał. Ona, zasmucona i dziwnie zarazem zakłopotana, załamując ręce i szeroko otwierając oczy, odpowiedziała:

— Jezu! czemuż-bym zrobić nie miała, gdybym zrozumiała, co ty do mnie gadałeś! Ale biedna-ż moja główka! Ja nie wiem, Zygmuś, czego ty chcesz ode mnie!

---

## XI.

Pięć lat minęło. Znaczna część mieszkańców X. zna i widuje często Zygmunta Ławicza, obrońcę sądowego, który, pomimo braku kwalifikacji naukowych i urzędowych tytułów, posiada klientelę dość znaczną i byt materyalny, średnim dostatkim będący. W mieście niemałym, ale i niewielkiem także, ściąga on na siebie uwagę prawie powszechną, przez to szczególnie, że uchodzi za wielkiego oryginała i dziwaka. Już sama powierzchowność jego odznacza się cechami niezupełnie pospolitemi. Szczupły i, od długiego jakby pochylenia się nad czémś, na przód nieco podany, przy pierwszych spotkaniach z ludźmi jest on zawsze nieśmiały i niezgrabny, a ubranie jego, zarówno jak całe obejście się, świadczy o zupełnej nieznaności form światowych i panujących mód, albo też o głębokiem ich lekceważeniu. Wcale też nie ubiega się on o stosunki z ludźmi, owszem, unikać ich się zdaje, a napewno już wyraźnie unika wszelkiego zetknię-

cia się z wyższemi sferami towarzystwa, o których odzywa się czasem w sposób okazujący, że, znając je niejako teoretycznie tylko, ani dobrych stron ich dojrzeć, ani złych usprawiedliwić nie może. Wogóle sądzi on świat i sprawy jego ze stanowiska różnych teorii i zasad z bardzo wysoka. Dlatego też powiadają o nim, że ani do majątku, ani do pogodzenia się z różnostronną rzeczywistością świata tego nie dojdzie nigdy. Na drodze do zrobienia majątku stoi mu to, że z jednej strony, unikając stosunków z wyższém towarzystwem, nigdy prawie do czynienia nie ma z ludźmi zamożnymi, z drugiej zaś, że, obarczając się samemi drobnymi sprawami, i pracując nad niemi wiele, żąda od nich tylko uczciwych zarobków. Że zaś, zapatrując się na rzeczywistość z wysoka, ani ukochać jęj, ani nawet pogodzić się z nią nie może, zdradza się to w wyrazie twarzy jego, znużonym i rozdrażnionym czasem, a czyniącym go daleko starszym, niż jest w istocie.

Niektórzy usposobienia te młodego obrońcy przypisują szczególnym warunkom rodzinnego jego życia. Powszechnie stało się wiadomém, że jest on bardzo wykształconym, że zna kilka obcych języków i nad naukami różnemi długo pracował; o żonie zaś jego krążą pogłoski, że czytać zaledwie umie, a pisać to już wcale nie, a głowę posiada tak tępą, że jęj nawet towarzystwo wykształconego męża i jakie takie otarcie się w świecie, oświecić nie mogły. Wprawdzie

Franciszka Ławiczowa jest kobietą bardzo przystojną; ci jednak, którzy znali ją dawniej, utrzymują, że od wyjścia za mąż zeszeptniała znacznie. Jak zwykle bywa, tęgiej i rumianej wieśniaczce modne suknie i kapelusze miejskie nie są wcale do twarzy, a czas zresztą i macierzyńskie zachody uczyniły oczy jęj daleko mniej podobnemi do kwiatów lnu. Z obejścia się jęj i sposobu mówienia, z kapeluszy jęj, nazbyt obciążonych kwiatami, jako też z rodzinnych jęj stosunków, śmieją się wszyscy, którzy tylko choć trochę ją znają; z kąd inąd jednak wiedzą też wszyscy, że jest ona gospodynią pracowitą i kobietą pilnie oddaną domowi, mężowi i dzieciom. Jest ona dobrą dla matki męża, która oddawna już zamieszkała w ich domu, a za mężem przepada i w słowo jego każde, jak w świętą Ewangelią, wierzy. Nikt też nigdy nie słyszał, aby Ławicz uczynił w domu jaką „herezją”, i nie widział, aby w czémkolwiek żonę ukrzywdził. Owszem, obejście się z nią jego przyjazném jest i troskliwém, jakkolwiek dość chłodném także. Dzieci swe żdaje się on kochać bardzo, a nawet ich-to tylko widok czyni go czasem mównym i wesołym.

Czasem, nieczęsto, ożywia się on i pośród ludzi, a zdarza się to wtedy mianowicie, gdy w jakimkolwiek ich zebraniu, w sposób bardzo wyjątkowy, rozmowa wchodzi na tor naukowych, albo społecznych spraw i zagadnień. Wtedy podnosi on głowę, prostuje się, oczy mu błyskają, mówić zaczyna, i mówi z co-

raz większym zapałem, rozwijając znaczny zasób wiedzy i bardzo nieraz oryginalne na rzeczy poglądy. Lecz trwa to zazwyczaj krótko i najczęściej, w chwili najbardziej zapalonego dowodzenia, lub opowiadania, stygnie on nagle, zachmurza się i milknie, albo odzywa się urwanem tylko słowem sarkazmu, lub zniechęcenia. Z tych rozmów jego zresztą widać, że teraz już czytuje niewiele, z przyzwyczajenia tylko i pozostałych resztek namiętnego dawniej zamiłowania. A gdyby nawet namiętność ta i trwała w nim dotąd, nie miał-by on ani czasu, ani możności oddawać się pracy umysłowej. Zajętym jest bardzo pisanem urzędowych podań, obron, skarg, i różnemi zresztą około interesów zachodami. Przytém mieszkanie obrońcy na małą skalę jest też dość małym, a zaludniają je krzątające się kobiety i pieszczone dzieci. W saloniku Ławiczów, czémś zielonóm obite krzesła, sztywném kołem otaczają stół, na którym nic nie leży, umieszczony przed kanapą, na której nikt nigdy nie siedzi. Pusto tu, nago i życia niema ani śladu.

Życie za to zgiełkliwe i gospodarskie, złożone z głośów sług, dzieci, przychodzących z prowizyami przekupni, wiecznie, a żarliwie gospodarzającj pani domu, odwiedzających ją członków jój familii, odbija się tuż o ścianę i drzwi malutkiej pracowni pana domu, w której też od wczesnego ranka do południa rozlega się gruby gwar siermiegowych, kapotowych i chałatowych klientów. W południe, Ławicz wycho-

dzi z domu i udaje się do sądów; po obiedzie, zmęczony, sypia czasem, lecz często i coraz częściej wychodzi znowu, i do sławniej w X. cukierni Markusa udaje się na kufel piwa i partya bilardu, lub szachów. Szachy polubił szczególniej i spędza nad nimi czasem długie godziny. Czasem też grywa w domu. Do domu z cukierni wróciwszy, długo za północ pisze podania, obrony, skargi...

Niedawno, dnia pewnego, w porze poobiedniej, w niezgrabnym paltocie swym, w kapeluszu dziwacznej formy i z cygarem przy ustach, wszedł on do cukierni Markusa. Niezgrabne paltoty nosi on dlatego, że nie lubi długich rozmów z krawcami, a dziwaczne kapelusze dlatego, że, choć dziwaczne, ale są mu wygodne. Cygara zaś pali już oddawna, ale byle jakie, zarówno, jak gotów jest zawsze w byle co ubrać się i byle co jeść. Wszedłszy do cukierni, nie udał się, jak zwykle bywało, prędkim swoim, pochylonym trochę krokiem, do drugiego od wejścia pokoju, gdzie znajdował się stół, przy którym siedzieć już był przywykł, lecz zatrzymał się u progu i, podejmując kapelus, z akcentem zadziwienia wymówił:

— A! proszę! no, spotkanie!

Wyrazy te i towarzyszący im cień zadowolonego uśmiechu wywołane zostały widokiem dwu ludzi, którzy, przy jednym z ustawionych w pokoju stolików siedząc, jedli i pili.

— Zygmunt Ławicz! — jednogłośnie zawołali



obaj, powstali z miejsc i ręce do wchodzącego wyciągnęli.

Jeden z nich był w ubraniu oficera wyższej rangi, błyszczącym od metalowych ozdób obcisłego mundura, i kiedyś pięknym widocznie chłopcem. Kiedyś. Teraz bowiem dawna wysmukłość jego zamieniła się w chudość, świeżość cery w niezdrową żółtość, na czołe miał trochę zmarszczek, a nad czołem sporą łysinę.

Drugi za to z dwu mężczyzn przedstawiał sobą najpiękniejszy obraz fizycznego kwitnięcia. Otyły prawie, z twarzą rumianą i połyskującą, z pulchnemi, białemi, jak u kobiety, rękoma, i zawieszonym płowym wąsem, patrzył on na świat parą poczciwych, dobroduszych, przygasłych i osowiałych oczu.

— Jak się masz, Michale? jak się masz, Zegrzda?

Zanim usiadł przy jednym z nimi stole, na znak powitania skłonił głowę w stronę pokoju, w której samotnie, przy małym stoliku i nad filiżanką czarnej kawy, siedział z gazetą w ręku Maryan Dębski. I on także zmienił się nieco przez czas ubiegły, mniej jednak od Zegrzdy i Kaplickiego. W postawie jego była zawsze siła i duma, a chłodna, myśląca twarz, w ramy krótkiego zarostu ujęta, trochę tylko przedwczesnych zmarszczek i zmienionym nieco zarysem ust zdradzała treść lat przeżytych.

Zegrzda uściskał Ławicza, Kaplicki chciał go też

ucałować, ale on, jednym już uściskiem zadowolony, uprzejmie tylko dotknął ręki dawnego przyjaciela. Nie było w tém nic dziwnego, że się spotkali. Kaplicki przybył do miasta za interesami, Zegrzda zatrzymał się tu na czas jakiś z półkiem swoim. Cukiernia była dla obu ucieczką przed nudami. Przed Kaplickim stały ciasta i przekąski, przed Zegrzdą poncz i likiery. Ławicz kazał podać sobie swój, od czasu pewnego codzienny już, kufel piwa. Rozmowa zawiązała się, ale niezbyt ożywiona. Po serdeczności pierwszego od wielu lat spotkania, ludzie ci ochłodli i zdawali się być zupełnie prawie względem siebie obojętnymi. Najczuliej jeszcze, przy spozieraniu na dawnych przyjaciół, wyglądały oczy Zegrzdy; wprawdzie przypuszczać można było, że wypróżniona szklanka ponczu dodawała im blasku i ławości. Mówił dużo i, językiem niewiele poprawniejszym od tego, jakiego używał Paweł Rębko, opowiadał o wojnie, w której przed dwoma laty uczestniczył.

— O! — rzekł Ławicz — wiemy, wiemy o tém! imię twoje roznosiła po świecie trąba sławy. Czytaliśmy o tobie. Odznaczałeś się odwagą, brawurą... ale za to, pozwól, abym, korzystając z dawniej poufałości koleżeńskiej, powiedział ci, że z gramatyką naszą obchodzisz się fatalnie...

Zegrzda zmieszał się i rzekł prędko:

— Przepraszam, przepraszam, sam to czuję, ale...

Nie dokończył — i, jakby wstydząc się własnego zmieszania, z fantazyą i śmiechem zawołał:

— A ty, Zygmuncie, zawsze taki sam, jak byłeś? No, no! jakże tam mają się filozofowie twoi?

— Filozofowie moi nie są już moimi filozofami — powoli kufel do ust niosąc, odpowiedział Ławicz.

— Czy tak? A no, bratku, różnemi drogami chodząc, do jednego punktu widać doszliśmy... Jeden piérwój filozofią rzucił, drugi później... jedno lichy! Aleś ty zawsze szczęśliwszy ode mnie, ha! tysiąc razy...

— Jakto? więc już nie bawisz się dobrze?

— Dokuczyla zabawa — i — wszystko dokuczyla!

Zwiesił głowę nad szklanką, zadumał się, milczał...

— No! ale jakże, Zygmuncie, naprawdę, powodzi ci się teraz? — zapytał Kaplicki.

— Bardzo dobrze — odpowiedział Ławicz.

— Chwała Bogu! cieszę się z tego! winszuję ci serdecznie! Co do mnie, nie mogę tego o sobie powiedzieć. Kłopoty... interesa... Ot, przeszłego roku stratę miałem ogromną. Spłonęła mi od pioruna stodoła, do połowy już zbożem napełniona, i wiesz co? żeby kobiety moje nie zaczęły obnosić dokoła dworu chleba świętój Agaty, spłonął-by dwór cały...

Ławicz uśmiechnął się, ale Kaplicki nie spostrzegł tego.

— Powiadam ci — mówił — że tak przestraszeni byliśmy tym wypadkiem, że ja i żona postanowiliśmy koniecznie mieć teraz w domu dzwonek Loretański.

— Cóż to takiego ten dzwonek?

— A no, nie wiesz? Ale prawda, z ciebie zawsze był niedowiarek. Ja znów nie wdaję się w rozumowania żadne. Ojcowie moi wierzyli i żona wierzy i, prawdę rzekłszy, ta tylko pociecha człowiekowi na tym świecie...

— A żona? — przerwał Ławicz.

— Cóż żona?..

— Pociechą nie jest?

Poczciwa twarz wieśniaka zmąciła się. Otworzył usta i sam nie wiedział, co do powiedzenia miał. Zegrzda wybałił go z kłopotu.

— Co ty, Zygmuncie, o kobiety pytasz! to ty jeszcze myślisz, że z nich może być komu pociecha jaka? Ot, niewiniątko! kobiety, mój drogi, potrzebne są na świecie tylko...

— Przepraszam — dość żywo przerwał Kaplicki — kobiety nasze są poczciwe i zacne...

— Może tam wasze, po wsiach, wielkie panie — odrzekł Zegrzda — ale czegom się ja w wojskowym życiu mojem napatrzył! czegom doświadczył sam... ha!...

— A majorowa? — rzekł Ławicz.

— Ha, ha, ha, ha! — śmiał się Zegrzda.

— No, bo widzisz — przerwał Kaplicki — w różnych klasach towarzyskich różne panują cechy, zwyczajaje. Od klasy wszystko zależy...

— Wszystko? — zapytał Ławicz.

Wieśniak znowu zmieszał się trochę.

— No, nie wszystko może... ja bo, widzisz, nie uczony i nie adwokat, żebym tak zaraz każdą rzecz argumentalnie i detalicznie wyłożyć umiał... Ale, że człowiek człowiekowi nierówny, to pewna!

— Najpewniej — potwierdził Ławicz — tylko w jakim sensie?

— Ot sens najlepszy! — zawołał Zegrzda, śmiejąc się i na poncz wskazując. — U tego Markusa wszystko, jak było, tak jest, wyborne. A człowiek już przywykł... włóczęc się po świecie! Wspomnisz bo sobie dawne lata i dawne marzenia swoje, a robak żalu w serce cię ugryzie... zaléj robaka! Wspomnisz sobie, jak to kiedyś kochałeś i wierzyłeś, i człowiekiem zostać chciałeś, a zostałeś... zaléj to, co minęło i już nigdy nie wrócił! Krzywdy doświadczysz, pominać cię honory i łaski, a za wszystko, co zrobisz, pstryczka w nos dostaniesz... zaléj złość! Zbrzydnie ci i robota, i zabawa twoja... zaléj nudę! Ho, hol pamiętam ja jeszcze piosnkę jakąś starą, którą nieboszczyk dziadunio, mąż mojej nieboszczki babuni, zażywając tabakę, śpiewał: „Na frasunek dobry trunek!”

Rumieńce wystąpiły mu na policzki. Mówił z razu ze śmiechem, potem z błyszczącymi ponuro oczy-

ma, przy ostatnich wyrazach zanucił i, rozpierając się na krzesło, z brzękiem ostróg daleko przed siebie nogi wyciągnął. Kaplicki zdawał się być zmieszany trochę i niespokojnie oglądał się, w celu zapewne przekonania się, czy ktokolwiek ze znajomych jego nie widzi go w towarzystwie podpiłego i w cukierni śpiewającego oficera. Sam on, w tém miejscu publiczném, mówił z cicha, i znać było po nim ścisłą dbałość o najdrobniejsze odcienie przyzwoitości.

— Mój Zygmuncie — zaczął — słyszałem, że interesami zajmujesz się teraz... ja to mam swego plenipotenta, ale chciał-bym bardzo twoje zdanie posłyszéć... Mam teraz, uważasz, dwa procesa: jeden z chłopami o zabranie mi łąk, drugi...

— Z żydem — podjął Ławicz.

— Ej nie! Z żydami... swoją drogą... Ale teraz, uważasz, z *Uradnikiem* zadarłem się... ot co! Żona mówi, że niepotrzebnie... może to i prawda! Ależ aniół nie wytrzyma... nie w swoje, uważasz, włożył... rękami zaświerbiała...

Tu zatrzymał się. Przygasło oczy jego błysnęły.

— Ot, wicie co! mówiliście coś przed chwilą o filozofach: pamiętam, że kiedy nieboszczyk ojciec odbierał mię ze szkół, powiedział: „filozofem nie będziesz, a gospodarzem zawsze być potrafisz”. Słowo honoru, mówię wam, że teraz z gospodarstwem i interesami naszymi, to filozofem całą gębą być trze-

ba! Cóż naprzykład ja? Nie gram w karty, nie piję, nie hulam, domu na wielką stopę nie utrzymuję, i tyle tylko, że żona tam czasem za granicę pojedzie, albo wieczorek jaki wyda, albo nowe meble sprowadzi; a żeby u mnie wszystko dobrze szło, nie powiem! Gdzie tam! to to, to tamto w drogę wlezie. Ot i teraz z tym *uradnikiem*... Przed sądy pokoju ciągnie... No, już jak mi najstarszy mój synek wyrastać będzie, to go pewnie...

Przerwał mówienie i wielkimi oczyma wpatrzył się w człowieka, który w tej chwili do cukierni wchodził. Zegrzda i Ławicz patrzali na niego także. Był to człowiek, powierzchownością swą przedstawiający obraz choroby, wyniszczenia, nędzy. Z pod wyszarzanéj czapki, las gęstych kruczonych włosów spadał mu na wychudłą szyję, i otaczał twarz o nieprawidłowych, połamanych rysach, napiętnowaną suchotniczymi rumieńcami, a świecąca, jak żużlami, parą ogromnych, czarnych, zapadłych oczu. Ubranie jego, poplamione i podarte, dowodziło wielkiego ubóstwa. Wszedł, kaszląc i chwiejąc się prawie na nogach. Z daleka mógł być wziętym za żebraka; z bliżka jednak widziany, przez trzech współbiedniaków poznanym został. I sam poznał ich także. Uragliwy uśmiech przewinął się mu po sinawych ustach. Zbliżył się do stołu, przy którym siedzieli.

— Jak się macie? czy poznajecie mię? może i nie miałem zmienić się trochę...

— Derszlak!

Nazwisko to wszyscy trzej wymówili zdławionemi głosami. Przybyły, nie czekając zaproszenia, przysunął sobie krzesło i usiadł. Trudno mu było widocznie utrzymać się na nogach; mówił głosem ochrypłym i rwącym się od przyspieszonego oddechu.

-- Nie spodziewaliście się widzieć już mnie kiedykolwiek. A jednak ludzie zewsząd wracają czasem. Ja was poznałem odrazu... Tak bo zawsze i wy obrażałem was sobie... Ludzie porządni, spokojni... siedzą sobie w ciepłym pokoju, przy stoliku, jedzą, piją, gawędzą... grzecznie, błogo, po mieszczańsku... a! przepraszam! godność czyż obraziłem może? Mieszczanie to niższa klasa, a jeden z was tu przecie obywatel jest, drugi bohaterem...

— Czy dawno jesteście w X? — przerwał Ławicz.

Derszlak niezaraz odpowiedział. Zakaszła się.

— A dni już ze trzy, jak przyjechałem do tej waszój nory. Wyobraźcie sobie, że od lat kilku nic a nic nie wiedział, co się z Anulką dzieje. Pisałem, a pisałem, i do niej, i do Kwiry... żeby choć słówko odpowiedział! Myślałem, że listy nie dochodzą i, jak tylko już mogłem, zaraz wybrałem się tutaj... Myślałem, że nim będzie ze mną po wszystkiém, pożegnają się z nią jeszcze; aż tu... ona dawno już sama pożegnała się ze wszystkiém. Biedna moja!..

Nie dokończył, zamyślił się, a na schorowanój twarzy jego i w głęboko zapadłych oczach odmalo-

wała się żalność tak gnębiąca, że Kaplicki, który do tego czasu oglądał się tylko niespokojnie dokoła, i nawet krzesło swe nieznacznie od krzesła przybyłego odsunął, wpatrzył się w niego z pocziwym smutkiem.

— No, cóż robić, Zenku! cóż robić? — szepnął — z wolą Pana Boga zgadzać się trzeba. Na tamtym świecie spotkamy się wszyscy...

Derszlak popatrzał na niego długo i ciekawie. Nikt nic nie odpowiedział. Po chwili Ławicz zapytał znowu:

— Gdzież mieszkasz?

— A naturalnie, że u Kwiry. Gdzież-by indziej? Na hotele mię nie stać, a o odzywaniu się do was, anim pomyślał nawet. Kwira co innego! Jemu już nic nie zaszkodzi i nic nie pomoże. Nietęgą głowę miał zawsze, a od... od... śmierci Anulki, zrobił się idyotą kompletnym. Zobaczywszy mnie jednak, oprzytomniał trochę i z początku ucieszył się bardzo; ale potem znowu zasmucił się, i kiwając łysą głową, prosto i bez ogródek mi powiedział:— „Niby nic, Zenku, a i ty zaraz za nią pójdziesz... A ot ja... bez grzechu narzekania... żyję!”

Mówiąc to, śmiał się i kaszłał zarazem.

— Cóż ci jest? — naiwnie zapytał Kaplicki.

— Suchoty — krótko odpowiedział Derszlak.

Parę minut milczeli wszyscy. Zegrzda chmurnie wpatrywał się w szklankę, do połowy jeszcze napeł-

nioną ponczem; Kaplicki znowu niespokojnie rzucał do koła oczyma. Zabierał się snadź do odejścia, bo kapelusz z ziemi podjął, ale coś go do krzesła przykuwało. Przy stole tym, przez czterech ludzi otoczonym, milczenie zapanowało ciężkie. Ciężko też opadła na kolana i gazetą zaszeleściła ręka człowieka, samotnie przy poblizkim stoliku siedzącego. Oddawna już Dębski trzymał wzrok utkwiony w jednym wierszu, w jednym może wyrazie gazety. Derszlak spostrzegł go teraz i, z uśmiechem, wskazując na niego palcem, do sąsiadów szepnął:

— A tenże, czy nie rozbił się o żadną rafę?

Nikt nic nie odpowiedział. Derszlak śmiał się.

— Ot jak! — zaczął — góra z górą nie zejdzie się, a ludzie ze wszelkich dróg zbiegają się czasem do kupy. Pamiętam... gimnazyalny tutejszy dziedzińiec i was tam wszystkich, i sobie samego, jak gdyby to wczoraj było. Boć to i niedawno jeszcze... młodzi jeszcze wszyscy...

Wstał i wszystkim dokoła głową skinął.

— Niéma czasu — rzekł — przyszedłem tu, aby z synem Markusa pomówić, bo mam do niego mały interes, a śpieszyć muszę, aby pocziwy Kwira z obiadem na mnie nie czekał... Bywajcie zdrowi!

Odszedł, a raczej pociągnął się do drugiego pokoju, gdzie widać było, jak, spotkawszy małego garsona, przyjaźnie głąskał płową głowę ubranego w biały

fartuch dziecka, zapytując, gdzie-by mógł znaleźć syna cukiernika.

Kaplicki, z kapeluszem w rękę, patrząc za nim, trząśnął głową.

— Nie tęgie obiady dawać mu musi ten jego Kwira! — szepnął.

— Zmarnował się — do ponczu swego wymówił Zegrzda.

Ławicz zaczął:

— Może...

— A tak! tak! naturalnie! — podchwycił Kaplicki, i do pugilaresu swego sięgnął. Dębski wstał i z gazetą w rękę do rozmawiających zbliżył się.

— Byłem także kolegą panów tu wszystkich — rzekł z chłodnym ukłonem.

Po chwili, Derszlak ukazał się znowu w progu, a Ławicz, powstawszy, zbliżył się ku niemu i wręczając mu cztery szeleszczące papierki, z cicha wymówił kilka urywanych wyrazów, pomiędzy którymi słyhać było: doktor... lekarstwa... koleżeńską przysługą...

Derszlak zmieszał się trochę z razu, ale potem niedbale głową skinął.

— Dobrze — rzekł — i słusznie! Nie dziękuję wam wcale... bo spełniliście tylko swój obowiązek. Wy macie, ja nie mam... więc stało się wedle sprawiedliwości, a i to jeszcze nie zupełnie... Nie o sobie myślę w tej chwili. Mnie już mało, albo i nie wcale nie potrzeba... ani doktora, ani lekarstw nie potrzebu-

je, bo nie nie pomogą... ale rad jestem, że kanarki Kwiry pogrzebu mi sprawiać nie będą... Bywajcie zdrowi!

Skinął raz jeszcze głową i wyszedł. Teraz Kaplicki i Zegrzda jednocześnie powstałi. Zegrzda zatrzymał przez chwilę w dłoni swój rękę Ławicza.

— No cóż, stary druho, zobaczymy się jeszcze kiedy z tobą na tym świecie, czy nie?

— Nie wiem. Długoż tu zabawisz?

— Dni dwa, trzy najdłużej, i znowu w świat!

— Pomyślności ci życzę!

— I ja tobie... ot, słowo honoru... z całego serca!

Miał już odchodzić, ale, jakby namyśliwszy się, znowu zwrócił się do Ławicza.

— A, słuchaj-no, bratku, ty mnie tam, z powodu tej gramatyki źle nie wspominaj!... W żołnierskim życiu, widzisz, na takie rzeczy czasu niema... a odzwyczajenie i przyzwyczajenie rzecz ważna!... Cóż robić? Stało się!

Mówiąc, ścisnął mocno rękę Ławicza. Podpiły był, a chmury przechodziły mu po czole i oczy zwilgotniały. Powoli, ze zwieszoną głową, doszedł do drzwi, lecz tuż za drzwiami, na chodniku ulicy, spotkał się z dwoma, czy trzema przechodzącymi kolegami, którzy powitali go głośnym okrzykiem. On odpowiedział im wybuchem śmiechu; przez chwilę gwarnie i wesoło rozmawiali u drzwi cukierni, potem wszyscy razem

poszli dalej, a w cukierni, przez parę minut jeszcze, słyhać było oddalające się wciąż głosy rozmowy ich i brzęk od ostróg.

Kaplicki, w przyległym pokoju przy bufecie stojąc, wypłacał należność swą, żartobliwie gwarząc z przystojną i bardzo dla niego uprzejmą żoną cukiernika. Ławicz miał wychodzić z cukierni, ale zwrócił się jeszcze ku Dębskiemu, który znowu czytał gazetę. Z ruchów jego znać było, że coś pociągnęło go do tego dawno znanego, milczącego, zamysłonego człowieka.

Rękę trzymającą kapelusz o stół opierając, rzekł:

— Dawno nie widzieliśmy się, Maryanie. Czy nic z tobą nowego?..

Dębski, spuszcżając gazetę na kolana, z chłodnym uśmiechem odpowiedział:

— O! nic wcale. Cóż-by?

— Owe brzegi wyniosłe, o których marzyłeś...

— Przybywają ku nim inni.

— A ty?

— Ja... tak jak przed dwunastu laty, jestem...

— Wiem, widuję cię przecież w Izbie. Ale—cóż dalej?

— Dalej? to samo.

— Nie wyjedziesz nigdzie... szukać szczęścia?

— Czynią to inni.

— A ty?

Dębski milczał chwilę; na zamysłoną twarz jego spadł wyraz dawniej energii.

— Ze wszystkich dumnych rojeń moich — wymówił z wolna — pozostało mi jedno: nie żebrać. A górnolotne myśli o wysokich czynnościach, rozległych wpływach etc. etc... stopiły się w jeden wyraz: ostać się.

— Przy czém i przeciw czemu?

— Przeciw jałowój tułaczce i podłej żebraniu; przy gruncie tym, z którego wyrosłem, i milczącym upominaniu się o prawa moje.

— Bravo! — zawołał Ławicz. — Przypominasz mi czasy dawne i rycerzy w stal zakuty, i książąt niezłomnych.

Wykrzyk ten wydawać się mógł ironicznym, ale dźwiękom głosu przeczył wzrok Ławicza, w twarzy towarzysza utkwiony, migocący na dnie wilgotnym blaskiem.

Dębski uśmiechnął się znowu i zapytał:

— Czy to prawda, że ci się dobrze teraz powodzi?

— Prawda — odpowiedział Ławicz — mam troje dzieci i dużo zajęcia...

— Które...

— Zajmuje mię bardzo; dziś właśnie, przed zebraniem sędziów pokoju broniłem sprawę nader ciekawęj, ważnej... Był to mały kryminał. Mieszczanka pewna żydówkę pewną pomyjami oblała.

Dębski zaśmiał się.

— O! — zawołał — jakże to daleko od tój izdebki na poddaszu, z której tak zawzięcie wzbijałeś się w sfery wysokie... Zresztą — dodał po chwili — gdyby pani doła, jak to w baśniach ludowych bywa, stanęła przed nami w postaci widzialnej, powinibyśmy jęj wszyscy głęboki ukłon złożyć. Jak myślisz?...

— Myślę, że najłaskawiej jeszcze obeszła się ona z tym, który ztąd wyszedł przed chwilą...

— Jakto! — zaśmiał się Dębski — z tym szaleńcem, któremu tydzień do śmierci pozostał?

Ławicz wrzuszył ramionami i, patrząc w przestrzeń, zapytał:

— Śmierć? cóż? czy pamiętasz starą legendę o dwóch architektach greckich.

— Niedokładnie.

— No, to pozwól, abym w ten przynajmniej sposób wyzyskał klasyczną uczoność mą i opowiedział ci ją: dwaj architekci, Trofoniusz i Agamedes, zbudowawszy Apolinowi świątynią w Delfach, prosili go o nagrodę za swą pracę taką, jaka jest dla człowieka najlepszą. Objawił Apollo, że za trzy dni wysłuchanymi zostaną, a gdy trzy dni minęło, pomarli obaj.

— A sensem tój legendy—rzucił Dębski—ma być zapewne to, że Grecy wczesną śmierć uważali za największą łaskę bogów...

— Zapewne — potwierdził Ławicz i zamyślił się, a po chwili, podnosząc głowę, dodał:

— Choć nie mogę ukrywać, że w legendzie tój i inny jeszcze sens spoczywa. Mianowicie: śmierć tu jest nagrodą za zbudowanie świątyni...

Dębski żywo podniósł głowę. Zmarszczka pomiędzy brwiami jego pogłębiła się, lecz siwe źrenice rozgrzały się i błysnęły.

— Drugie to tłumaczenie przyjmuję. Lepiej od pierwszego zgadza się ono z charakterem moim. Ażeby mieć prawo wygodnie ułożyć się do spoczynku, trzeba świątynią jakąś zbudować.

— Jak czasem — przerwał Ławicz — i co komu jest danóm. Budować... albo podpierać...

W tój chwili, przy rozmawiających stanął Kaplicki. Kilku słowami przypomniał się znajomości Dębskiego, a wnet potem zwrócił się do Ławicza:

— Mój drogi — rzekł — na prawach stariej przyjaźni naszej, proszę o godzinę czasu twego...

— Proces z uradnikiem? — zaśmiał się Ławicz.

Kaplicki z czołem sfałdowaném, bez cienia urazy, albo żartu, odpowiedział:

— Nie; z procesami nauczyłem się już dawać sobie radę. Inna rzecz z dziećmi. Starszego syna do nauki już zaprządź pora. Nie śmieję się ze mnie. Ja tę rzecz bardzo na seryo biorę. Czuję, rozumiem, że



z nim inaczej być powinno, niż było ze mną. Prawdę mówiąc, i ze mną inaczej było-by... gdyby... Ale, co się tyczy dzieci moich, to już mam święte postanowienie, a i żona moja w tym względzie zgadza się ze mną... Chcę o tém pomówić z tobą, rady twojej zasięgnąć... co?

— Znajdziesz mnie w domu zawsze, w godzinach przedobiednich, i jestem do usług twoich — uprzejmie odpowiedział Ławicz, a zwracając się do Dębskiego, zapytał:

— A bracia twoi? Maryanie.

Pogodnie i z pośpiechem Dębski odpowiedział:

— Są obaj na drogach dobrych i prostych.

Ławicz przenikliwem, zadumanem spójrzeniem w twarz mu patrzył.

— Czy nie przychodzi ci teraz na myśl słowo, rozwiązujące zagadkę przedchwilnej rozmowy naszej ?...

— Chciał-bym, abyś mi je powiedział.

— I owszem, ale pozwól, że znowu wyreczę się starożytnym wieszczem, który śpiewał: „Zrzuca wiatr liście z drzew, a jednak natura przywróci kiedyś światu wiosnę i zieloność”. A ktoś inny jeszcze powiedział: „Tkwi w nas przeczucie przyszłych czasów i rosną przy nas przyszłe pokolenia, które... dla których...”

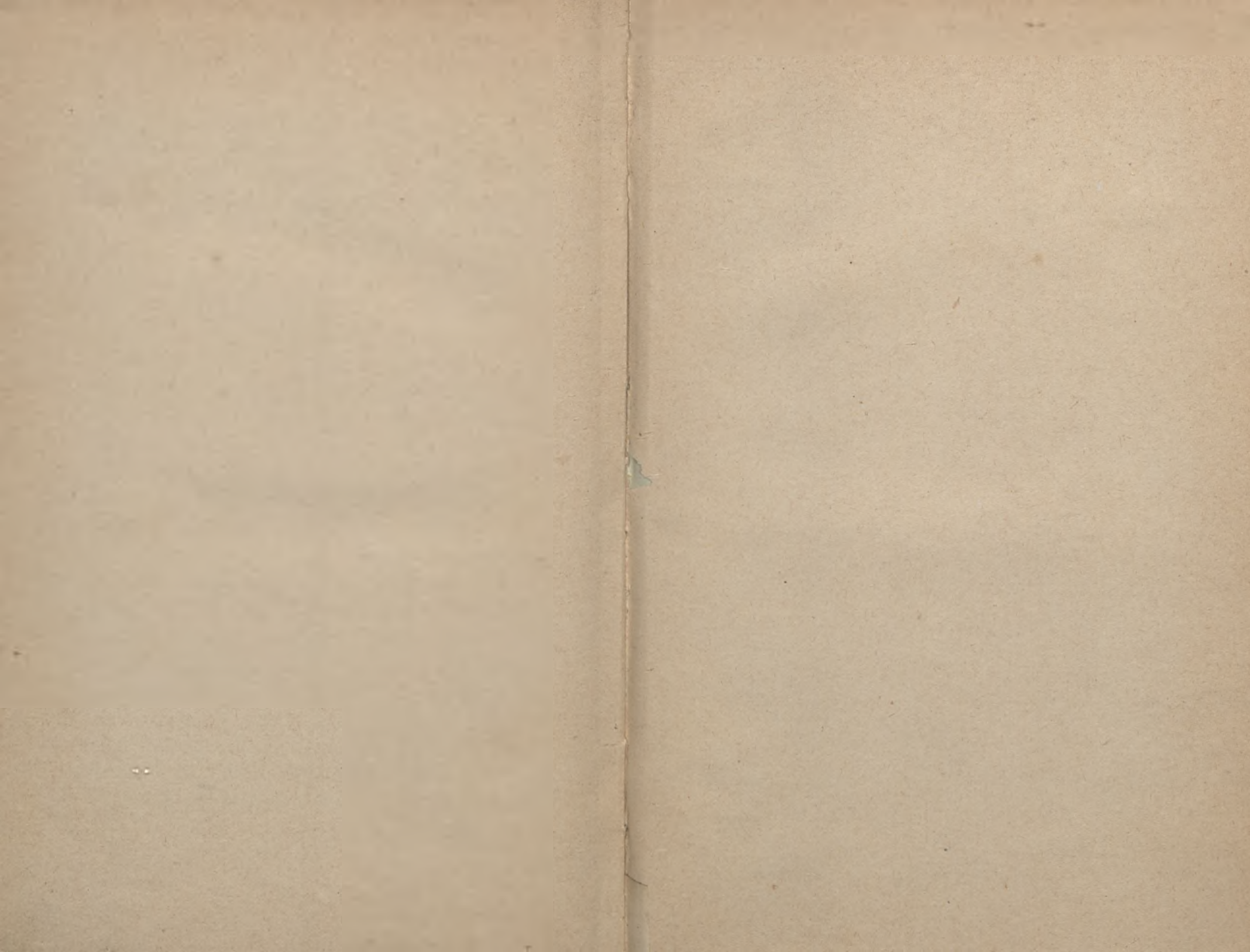
— I tam dalej... — wstając, przerwał Dębski. — Znam ciąg dalszy. Rozwiązuje to zagadkę nie cierpień naszych, zawodów i strat, ale...

— Naszych przeznaczeń — dokończył Ławicz. Podali sobie ręce i rozeszli się.

K O N I E C



58481





300-  
08/14/1283

